

Rembl. from the Pr.

Karl Morawitz



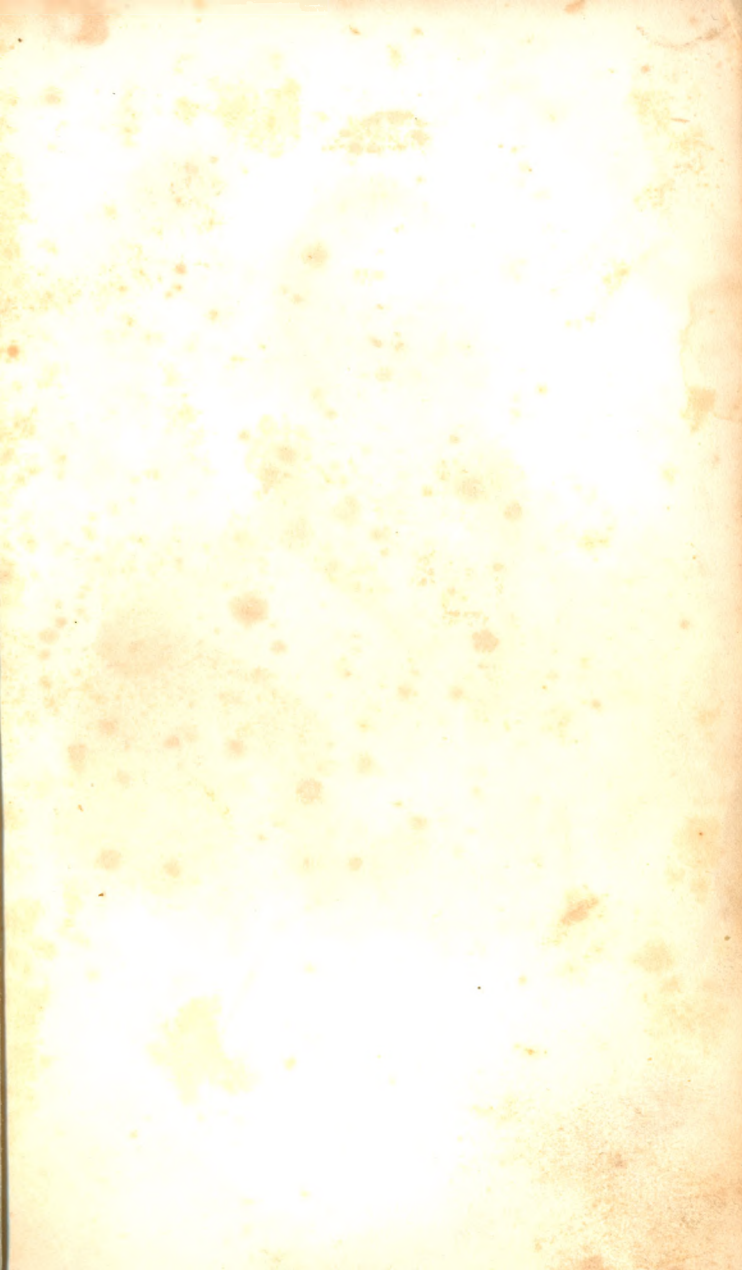
O B R A Z Y
L I T E W S K I E.



SERYA TRZECIA.

Służmy poczciwój sławie, a jako kto może,
Niechaj ku pożytkowi dobra wspólnego pomoże.

KOCHANOWSKI.





Stanisław Józef Radziwiłł

obrazu oryginalnego Galeryi Wesołowskiej

PAMIĘTNIKI K W E S T A R Z A,

P R Z E Z

Ignacego Chodźkę.

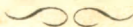


WYDANIE NOWE POPRAWNE,

ozdobione portretem Radziwiłła (*Panie Kochanku*) na stali rytym.



3 Tomy w jednym.



J. Zawadzki
W I L N O.

NARŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

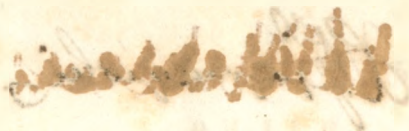
—
1855.



79406

Pozwolono drukować z obowiązkiem złożenia w Komitecie
Cenzury prawem oznaczonej liczby exemplarzy. Wilno, 19 Kwie-
tnia 1854 roku.

Cenzor PAWEŁ KUKOLNIK.



PAMIĘTNIKI KWESTARZA.

Przedmowa Wydawcy.

MIĘDZY Biłgorajem a Tarnogrodem, w lichęj karczemce, nieśmiertelnej pamięci Ks. *Biskup Warمیński* znalazł skarb nieoszacowany: *Pamiętniki Grundrypa* (*), człowieka nieumierającego nigdy, a który i teraz zapewne włóczy się gdzieś po świecie. Ja

„W mieście, którego nazwiska nie powiem;

„Nic to albowiem do rzeczy nie przyda (**)”

(*) *Historia* na dwie księgi podzielona Krasickiego.

(**) *Monachomachia*.

w opuszczonym i opustoszałym klasztorze, niegdys księży Bernardynów, znalazłem to *opus oprawne w skórę* (*), któremu nadawszy niejaki porządek, stosowny do treści tytuł, i przyswoiwszy je do mojej ubożuchnej galeryi obrazów, puszczam na widok publiczny. Wartość zaś dziełka tego do *Historyi na dwie księgi podzielonej*, będzie zapewne, jak *Kwestarz do Biskupa*.

(*) Przedmowa do Baki — Borowskiego.

WSTĘP AUTORA.

DNIA wczorajszego zawołał mnie zrana pan wojewoda do swojej kancelaryi, i wchodzącego zapytał:

— A czy traktowałeś waść, ojczyźnie święty! (takie jest przysłowie pana wojewody) szkoły?

Zdziwiłem się mocno na taką kwestyę, i odpowiedziałem: — Aż do *Poezymy inclusive*, JW. panie!

— A dla czegoż waść nie słuchałeś i *Retoryki*?

— Przewidywałem, JW. panie, że się nasłucham *retoryki* na służbie u wielkich panów.

— Oho! znać dworaka. No, ale choć waść nie retor, potrafisz jednak pisać *currente calamo* pod dyktacyą.

— A wszakże-by to i dobry *infirmista* potrafił—
odpowiedziałem, i pokręciłem wąsa.

Pan wojewoda poznał, że wcale nieobyczajne
zadawał mi kwestye.

— Nie gniewaj się, ojcze święty! — rzekł on—
ksiądz kapelan, który jak wiesz, spełnia u mnie
razem i sekretarską funkeyę, zachorował dzisiaj;
mussz więc jego zastąpić, chociaż to do ciebie,
jako do marszałka mojego dworu, wcale nie na-
leży; ale, ojcze święty, pomiarkujemy się o faty-
gę, a tymczasem siadaj i pisz list, który ci dy-
ktować będę. Masz tu wszystko gotowe: papier,
pióra, etc.

Usiadłem zatem przy stoliku, i przyłożywszy
się regularnie — jestem gotów — rzekłem.

Pan wojewoda zapalił fajkę u komina, przeszedł
kilka razy po pokoju i zaczął:

„Wielmożny Mości.... a Dobrodzieju! — z fi-
gielkiem.”

— Jest — z figielkiem.

— Jak-to? co to waść napisałeś? — zapytał
wojewoda, spójrzawszy przez moje ramie na papier.

— To, co JWpan dyktowałeś.

— Porzuć waść, ojcze święty, te ze mną fa-
cecye. Na co masz głupca udawać, kiedy nim
nie jesteś?

— A zkadże JWpan tak prędko poznał mój

rozum, kiedy tylko co wątpił, czy ja traktowa-
łem *infimę*?

— No, no, dość tego. Weź drugą ćwiartkę
papieru i pisz znowu.

— To więc JWpan chcesz, abym *Dobrodzieju!*
napisał *per abbreviationem*?

— A tak, tak właśnie. Widzisz, żeś się do-
rozumiał, co znaczy z figielkiem.

— Tak, dorozumiałem się wprawdzie, ale
zawsze należało panu, któryś zapewne i retorykę
przeszedł i na Akademią frekwentował, dyktować
wolej *per abbreviationem*, jak to często zdarzało
mi się słyszeć w szkołach, gdzie żadne figielki
nie uchodziły, i gdzie ciężki z nich bywał w sobotę
rachunek.

Uśmiechnął się wojewoda, puścił kilka gęstych
kłębow dymu, i po niejakiem namysle,

— Wiesz co? — rzekł — Czy nie lepiejby, da-
wnym obyczajem, zacząć od „*Mnie wielce Mości
Panie Bracie!*”

— I mnie się zdaje, że lepiej.

— Ale bo widzisz, ojczyzna święta, ta staroświe-
cka fałszywa *parentela* wychodzi już z mody; i
prawdę mówiąc, szlachcie nie bardzo lubi pobra-
tanie się z sobą pana, kiedy mu go wzajemnie
bratem nazwać nie godzi się; bodaj więc lepsze,
Wielmożny Mości Dobrodzieju, każdemu jedno-

stajnie przypadające. Addytament *Jasności* przy-
czepia się dziś do urzędów, które i brat szlachcie
nieraz posięga; a tak wszyscy kontenci. Pisz więc,
ojcze święty, jakem wprzód dyktował... tylko
że... czekaj! Idzie mi o rzecz. Ten pan pod-
stoli *potens* w swoim powiecie, a niebardzo mnie
życzliwy.... jak się urazi za figielek, i weźmie
to za *postpozycyą*, gotów mi wzajemnego figielka
wypłatać, i nasze imprezy sejmikowe, do których
plany i insynuacye aż z Warszawy odebrałem,
pomiesza, a właśnie go tym listem zapraszam dla
porozumienia się.... Pisz więc *Dobrodzieju!* wy-
rażnie.

Zadyktował potem cały list wojewoda dość
gładko i grzecznie, pod końcem jednak znowu
namyślać się zaczął, i biorąc pióro do podpisu —
Jak rozumiesz? ojcze święty! — zapytał — *uni-
żonym* czy *najniższym* sługą?

— A jakbyś JWpan napisał, gdyby nie sej-
miki?

— Naturalnie, że tylko *uniżonym*, a możeby
się i bez tego obeszło.

— No, to ja radzę JWpanu pisać teraz *uniżo-
nym*: bo podstoli pozna, że tylko przed sejmika-
mi pan wojewoda jest jego *najniższym* sługą, a
potem i *uniżonym* nie będzie.

— Mądrze mówisz, ojcze święty! Stary sejni-

kowy Judasz nie da sobie zamydlić oczu... a za-
tém *non tam libenter quam reverenter*... — I
wymawiając powoli tę jakoby *protestacyę*, podpi-
sał się wojewoda *uniżonym* sługą.

—No, teraz, ojcie święty, wpisz ten list choćby
tylko treścią, *ad continuationem* mego dyaryuszu,
to jest, do tej księgi, pod datą dzisiejszą; a potem
go zapieczętujesz, zapiszesz kopertę i wyszlesz
umysłnym.

To rzekłszy, wyszedł wojewoda, a ja otworzy-
łem wskazaną mi wielką, do połowy już zapisaną
księgę. Charakter w niej był rozmaitej ręki: i
samego wojewody, i księdza kapelana, i różnych
innych; rzecz też rozmaita była. Wpisywano tam
razem publiczne i prywatne interesa i *cyrkum-
stancye*, codzienne prawie *eventa* dworu naszego,
rozporządzenia ekonomiczne komisarzom, instruk-
cye plenipotentom do spraw w subseliach i w try-
bunale; a obok tego i w większej części, opisa-
nie publik i sejmików, przez pana wojewodę tra-
ktowanych, podróży odbytych, listów i odpowiedzi,
niektórych ważniejszych *per extensum*, a niektó-
rych w treści. Także rozmaite nowiny i zdarze-
nia krajowe, oracye i głośy, tak *in publico* przez
samego pana wojewodę, jako też i przez innych
sławnych oratorów miewane, a nawet rozmaite
historye, sentencye, wesołe dykteryjki i wiersze

przez przybyszów i bywalców światowych opowiedane, a które wojewodzie się podobały; nakoniec niektóre ciekawe prognostyki, oraz sekreta i *arkana* doktorskie, na różne defekta tak ludzkie jako i końskie, które ja sobie najpierw skopjować postanowiłem, słowem, bardzo to ciekawa i pożyteczna księga.

Na pierwszej karcie, nasz kochany mądry ks. Maciej kapelan wymalował, choć to atramentem, ale pięknie, w doskonałym *konterfekcie*, herb pana wojewody, jakoby nad bramą *adornowany*, a pod nim takie napisał wiersze:

Otwarta brama, z świętej Niebios rady,
Dla Tadeusza enot ślicznój parady;
Za którą i sam postępując w tropy,
Wolny odprawi wjazd do nieba z Europy.

Podobno za ten koncept ks. Maciej dostał srebrną tabakierkę od wojewody.

Lecz odkładając na wolniejszy czas czytanie onej i kopjowanie, wziąłem się teraz do wpisania tam, podług rozkazu JW. pryncypała, mojego listu do pana podstolego.

Na stronicy, gdzie mi przypadło pisać, było już nieco napisanego z góry, a na marginesie, zanotowana jakąś nieznajomą ręką sentencya łacińska, wiadoma każdemu dworsko traktującemu: „*Dum*

subera suberant, subera suberare memento." (*)
 —A toć — pomyślałem — wyraźną daje mi Pan Bóg przestrogę. Wojewoda tylko co powiedział, że o fatygę sekretarską ze mną pomiarkuje się; otoż zręczność i *momentum suberare subera*; dodawszy do tego wątpliwość pańską, czyli ja traktował szkoły.... *summa facit* — atlasowy żupan. Wziąłem więc demestykę papieru i napisałem:

„W *rekompensę* funkcyi sekretarskiej, oraz u-
 „znając przykładną aplikacyę w szkołach marszał-
 „ka dworu mojego, JP. Michała Ławrynowicza,
 „assygnuję mu ze sklepu kupca Abrahama w Po-
 „łocku, atlasu paliowego w *echcie* na żupan łocki
 „dziewięć. Datt 178....”

Właśnie gdym ukończył pisać i list pieczętowa-
 łem, nadszedł wojewoda.

—A co? ojcze święty! gotowo?— zapytał.

—Jeszcze tu potrzeba jednego podpisu JWpa-
 na.— I podałem assygnacyą.

Przeczytał, pokręcił głową, ale rozśmiał się,
 z czego wraz sobie dobrze tuszylem.

—Niechże i tak będzie — rzekł. Zręcznie się domawiasz. Ale na cóż tak wiele atlasu? czy nie możnaby *per abbreviationem*? naprzykład łocki pięć?

(*) Drzyj łyka, kiedy się drą.

— Nie można, JWpanie, bo byłby żupan z fałszem; a ja prawdą chcę żyć na świecie.

— Trudno odmówić, na wszystko masz gotową rację.— I podpisał.

Powróciłem zatem do mojej oficyny w wyśmienitym humorze, a zapaliwszy także fajkę i popijając piwko, dumałem sobie *to to, to owo*; więc przyszło mi na myśl, że to wyśmienita książka pana wojewody, i gdybym to ja taką pisać zaczął? Uważałem rzecz tę *pro et contra*.

— Na co mi ta praca liszna przyda się? Gdybym to jeszcze był żonaty.... to dla pamiątki dzieciom....

— A kto wie? może i ożenię się? Panna Rachela, respektowa wojewodziniej, nie źle na mnie pogląda....

— Tfu do licha! — myślałem znowu — oto byłaby praca liszna.... Teraz głowa wolna.... Czy szatan kusi? No, ale zresztą, pędzę życie światowe, dworskie; nie z jednego pieca chleb jadłem, i nie z jednego jeszcze zdarzy się jeść. Cóż to złego byłoby, mieć sobie na starość kiedyś w cieplej chacie nad czem rozpamiętywać?... Głowy sobie łamać nie będę, bom nie teolog, ani jezuita; a Zoila nie boję się, bo nie na *publicum*, ale *sibi soli* pisać będę. A zatem—

Adsis inceptis Benigna Virgo meis! ()*

(*) Przybądź początkom moim w pomoc, Miłościwa Panno!



SEJMIKI POŁOCKIE W USZACZU. (**)

I.

Anno 178... odbyliśmy z panem wojewodą sejmiki poselskie Połockie. *Laus tibi Christe*, że przecie żywi wróciliśmy!

Jest co wpisać do tej księgi, ale początek niefortunny.

Przybyliśmy do Uszacza w licznej assystencji dworu naszego i przyjaciół; za nami nazajutrz napłynęła bracia szlachta naszej wojewodzińskiej partyi, i zajęła całą ulicę. Żydów z ich domów wyrugowałem, uczyniwszy jednak każdemu nieja-

(**) *Uszcz*, miasteczko dziś w powiecie Dziśnieńskim, w gubernji Mińskiej, w którem odbywały się sejmiiki województwa Połockiego.

ką gratyfikację, choć oni by sami się przed nami wynieśli.

Przyciągnęła także nazajutrz i nasza milicya, to jest, dwieście ludzi piechoty, która siedziała w chatach swoich po dobrach pana wojewody, a na rozkaz jego stawała w potrzebie. Mundury gotowe na cały komplet, leżały na lamusach, i każdy przybywający żołnierz zrzucał siermięgę, a ubierał się w zieloną kurtkę, w także szarawary, kładł nowe bóty, kaszkiek lakierowany z kitką na głowę, patrontasz przez ramię, brał flintę w rękę, i stawał do szeregu.

Pan Piekarski porucznik, który jest razem i koniuszym u pana wojewody, komenderuje tą piechotą, i tygodniem przed wyjściem na publicę, najczęściej sejmikową (bo pan wojewoda z nikim, chwala Bogu, nie wojuje), wyprowadza ją codzien na zmianę poparną za dworem na musztrę.

Pan Piekarski traktował za młodu żołnierzkę w pruskiem wojsku; zaczął więc z początku komenderować po niemiecku, ale że chłopci nie rozumieli i nie mogli przyzwyczaić się do jego *Rychteyt*, więc musiał potem po polsku ich musztrować, i pięknie to prostactwo wymoderował; nie mógł jednak żadnym sposobem nauczyć ich pruskich tempów do nabijania broni. Jak więc zakomenderował: *nabijaj!* to czekał potem, aż ka-

zły po swojemu nabił, i z cicha pytał: *czy już?* jak odpowiedzieli także z cicha: *już!* wtenczas krzychał: *tou! tuj!* O Bożym świecie nie wiem co znaczy takowe *tou! tuj!* Musi to być komenda niemiecka; ale po niej kurki *traf, traf,* nakoniec *cel! pal!* i zawsze jakbyś *orzech zgryzł.*

Pan Piekarski rozłożył się z kompanią swoją za miastem na polu. Przeciwna nam partya Sielickich i Nornickich, z gromadą swojej szlachty, zajęła także kilka ulic, i krzychała, że pan wojewoda chce być *opressorem* województwa, bo na walny sejmik przyprowadził żołnierzy; ale my odpowiadaliśmy, że to nie dla *oppressyi* lub jakiej gwałtownej *preponderencyi*, ale dla powagi i assystencyi jego senatorskiej godności: bo i po prawdzie mówiąc, ładunki prawie wszystkie naszych żołnierzy były puste, jak do salwy przy wiwatach, i tylko dla przypadku mieli oni po kilka z grubym wilczym szrotem w zapasie. Wielką miałem biedę z dostarczeniem i rozporządzeniem *sumptu* dla takiego tłumu, musząc nadto i *quam maxime* myśleć, aby obiady wojewodzińskie były sute i wspaniałe, i assystować jeszcze jako marszałek dworu, to jest, pierwszy dworski, samemu panu. Dobrawszy jednak sobie do pomocy kilku trzeźwych i rzeźwych szlachty, wydoływałem wszystkiemu za pomocą Bożą.

Szło wojewodzie o ważną rzecz, bo o utrzymanie na poselstwie z naszego województwa pana Sulistrowskiego i pana Brzostowskiego, żądanych z góry; a przeciwnicy forytowali pana Sielickiego i pana Reuta, dobrą mając po sobie potencję szlachty, a nawet niektórych urzędników ziemskich. Rzecz więc była wątpliwa; zwłaszcza, że pan Sulistrowski, oczekiwany codzień z Warszawy, nie przybywał, a sejmik rozpoczynać koniecznie trzeba było, bo wszyscy tego domagali się.

Dopisali wprawdzie i nam przyjaciele. Pan rotmistrz Rudomina przyprowadził *sto szabel*; wszedł on do miasteczka takowym szykiem: —Na przodzie sam konno, w mundurze wojewódzkim, z buzdyanem rotmistrzowskim w ręku, jakich już i nie widać teraz. Personat! niema co powiedzieć. A was! mój dobrodzieju! was! mój nawet marszałkowski przed nim ustąpićby musiał z placu. Za nim sześć pięknych, młodych, wysokich a opieklących dziewczek, w czerwonych axamitnych gęsto galonowanych gorsetach i błękitnych gredyturowych spodnicach. Wszystkie sześć grzmiały na waltorniach hucznego marsza; a za niemi szła szlachta, krzesząc w takt pałaszami iskry z kamieni.

Tak przeciągnawszy przez wszystkie ulice i zgromadziwszy około siebie tłum ludu dziwiącego

się takiej parady, pan Rudomina przyszedł do kwatery wojewody, i rejestr swej partyi złożył mu w ręce.

—Ojciec święty!— zawołał wojewoda, patrząc na waltornie— miałbym tego za trzy litery, kto-by się do takiej partyi nie łączył.

Pan Stanisław Swieboda, mój dobry przyjaciel, przyprowadził także z pięćdziesiąt rębaczów takich jak sam; a faworyt to pana wojewody i filar nasz sejmikowy, bo trudno znaleźć takiego jak on gracza do korda.



WIZYTA PO PRZYJACIOŁACH. (*)

II.

W WIGILJĄ *reassumpcyi* sejmiku, pan wojewoda rano po śniadaniu, rzekł do zebranej drużyny: —Ojcowie święci! kto łaskaw ze mną do obejścia prześwieatnych urzędników województwa naszego, poczynając od pana podkomorzego Sielickiego?

—Dla czegoż pan podkomorzy piérwój nie zło-

(*) Tytuły nad oddziałami są wydawcy.

ży *submissyi* panu wojewodzie? — odezwał się pan Rudomina.

— Mniejsza o to, ojcze święty! Nie idzie tu o *preeminencyą*, ale o sprawę publiczną. Owszem, dajmy z siebie przykład umiarkowania naszym przeciwnikom, i dajmy pierwszy krok *ad unanimitem* w sejmiku. Pójdźmy.

Więc ruszyliśmy wszyscy, i zabrawszy jeszcze po drodze pana podwojewodzkiego Korsaka, naszego także *adherenta*, szliśmy w kilkunastu za panem Wojewodą.

Pan Sielicki, uprzedzony widać o téj naszej wizycie, spotkał nas w bramie swojego dworku, w którym kwaterował. Kordyalne na pozór między nim i wojewodą zaczęły się *exwisceracye*, i wszyscy w najlepszej komitywie weszliśmy do pokojów.

Pan podkomorzy kazał podać węgryzna, i spełnił pierwszy kielich za zdrowie wojewody; zaczęliśmy więc pić regularnie.

W naszej kompanii za wojewodą, przyszedł i pan Stanisław Swieboda, wlokąc przy boku swego *Harasima*. Tak on ochrzcił swój zasłużony pałasz z furdymmentem jak kocia głowa, szeroki, prosty i ciężki jak sztaba żelaza. Pan Stanisław nie jak na galę był ubrany: bo będąc chudym pacholkiem, może i nie miał w co lepszego się ubrać; ale przecież po szlachecku i chędogo. Miał

on na sobie żupan sajetowy *werdragonowy*, dobrze wprawdzie podszarzany, ale przecież jeszcze nie dziurawy, ani łatany; po nim pas choć jedwabny, ale słucki i nowy, a na wierzchu kurtkę z takiegoż sukna na opaszcze, spiętą na guzik srebrny pod szyją.

Nie podobał się taki ubiór krewnemu pana podkomorzego, panu szambelaniciowi, młodemu szawile, podpiłemu już dobrze i szukającemu zatem guza. Obchodził on po kilka razy pana Stanisława, i domawiając wrzekomo do jego zielonej kurtki— *Strzelczyk!*— powiadał— dalibóg *strzelczyk!*— Pan Stanisław pokręcał głową i nic nie odpowiadał. Tém ośmielony panicz, coraz to głośniej *strzelczykiem* go nazywał, z różnych stron *aspektując* jego figurę; uśmiechali się i drudzy, a zatem nie wytrzymał nakoniec i pan Stanisław.

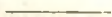
—Panie bracie! Panie szambelanicu! — rzekł on— Waspan mnie znasz dobrze; ale że teraz nie poznałeś, i nazywasz mnie szlachcica strzelczykiem, otoż, panie bracie, *strelczyk waszeci nastrelaje!* — Pan Stanisław niekiedy z ruska zarywa.

Szambelanic chwycił się do szabli. Natenczas postrzeżono zwadę, której w tłumie dotąd nie słyszano. Pan podkomorzy zgromił swego krewniaka; pan wojewoda uspakajał pana Stanisława; ale ten ukłoniwszy się grzecznie, nasunął czapkę na uszy i wyszedł.

Nie bawiać długo, ruszył się i pan wojewoda; już bowiem przerwała się harmonia, której gdy na gorącym razie nie skleiono, można było łatwo zgadnąć na czém się to skończy. Zaszedłszy potem jeszcze do pana chorążego Nornickiego i do kilku innych, wróciliśmy tandem na obiad do domu.



W Y Z W A N I E.



III.

PAN wojewoda zapytał o pana Stanisława, ale go nie było, i we własnej jego kwaterze nie najdziono; widać, że się gdzieś zasztył, aby nie być *molestowanym* przez wojewodę o zaniechanie dalszych kroków z panem szambelanicem; aż oto pod wieczór wszedł on *insperate* do mojej stancyi.

—Panie bracie! Panie Michale!— rzekł— po-
fatyguj się z łaski swojej do tego huczka, co mnie
strzelczykiem nominował. Nowe panicz *stallum*
dla szlachcica wymyślił! Poproś więc jego, aby
jutro rano, ze wschodem słońca, obaczył się ze
mną przy krzyżu na gościńcu wileńskim, ztąd
o ćwierć mili; czekać go tam będziemy z tobą,
panie bracie! A kiedy nie raczy wyjść, to wiesz,

bratku, co przydeklarować!... Plac ostrzelam i uszy za pierwszym spotkaniem się obetnę.

—Czy nie możnaby, panie Stanisławie, zmodyfikować się? Pan wojewoda....

—A gdyby i dziesięć wojewodów!— przerwał żywo pan Stanisław.— Znaj to, panie bracie, panie Michale, że gdyby rzecz była ze szlachcicem, to mniejsza o to; nie fatygowałbym ani siebie, ani mojego *Harasima*; ale pan szambelaniec *pan*, a przynajmniej siada między pany; to potrzeba go nauczyć *mores*, aby szlachtom po nosach nie jeździł. Więc jeżeli lękasz się narazić wojewodzie lub siebie exponować, to, panie bracie, powiedz mi otwarcie, a ja poszukam innego przyjaciela.

—Na to nie pozwalam — rzekłem.— Funkcja moja marszałkowska u pana wojewody nie może mi *negować* posługi honorowej przyjacielowi: idę więc, a zaczekaj tu na rezolucję.

Jakoż i poszedłem do panów Sielickich, którzy całą rodziną mieszkali razem; znalazłem podkomorzego i starszych wszystkich śpiących, a młodzież w przeciwną izbę podpiła i dziwne na nas wykrzykującą przechwałki. Już oni nas i przekręskowali, i wypędzili, i posłów wybrali.

Gdym wszedł, porwał się z za stołu, na którym pełno było butelek i dzbanów, szambelaniec, i krzyknął:

— A ty, chłystku wojewodziński, po co tu? — na szpiegi? na *praktyki*?

— Nie jestem szpiegiem — odpowiedziałem — ale posłem; a posła ani ścinają, ani wieszają.

Siedział między niemi pan Podwiński, pisarz ziemski połocki; głowacz to wielki, ale *filogramowej roboty*!.... Więc go oni na swoją stronę chcąc przeciągnąć, poili i ujmowali. On pił mało, a mówił jeszcze mniej, tak, że go oni ani skorumpować, ani wyrozumieć nie mogli. Najczęściej występuje on jako medyator, i dla tego od wszystkich jest konsyderowany. Zna on mnie dobrze, bo bywa u wojewody; więc powstał, i wstrzymując zapędy szambelanica, rzekł:

— Gości panowie! to jest uczciwy szlachcic, pan Michał Ławrynowicz, mostowniczy derpski. — (BOGIEM a prawdą, chyba mój jaki prapradziad był tym panem *derpskim*: bo ja, jak zawsze, Ławrynowicz, i nie wiem jak i kiedy przyszło mi zostać razem i mostowniczym i derpskim). — Mój to dawny znajomy i przyjaciel; proszę więc go nie *aggrawować* i wysłuchać.

— Mów więc swoje poselstwo! — krzyknęli.

— Poselstwo moje — rzekłem — tycze się jednego pana szambelanica; możebyś więc pan raczył wysłuchać mnie *semotis arbitris*.

— Nie ma żadnego sekretu pomiędzy nami. Mów jak stoisz.

— A kiedy tak, to i powiem. Otoż przysłany tu jestem przez pana Stanisława Swiebodę, podczaszego oszmiańskiego, abym prosił waćpana, panie szambelanicu, o honorową satysfakcyą za krzywdę, którąś pan jemu dzisiaj dopełnił, nazywając go strzelczykiem, z wyraźną dlań *postpozycyą*. Czekać więc on pana będzie jutro rano ze wschodem słońca, na rozstajnych drogach pod krzyżem, na gościńcu wileńskim, ztąd o ćwierć mili, aby *in circuitu* juryzdykcyów sądowych nie mieć *akcyi*. Przytém ostrzegam pana, że jeżeliś odmówił satysfakcyi i nie stawiał się na wyzwanie, (czego się nie spodziewamy), pan podczaszy plac ostrzela, a z panem do spotkania.

— Nie doczekasz — krzyknął szambelanic — abyś dla mnie plac ostrzelał! Potrafię ja podczesać pana podczaszego.

— A tymczasem — rzekł, chwytając za szablę Junosza, szlachcie z traktu zapońskiego (*), zawołany sejmikowy zawadyaka — oporządzim pana posta.

(*) Trakt Zapoński, dziś w powiecie Borysowskim, w gubernii Minskiej idący, nasiedlony dawniej gęsto drobną szlachtą, sławną niegdyś w sejmikowych bojkach.

— Mości panowie! — rzekłem, odstępując w tył kilka kroków — protestuję się i biorę na świadectwo obecnego tu wielmożnego pisarza, żem nikogo z ichmościów nie obraził; więc jeżeli poniosę jaki *grawamen*, zaraz *manifestuję* niesłuszny atak, i od tego momentu *nego activitatem* ichmościom na sejmiku.

Porwał pan Podwiński za kark Zapończyka. — Idź spać, opoju! — rzekł, popychając go do alkierza. — Panie szambelanicu! obudzę podkomorzego; jeżeli nie dasz pokoju tym burdom. — A do mnie: — panie marszałku! zrobiłeś swoje, więc nie masz tu po co dłużej czekać.

Wyszedłem zatem; dopędził mnie wraz na ulicy pan pisarz. — Panie Michale! rzekł on — wybawiłem cię z kłopotu: bo czy cię diabli nadali przychodzić z taką propozycją, gdym ja ku pojednaniu i ku wygranej naszej (rozumie się wojewodzińskiej) rzeczy nachylał? dla tego jedynie i byłem między nimi.

Poznałem lisa, ale podziękowałem pokornie i za siebie, i za wojewodę.

— Może się dadzą rzeczy utraktować i między panem Stanisławem a szambelanicem gdy przez noc szum z głowy im wynijdzie. Waść zaś perswaduj podczaszemu.

— Trudno to będzie — odpowiedziałem.

— No, to jak sobie chce zresztą. Niezle to czasem, kiedy młodzika zuchwałego trochę przyuczą. Ale powiedz wojewodzie, że pracuję szczerze w jego zamiarach.

— Bodaj tyle pies płakał! — pomyślałem, i uściskawszy się kordyalnie, rozeszliśmy się.

Pan Stanisław, uradowany z odbytego poselstwa, podziękował mnie z płaczem prawie. — Panie bracie! panie Michale! — rzekł potem — pójdę teraz do Dominikanów na nieszpory, i zaraz spać: bo przede dniem trzeba nam być na koniach; i ty, panie bracie, staraj się wywczasować się, bo cię jutro *summo mane* obudzę. — Ale mnie nie było czasu myśleć o odpoczynku: bo wnet pan wojewoda przysłał po mnie, i kazał asystować sobie do pana Rudominy, który go na wieczorną hulankę zaprosił.



W I E C Z O R Y N K A.



IV.

IIdąc my gromadnie i huczno przez miasteczko, na różne trafialiśmy komplementa. Po wszystkich prawie szynkach brzmiała muzyka rozmaita: bo

i ja rozdzieliłem dwudziestu czterech naszej kapelii na kilka części i rozprowadziłem po kwaterach szlacheckich, i pan podkomorzy Sielicki miał swoich muzykantów, i z dziesiątek żydków z cymbałami przywlokło się na sejmiki. Z doświadczenia wiedzieli oni, że bród i pejsów całych nie wyniosą; ale też znali i to, że w kieszenie napakują koronczyków sowito.

Szlachta wrzeszczała, śpiewała i piła; gdyśmy więc około swoich przechodzili, wypadała z domów, krzyczała: „*Wiwat pan wojewoda Połocki! wiwat!*” Chwytała przytęm na ręce wojewodę i podrzucała w górę. Nie oponował się tej subiekcyi wojewoda, owszem wypijał za każdym razem po szklance miodu za zdrowie braci szlachty i przyjaciół.

Ale gdyśmy mijali domy nabite partyą przeciwną, to i wetowano nas niepomału; jednak wszystko mimo uszu puścić trzeba było. I tak: wyskoczył z jednego dziedzińca, na którym pili zaponczyki, jakiś urwisz; a poprawiwszy czapkę na bakier, stanął przed wojewodą i tak perorował:

Panie Wojewoda!
Co to za moda?
Na to nie zgoda!
Żołnierzy zbierasz,
Szlachtę pożerasz!

Ryknęła za nim cała chałastra: — *Szlachtę poze-*

rasz? Szlachtę pożerasz! — Pan wojewoda nie odpowiadając, wszedł między nich na dziedziniec. Patrzali wszyscy co z tego będzie? Zaczerpnął miedzianym kubkiem miodu z cebra, i ukłoniwszy w około — ojcowie święci! — rzekł — piję za zdrowie przezacnych braci szlachty traktu zapońskiego. *Wiwat!*

— *Wiwat!* — wrzasnęła szlachta — *wiwat* wojewoda połocki! *wiwat!* — I zapomniawszy wierszów, porwała także wojewodę na ręce i podrzuciła w górę, nie przestając wykrzykiwać: — *Wiwat!*

Jak to u nas nigdy w sercach zawziętości nie ma! Ale domyśliliśmy się, że wiersze te składał pan Reut: bo to płaszek *Scholarum Piarum*, do niego z całego województwa jak do doktora po recepta, udają się po oracye i kadencye, a on sypie wszystkim jak z rękawa.

Przebywszy zatem szczęśliwie wszystkie szkopy, doszliśmy przecie do dworku pana Rudominy, który nas ze swemi sześciami waltorniami, w licznej *komitywie* przyjaciół, spotkał na ulicy.

Wszedłszy do środka, znaleźliśmy wieczerze nie z *marcypanów*, ale *honeste* zastawioną. Zrazy zawijane, rozmaite kwaszeniny, rosołu kilka waz, a pieczonęj zwierzyny *quantitas*, że aż stół się ugiął. P. Rudomina jest myśliwym; przed sej-

mikami poluje on ze sześć tygodni. Pieczenie więc łosie i sarnie, głowy i szynki dzikowe, łapy niedźwiedzie, zajmowały środek ogromnego stołu; a z zajęcy i różnego ptastwa, na szerokich cynowych blatach góry poukładane; prócz tego na osobnych misach rantowych oładki do zrazów i do rosółu. Odbywszy więc kolejkę starej wódeczki, zaczęliśmy repetować wyśmienicie, zapijając tłuste kęsa wybornym trojniakiem, którego pełne flasze stały na kominie. Na miejsce spróżnionych mis i półmisków, stawały nowe, również sowite; te znowu się opróżniały, bo ścisk był około stołu, i coraz to więcej przybywało kompanii. Ale kuchnia pana Rudominy przemogła nakoniec nasz wilczy apetyt. Za trzecią i czwartą odmianą, nietknięte już danie zebrano ze stołów, a pan rotmistrz kazał podać wina, i zaczęły się wiwaty.

Pan wojewoda *in casu necessitatis* nie odbiega od kielicha, i rzadko komu udało się go spoić. W domu własnym gdy traktował gości, miałem zawsze kilka butelek wody zafarbowanej winem i zręcznie z nich nalewałem wojewodzie; ale gdy raz złapał nas na uczynku pan podwojewodzi Korsak, musieliśmy porzucić tę sztukę, bo się rozgłosiła wszędzie; teraz więc, *volens nolens* szczerzy ciągnie trunek; a jeżeli już tak się spije, że go do łóżka prowadzić trzeba, to mam w po-

gotowiu kilka serwet i misę zimnej wody, okładamy zatem całą głowę umoczonemi w wodzie serwetami. Wnet gorąca czupryna pana wojewody parować zaczyna, ale razem i chmiel wychodzi. *Probatum*, że takim sposobem trzy razy od pory do pory upić się i wytrzeźwić się można; a zapisuję to dla pamięci własnej i *propter utilitatem publicam*.

Więc tedy po wieczerzy piliśmy u pana Rudominy *lautissime*; za każdym wiwatem do dna duszkiem spełnionym, brzmiały waltornie i dziewczki przyspiewywały chorem i wesoło:

Wypił, wypił nie zostawił —
Hu! ha! nie zostawił!
Bodaj go Bóg błogosławił —
Hu! ha! błogosławił! etc.

a potem huknęły *kurdesza* i *czumadrychę*. Wytrzymać już nie można było! *Czumadrycha*, to skoczna nота: więc poły za pas zawinawszy, wyrwali nasi bracia dziewczki od waltorniów, i dalej w *obertasy*.

Ja tego uczynić nie mogłem z racyi prezencji wojewody, ależ jednakowo choć na miejscu podskakiwałem: bo i w głowie szumiało, i powiadałem, że dalipan trudno było ustać. Sam pan wojewoda *ukonsolowany* nader, całą kieskę rzucił na waltornie, a za jego przykładem, ile talarów

i złotych posypało się, trudno by zliczyć. Garściami dziewczki zbierały pieniądze; ależ bo i warte tego! Niech ich tam.... Pan Bóg sekunduje!

Razem tak wszystko: i śpiewanie, i skoki, i wiwaty, i krzyki, hu, ha! wrzały jak w garnku i rozlegały się od naszego dworku na całe miasteczko; i dobrze już w noc było, gdy oto dwa wystrzały gruchnęły nam pod oknami. Posypały się szyby, a po waltorniach, jakbyś grochem sypnął, grankulki. Przełęknięte dziewczki wrzasnęły okrutnie; my także krzyknęliśmy: *Jezus! Marya!* i osłupieli jak wryci.... Wnet ktoś zawołał: — Łapać *excessantów!* — a zatém hurmem wypadliśmy do ogrodu, na który okno potłuczone wychodziło, i rozbiegliśmy się tam na wszystkie strony. Ale cóż? noc ciemna, choć oko wykol, i deszcz puścił się gęsty; nogi u wszystkich niepewne; więc po ślizkiej ziemi, każdy na pierwszym kroku, to upadł na grzędy i twarz sobie błotem oszpecił, to łeb o drzewo rozkwaśił, wstawał jednak i latał jak w żmurki grając. Wszyscy krzyczeli: Łapaj! bierz! trzymaj! bij go! wiaź! — nie wiedząc kogo. Chwytał jeden drugiego, a poznawszy się, puszczał, i znowu obadwa polowali. Zamięszanie i zgiełk niewypowiedziany — istna wieża babilońska.

Nakoniec zapalono kilka pochodni, ale i to nie

nie pomogło; posmalili tylko drzewa, i gdyby nie deszcz, możeby dworek zapalili. Ogródek dość obszerny, obity jest ostrokołem; widać więc że pijanice jakowis, strzeliwszy do okien naszych, jak w ul, w tenże moment przeskoczyli ostrokoł, i już byli daleko gdyśmy ich szukali; znaleźliśmy tylko pod płotem rozek z tabaką, i to cały sukces wyprawy.

Zmokli po próżnej bieganinie, zebraliśmy się przecież do izby. P. Rudomina ledwo nie pękał ze złości, że w jego kwaterze taki traf spotkał wojewodę; przepraszał go pokornie, choć najmniej nie winien; raniutko nazajutrz miał manifestować, sam nie wiedząc kogo; a nakoniec, po wzajemnych najserdeczniejszych *expostulacyach*, wypiliśmy jeszcze po kielichu. Dziewki huknęły na honor pana wojewody:

To to pan, to to pan, to dobrodziej nasz!

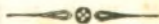
A my, jego słudzy,

Pijmy, jak i drudzy.

To to pan, to to pan, to dobrodziej nasz! (*).

I rozpaliwszy pochodnie, poszliśmy do własnej kwatery.

(*) Dawna piosenka hulacka. — *n. w.*



P O J E D Y N E K.

V.

NAZAJUTRZ przed wschodem słońca, wszedł do mnie pan Stanisław. — Panie bracie! panie Michale! — rzekł on, budząc mnie rozespanego — wstawaj! konie gotowe.

— Ależ mnie prędko powrócić trzeba: bo jak się obudzi wojewoda, pewny jestem, że zaraz zawoła; tém bardziej, że dziś *reassumpcyą* sejmiku.

— Nu to, bratku, za kwadrans będziemy na miejscu. Wiem przez moich szpiegów, że Jeśpan szambelaniec bez zawodu stanie na placu z kilku swemi *adherentami*, nie będziemy więc długo czekać. Sama zaś sprawa.... nie pociągnie.... nadzieja w Bogu i w *Harasimie*.

Przypasałem więc i ja moje *Elżutkę* — szablę *Augustówkę*, którą mam w prezencie od pana Burzyńskiego, starosty brasławskiego, zięcia pana



wojewody, i ruszyliśmy konno kłusem gościńcem wileńskim.

Przybywszy na wyznaczone miejsce, oddaliśmy konie kozakowi, który je o staję odprowadził. Pan Stanisław dobył *Harasima* i wbił go w ziemię, a z kieszeni dobył mały paczek i położył na kamieniu.

— A to co? panie Stanisławie! — zapytałem.

— To, panie bracie, chleb razowy i pajęczyna: doświadczone szlacheckie *vulnerarium*. Każdy prawie szlachcic, wybierając się na sejmiki, ten raz przynajmniej obiera chatę z pajęczyny, i ma ją z sobą w zapasie na pogotowiu: bo w przypadku niespodzianym — (tu poprowadził palcem przez nos i gębę) — zaraz w kieszeni *remedium*, które i krew zatrzymuje, i w krótkim czasie tak leczy, że tylko kreska zostaje. — Waść młody, panie bracie, więc słuchaj mnie starszego i bez pajęczyny nie jedź nigdy na sejmiki. A teraz, nim nadjadą, zmówmy tymczasem pod krzyżem poranne modlitewki.

Uklękliśmy więc przed figurą Pana Jezusa, i zaczęliśmy się modlić. — *Mea culpa! mea culpa! mea maxima culpa!* — wymawiał ze skrucą bijąc się w piersi pan Stanisław — *ale niechże mnie strzelczykiem nie nazywa. Amen.*

Powstał potem i przechadzał się, pokręcając wąsa i poglądając po drodze od Uszacza.

Wtenczas pierwszy raz przypatrzyłem się dobrze figurze pana Swiebody. — Miłyż Boże! pomyśliłem— nie znał człowieka szambelanie, i zaczął z nim sprawę, pewnie fatalną dla siebie.— Pan Swieboda urody nie wysokości i przychromywa trochę na prawą nogą: bo na którymś sejmiku w pięte go podstrzelono. Na twarzy jego, diabeł (jak to mówią) grał w tryszaka: poszrotowana ospą i pokiereszowana kilką szramami od pałasza. Kiedy jeszcze, podjawszy Harasima, nastroił marsa, uciekała oden szlachta, jak od bazyliuszka. Kłębów pan Stanisław zupełnie niema, tak, że rapcie od pałasza nie mają na czem się trzymać, i musi je aż na pas zakładać, a pas znowu na ciemne haftki po żupanie zawieszać! ależ za to plecy! jak ława! a ręka, jak łopata! kiedy to ściśnie z całego affektu!.... W pojedynku bije się z podjazdka i przysiadkiem, do czego noga trochę podkrzywiona posługuje mu wyśmienicie. O swoich krésach na łbie i na twarzy rozpowiadać nie lubi; krótko zbywa, mówiąc:— *Plażyłem ja, plażyli i mnie.*

Nieadługo ujrzeliśmy sześciu konnych, sadzących do nas, nie gościńcem, ale przez pola i łąki, a przeskakujących rowy i płoty.

Źle, panie bracie! — rzekł pan Stanisław— już podobno nie trzeźwi: lecą na manowce, jakby

ich, Panie odpuść, szatan prowadził, i może wszyscy razem na mnie napadną. W takim razie ja oprę się o krzyż, i krzyżem ich przeżegnam; a ty panie bracie, pilnuj tyłu.

Nie tak wszakże się stało. O kroków kilkanaście zsiadli z koni wszyscy, a sam jeden tylko szambelaniec dobył szabli i bez pamięci leciał na pana Stanisława. Ten wyrwał z ziemi *Harasima*, podjechał z przysiadkiem; a kiedy to podjął się razem i dźwignął potężnie!... furknęła w powietrzu i odleciała precz szabla szambelanica, a sam z impetu padł jak długi na ziemię.

—A co? panie bracie!— rzekł pan Stanisław—
—*ustawaj! na pleczech kryża rabić nie budu.*

—Pogodzim się, panie podczaszy!— rzekł powstając szambelaniec.— Zgoda! zgoda!— krzyknęli jego sekundanci— masz satysfakcyę, panie podczaszy!— Zgoda! panie Stanisławie!— rzekłem i ja. —No, to niechaj sobie i zgoda— powtórzył pan Stanisław, chowając *Harasima* do pochew. *A drugi raz, panie bracie, nie zaczepiaj strelezyka, bo Waszeci nastrelaje.*

Znowu krzyknęliśmy:— Zgoda!— Uścisnęli się adwersarze, i wszyscy w najlepszej komitywie, dziękując Bogu, że obeszło się bez szwanku, wróciliśmy do miasteczka.



SESSYA SEJMIKOWA.

VI.

PAN wojewoda rozesłał już po mnie na wszystkie strony; lecz gdym stanął przed nim i opowiedział rację mojej nieobecności, gdy jeszcze ukazał się za mną i pan Stanisław, uścisnął nas obu i winszował *wiktoryi*.

Trafiliśmy na same *cosilium bellicum*. Był już pan podwojewodzi *Korsak*, pan *Rudomina*, pan *Szyryn*, pan *Podwiński* i kilku innych wojewodzińskich. Po wczorajszym zwłaszcza *excessie*, gdy podobne *periculum* powtórzyć się mogło, zdanie było wojewody i niektórych panów zgromadzonych na radę, aby rozłożyć milicję na cmentarzu około kościoła, i postawić sztyldwachy przy drzwiach.

Już nawet rzekł do mnie wojewoda: — Ojcie święty! biegaj do Piekarskiego, niech w pięknym

moderunku wprowadza wojsko do miasta.... kapelia na przedzie.

—A któż będzie sejmikować?— odezwał się pan Podwiński— bo, mości wojewodo, ani pan podkomorzy, ani ktokolwiek ze szlachty jego partyi, ani nawet ja sam nie wstąpię nogą do kościoła, gdy ten wojskiem otoczony będzie. Choćbyś więc JWPan zagał sejmik i obrał posłów, to nie będzie ani legalnie, ani z honorem pańskim; a rumor nieżyczliwy, który już i tak się szerzy pomiędzy szlachtą, że JWPan chcesz *opressive* działać, zweryfikuje się *plenissime*, i już potem nie naprawić tego.

—Więc cóż robić? ojcze święty!

—Działać, mości wojewodo dobrodzieju, jak na zacnego senatora i przewodnika województwa przystoi, a razem nie zaniedbać i ostrożności. Wprawdzie zawziętość przeciwników jest wielka, ale jednakże wczorajszy strzał nie jest bynajmniej z ich *insynuacyi*, bo obywatele zacni i uczciwi do takiej akcyi wcale niezdolni, i krzywdę im czyni, kto taką *suppozycyą* na nich chowa; a w ogólności, u naszej pocziwój szlachty i u panów chrześcijańskich więcej wrzasku niż złości...

—Cóż w konkluzyi? ojcze święty!

—W konkluzyi, idź pan śmiało do kościoła, i zasiądź swoje senatorskie *stallum*; przywołaj do

boku swego urzędników ziemskich i zagajaj sejmik. Dobrani i doświadczeni przyjaciele otoczą pana, a tak niczego lękać się nie będzie potrzeba.

Przystali wszyscy na tę mądrą radę pana pisarza, a zatem rzekł do nas z panem Stanisławem wojewoda: —Ojcowie święci! wybierzcie sto szabel dowodnych i trzeźwych, i zasadźcie od wielkiego ołtarza; a gdy rozporządzicie wszystko, wasan, panie Stanisławie, zostań dla komendy, a waść, ojcie święty, powracaj tu do mojej asystencji.

Poszliśmy więc z panem Stanisławem do księdza przeora Dominikanów, w ich bowiem kościele miał się odbywać sejmik, i udawszy się z nim do kościoła, wynieśliśmy ztamtąd z należytą *adoracją Sanctissimum* do klasztornej kaplicy; potem *in ordine* braci klasztornych stuknąwszy na śniadanie *crematum*, szliśmy wybierać gwardyę dla wojewody, klucze kościelne zabrawszy z sobą.

—Panie bracie! Panie Michale! — rzekł do mnie pan Stanisław — po co darmo mamy włóczyć się? Mam pod moją *manudukcyą* piędziesięciu *Porczyńskich*, cała okolica; chłopcy jak dęby; zajmę z nimi *prezbiterium*; uręczam, że dotrzymają *Zapończykom*, i że nikt, oprócz wojewody i urzędników, ani nosa za kratki nie potnie.

Dictum — factum. Zaczekałem z pół godziny na

cmentarzu, i ujrzałem pana Stanisława, prowadzącego swoich *gracialistów*. Gorący hultajski bigos, którego na śniadanie cały kocioł zjedli, i miód grzany, którym sowito zaleli, zaczerwienił ich twarze i nosy; idąc poważnie, ocierali tylko tłuste wąsy i spotniałe czupryny.

Przeciwnicy nasi, wyskakując z dworków, wołali: — Swiebodczuki! a dokąd? Swiebodczuki! — Porczyńscy poglądali z pode łba, jak niedźwiedzie, i ciągnęli spokojnie; ale wara do nich podstąpić!... lub dać zaczepkę!... bo jakby płatnął który!...

Zasadiwszy więc ich, podług instrukcyi pana wojewody, od wielkiego ołtarza, otworzyłem nawściąg drzwi kościoła, a zamknąłem fórtkę od zakrystyi i schowałem klucz za nadrę, aby na wszelki przypadek mieć wolną drogę do *rejterady*. Pan Stanisław został na komendzie, a ja poszedłem uwiadomić wojewodę.

Zatém ruszyliśmy do kościoła.

Pan wojewoda *magnificenter* wystąpił, i dalipan po pańsku. Kuntusz granatowy z sajety jak atlas, ze sznurami i kutasami złotemi; żupan materyalny, spięty karbunkułem na szyi, którego gdyby brat szlachcic dostał, miałby chleba na całe życie; pas bogaty w karpia łuskę, a złoto ciekło

z frenzlów; наконец wstęga błękitna Orła Białego, a gwiazda na piersiach i pałasz w jaszczur i blachy złociste oprawny. Wszystko to do pięknej figury pana wojewody raźnie przypadało. Pan to sudanny, ale nie suchy, białego lica, włosy nosi podstrzyżone, ale mu brzytwa koło łba nie chodzi: bo i fryzury i łby golone wychodzą już z mody; oko błękitne, wąsy z węgierska, suknie wszelkie nosi krótko, but jak oblany. A kiedy tak wystrojony i w dobrym humorze, podsunie się gracko do jakiej kobiety, to rośnie jak na drożdżach dobrodzika, a pani wojewodzina bez ustanku tabakę zażywa.

Za panem wojewodą szli nasi przyjaciele i urzędnicy ziemscy; ja tuż za nimi prowadziłem *circiter* trzysta szlachty, którym, jako i Swiebodczukom, po bigosie i palonym krupniczku (*) z łyśsin się kurzyło. Uspakajałem jak mogłem ich hałasy, gromiłem przechwałki; i słuchali mnie, bo znając prawie każdego *de nomine et cognomine*, i sustentując ich hojnie, zjednałem sobie między nimi wielką *konsyderacyę*.

Podchodząc pod kościół, usłyszeliśmy okrutną tam wrzawę; a наконец, gdyśmy wchodzić mieli,

(*) Krupniczek — wódka palona z miodem i różnemi korzen-nemi zaprawami.— *N. w.*

Junosza, znajomy nam zaponczyk, wrzasnął na całe gardło:

—Kiedy nas wasz Twardowski (tak oni przewali pana Stanisława, podrażniając jego chromotę) nie puszcza za kratki, to my was do kościoła nie wpuszczam, i zamknę drzwi przed nosem.

Jakoż zatrzasnął drzwi kościelne i drągiem zewnątrz zawalił.

W kościele do większej jeszcze przychodziło wrzawy. Lękaliśmy się, aby nie okrwawiono domu Bożego. Ale nie domyślali się panowie Zaponczyki, że ja mam w kieszeni sposób wejścia do kościoła i bez ich łaski; podałem więc klucz od zakrystyi wojewodzie.

—Ojcie święty! masz rozum — rzekł on. — Chciałem mu przypomnieć *in fine*, ale właśnie postrzegł, że byłem w paliowym atlasowym żupanie.

Raptem więc ukazaliśmy się w kościele między naszą Swiebodzińską gromadką. Zaponczyki *obstupuerunt*, ujrzawszy nas jak z nieba spadłych. —Zdrada! zdrada! — krzyczał pijany Junosza — Twardowskiemu diabeł sekunduje!

—A ty, heretyku przeklęty! — krzyknąłem przystępując doń impetycznie — w domu Bożym o diable tobie wspominać! Czekaj! idę wraz do Dominikanów i donoszę im twoje bluźnierstwa.

Oni ciebie wyklną, a my upieczem na stosie, jak raka. A toż, mości panowie, sklepienie kościelne na nas zapadnie, kiedy będziemy między sobą chować tego niedowiarka. Precz z domu Bożego! precz! — I śmiało przeszedłszy kościół, odsunąłem drąg i otworzyłem drzwi, jakby dla wywleczenia Junoszy; ale on od swoich nawet łajany, opuścił uszy i schował się gdzieś pod ambonę; a tymczasem przez otwarte drzwi wwalili się hurmem nasi, i wśród nich wetowani bez miłosierdzia panowie Sieliccy, Norniccy i ich adherenci, którzy trafili pod kościół wtenczas, gdy przede drzwiami stała rozgniewana nasza szlachta, obwiniająca ich o promotorstwo w uczynku Junoszy, lubo ich i obecnych nie było.

Otoż to zaczął się hałas i kweres, kiedy się kościół już nappełnił. Boże zlituj się! Myślałem, że nie trafim już do końca.

Nie czekając *reassumpcyi* sejmiku, podkomorscy krzyczeli: — Prosimy na posłów pana *Sielickiego* i pana *Reuta*! Wiwat pan *Sielicki* i pan *Reut*! — Nasi wrzeszczeli: — Wiwat pan *Sulistrowski* i pan *Brzostowski*! Posłowie województwa Połockiego!

— A gdzież on? ten pan Sulistrowski? — zapypywali jedni.

—W antypodach!— z przygryzkiem odpowiadali inni.

Wtem pan Stanisław ukazał się znagła na krakach i wrzasnął okrutnie: — Prosimy naprzód spalić heretyka *Junoszę!* kto w Boga wierzy, *pal!* bo kiedy heretyków żywić będziemy, sami marnie poginiem.

Więc wszyscy Porczyńscy krzyknęli:— Palić heretyka! palić!

Spójrzałem w oczy panu Stanisławowi. — *Stemus simul!* — rzekł on do mnie — popieraj moję propozycję, panie bracie!

I znowu zaczął perorować:— Kto z kim przestaje, takim się sam staje: więc i my mości panowie, mając społeczeństwo z heretykiem, sami nie ujdziem herezyi. Do niczego zatem nie przystępuję, nim ta materya skonkludowaną nie będzie. To materya *status*, gdzie idzie o zbawienie duszy!

Znowu więc wrzask: — Spalić *Junoszę!*

Zrozumiałem ja o co idzie panu Stanisławowi, więc krzyknąłem: — Nie pozwalam! *Junosza* nie tylko heretyk, ale i czarownik. Sam byłem świadkiem, jak raz wypił trzy garnce tęgiego trojnika, i nie upił się. To nie w swój duch! to czary! to nie żarty! Ale po sprawiedliwości, trzeba aby był wprzód *jure victus*; a zatem spławić go

należy. Ja znam cały *proceder* tej operacyi, bo już cztery baby pławiłem; proszę zatem o *exhibicyę* osoby czarownika, a ja go *ex nunc solita praxi* spławię na...

—Jeżeli potonie, to i wyciągać nie trzeba, bo heretyk; a jeżeli pływać będzie po wierzchu, to czarownik. I na to *spectaculum* wszystkich panów braci szlachtę i dobrodziejów zapraszam.

—Niema zgody! — krzyczał Swieboda i Swiebodzińscy. — Na co te ceremonie z heretykami? *Pal!* kto w Boga wierzy, *pal!*

—Pławić! — krzyczałem ja i dawałem znak moim wojewodzińskim, którzy ryknęli, że aż kościół zatrząsł się. — Pławić czarownika Junoszę! po świętej sprawiedliwości, pławić!

Panowie urzędnicy patrzali na nas z podziwieniem. — Ojcowie święci! — rzekł wojewoda — czyście poszaleli?

—Nie bój się pan — szepnął mu pan Stanisław — nie spalim, tylko wykurzym tego burdę i opoja. A krzyczał głośno: — Czy palić, czy pławić, zawsze naprzód prosimy o *extradycyę* Junoszy.... a kto go bronić będzie, ten sam potępieniec!

A ja krzyczałem: —Zapraszam panów braci na pławienie!

Junosza coś wrzeszczał i dąsał się pod amboną,

ale nikt go nie słyszał; a gdy jeszcze któryś z jego sąsiadów Zapończyków krzyknął:

—To ciekawe *spectaculum* pławienie czarownika! na życiu mojem tego nie widziałem. Wiecie co? moi panowie! dajmy Junoszę na próbę.

Widząc on zatem, że gotowi dla samej ciekawości wydać go na *stracenie*, chyłkiem po za filary wycisnął się z tłumu i uciekł z kościoła.

Tymczasem pan Podwiński pisał a pisał. Pan wojewoda chociaż po kilka razy wstawał i zaczął swoje: ojcowie święci!... ale zagłuszony zawsze naszym wrzaskiem, usiadał znowu i czekał, aż pan Podwiński dał znak głową, że już skończył. Wtenczas powstał pan wojewoda dla *reassumpcyi* sejmiku; a że Jezuici nie wyśpieszyli oracyi, chociaż dwa razy do nich do Połocka posyłano, a *elokuencya* pana wojewody *ex abrupto* niezawołana, przeto powtórzywszy znowu:—Ojcowie święci! panowie bracia i dobrodziej! — dodał tylko— pokornie suplikuję wysłuchać *reassumpcyi* naszego poselskiego sejmiku, zapisanej przez godnego urzędnika ziemskiego wielmożnego pisarza Podwińskiego, *cum laudo circa securitatem publicam*, na które rozumiem, iż zajdzie zgoda całego prześwietnego województwa.

—Co za *laudum*? jakie *laudum*? — odezwali się Sieliccy.— Na żadne niema zgody.

—Otoż wysłuchajcie naprzód jakie *laudum* — rzekł powstając pan pisarz — bo teraz krzyczycie nie wiedząc o co.

Promotor ich wszystkich podkomorzy, konsyderując pisarza, równie jako i wojewoda; a rozumiejąc go być swoim, tak jak my rozumieliśmy go być naszym, skinął ręką na swoich, to i cicho.

Odczytał zatem spokojnie pan pisarz swoją *re-assumpcyę* i *laudum*, w którym wyrażał: aby każdy, ktoby *in tractu* obrad w kościele dobył szabli, uznanym był *tanquam contumax* i jako taki wnet z koła sejmujących był wyłączonym.

—Jakto? — wrzasnęli Zapończyki — a na cóż u licha szabla, gdy jej wyjmować nie można? Panie pisarzu! przyczep sobie łuczywkę do boku. Panie wojewodo! każ kurki poodkręcać od muszkietów u swoich żołnierzy, to my wtenczas szable odpaszem. Pan Podwiński *skorumpowany*! niema zgody!

A więc znowu sprzeczki między starszyzną za kratkami, a zwady i krzyki po całym kościele... gdy nagle odgłos trąbki pocztarskiej rozległ się przed kościołem.... Umilkła wrzawa, wszyscy zdumieni obrócili oczy na drzwi, w których wnet u-

kazał się pan Aloizy *Sulistrowski*, pisarz wielki Litewski.

Szlachta nasza połocka jego nie znała: bo on *de radice* oszmiańczuk: ma tam swoje dobra *Szemetowszczyznę*, *Wiszniew*, *Czurlonie*, do których zawsze zajeżdżamy z panem wojewodą, jadąc do Wilna. Lecz że tak wypadło z wyższych *intencyi*, aby z Oszmiańskiego posłami byli pan *Kociell* i pan *Bieńkuński*, więc pan pisarz wielki litewski, mający w Połockiem województwie jakiś folwark, postanowił ztąd posłować i napisał wcześniej o tem do wojewody.

Wielki *rumor* się zrobił na jego widok. Zostawiono mu szeroką lukę aż do kratek, wśród której postępując, kłaniał się on na wszystkie strony. A wiadomość kto on jest, rozbiegła się wnet po kościele, jak równie że przybywa prosto z Warszawy.

Nie wysoka to kreatura pan *Sulistrowski*, ależ głowa! mądra, że na bok i nasz pan *Podwiński*. Niema on i nie stara się o popularność między szlachtą, a nawet go szlachta oszmiańska nie lubi, bo jak pokaże się na sejmikach, to już i po sejmikach. Bez *oracyów*, bez *argumentów* i *traktamentów*, tak wszystko pięknie na osobnych z każdym kandydatem *konferencyach* ukartuje, że ani się postrzegą jak zawziętość zniknie, pokój święty na-

stępuje, a *stalla* i urzęda biorą jednomyślnie ambijenci, o których przed sejmikami sam tylko pan Sulistrowski wiedział, a szlachtom ani się śniło! Powracają więc potem spuściwszy nosy na kwintę do domów, i przeklinają Sulistrowskiego, że ten intrygant i *farmazon* skończył *insperate* sejmiki, a ich przed czasem od szabli i miodu do sochy i wody odprawił. Przyszedłszy do stołu pan Sulistrowski, uścisnął poufale pana wojewodę, przywitał się grzecznie ze wszystkimi, i wyjął z zanadry list, zapieczętowany wielką białą pieczęcią, oddał go panu wojewodzie mówiąc: „*Od Króla Jego Mości.*”

Pan wojewoda, dostawszy listu z koperty i przebiegłszy go — Ojcowie święci, panowie bracia i dobrodzieje! — rzekł — ponieważ pismo Miłostwego pana bardziej się tycze całego naszego województwa, aniżeli mnie samego, przeto odczytam je głośno.

Ciekawie wszyscy nadstawili uszy, i z owego krzykliwego zgiełku nastąpiło milczenie, jakby anioł przeleciał. Czytał zatem głośno pan wojewoda *ut sequitur*, hom zaraz sobie ten list *copiatim* przepisał. To nie żart! list od *koronata*!

„Wielmożny uprzejmie nam miły!

„Nadchodzi czas wyboru posłów ziemskich na sejm przyszedł, prawem oznaczony. Prześwietne

województwo Połockie posiada zapewne w gronie swoim mężów, których światło i miłość dobra publicznego odpowiedzieć godnie może oczekiwaniu i troskliwości Naszej królewskiej; lecz dogodziłoby się życzeniom naszym, aby z tego województwa W. Aloizy Sulistrowski, pisarz wielki litewski, i urodzony Michał Brzostowski, posłami obranymi byli. Oświadczyć Uprzejmość Wasza to życzenie Nasze prześwietnemu województwu Połockiemu, na sejmik zgromadzonemu, i razem łaskę naszą królewską. Dobrego przytém zdrowia Uprzejmości Waszej od BOGA życzymy.”

Po odczytaniu, znowu było milczenie; aż ktoś z ławek odezwał się: — Łaska pańska na pstrym koniu jeździ! — A tém jakby pobudzony powstał pan podkomorzy Sielicki, zabrał głos i rzekł:

— *Salvo respectu* pismu Najjaśniejszego pana; uważam jednak, że takowe jest *in praejudicium* prerogatywy naszej szlacheckiej, obierania urzędników po naszej woli. Gdy ja z ojców, dziadów i pradziadów moich, odwieczny *civis et servus* tego prześwietnego województwa i każdego z braci szlachty, *ausus sum* funkcją poselską na przyszły da Bóg sejm piastować, i o takową dopraszam się. Przeto pokładając nadzieję w waszych braterskich *affektach*, (tu kłaniał się na wszystkie strony), nie odstępuję *ambijencyi*, i godnego ze

wszech miar JW. pisarza litewskiego, acz przez majestat *promowowanego*, na wota proszę.

Pan *Sulistrowski* stał spokojnie, nic nie odpowiadał, tylko pokręcał wąsika; a szlachta krzyczała: — Prosimy pana *Sielickiego*!

Wrzawę przerwał pan Stanisław, wrzasnąwszy: — Oto *Reverendissimus Reut* z kazaniem! — Bo też zjawił się na ambonie pan Reut. Obrócili się wszyscy do ambony, a pan Reut tak perorował:

— Bracia szlachta! ja wasz brat szlachcic! a szlachcic na ogrodzie, równy wojewodzie! to wszystkim wiadomo; a co do króla Jegomości, to on w Warszawie, a my w Uszaczu. Pan kasztelanie senatorowicz, a ja łowczyc z Amtorowicz (tak się nazywa folwareczek pana *Reuta*), i kto z nas nie będzie posłem, to niech p... zje w kaszy, a zostanie tym, co zostanie. *Dixi*.

Brawo! — krzyknęła szlachta — brawo! Wiwat pan *Reut*! *wiwat* pan łowczyc poseł nasz! *wiwat*!

— Prosimy pana wojewodę o wota. Kandydaci wiadomi — odezwała się przeciwna nam starszyzna. I moment był krytyczny: bo nasi także przebąkiwali, szczególnie przeciw panu *Sulistrowskiemu*: — Na co nam oszmiańczuka, kiedy mamy własnych?

Poznał on na co się zanosi; szepnął więc na

ucho panu wojewodzie, a ten się odezwał: — Ojcowie święci! spóźniona pora; sejmik jest *reassumowanym*; odwołuję więc sessyę na jutro.

— Nie ma zgody! — krzyknęli *ex opposito* — nie ma zgody! *Pluralitas* widoczna — dodał pan *Sielicki*; więc albo niech panowie współambijenci nasi dobrowolnie odstąpią, albo, mości wojewodo, prosimy przystąpić do wotowania.

Zawrzało wtenczas jak w garnku. Nasi krzyczeli, że sessya odwołana do jutra. Głuszyli nas przeciwnicy, wrzeszcząc: — Panie wojewodo! dawaj *kałkuły*. Wiwat pan *Sielicki* i pan *Reut*!

Rady już żadnej nie było. Znowu rzekł pan wojewoda: — Ojcowie święci! odwoławszy sessyę, nie mam tu nic do czynienia. — I zabierał się do wyjścia tędy, kędy i wszedł, to jest, przez zakrystyę.

Pan *Sielicki* oświadczył zatem, że w takim razie obiorą sobie marszałka, lub sam, jako podkomorzy, kontynuować będzie obrady.

— *Quo jure?* ojciec święty!... — Bliziutenką już zwadę przerwał pan *Sulistrowski*; zbliżył się on do pana *Sielickiego* i rzekł po swojemu, to jest, zcicha i skromnie:

— Racz, Mości podkomorzy, zgodzić się na odkład sessyi do jutra; dogodzić się przez to może życzeniom Najjaśniejszego pana, który przeze mnie

samego teraz przesyła panu dowód swęj łaski pańskiej i nagrodę obywatelskich jego zasług.

— Cóż takiego? — zapytał podkomorzy.

— Nie czas to, ani miejsce tłumaczenia rzeczy ważnej, wśród takiego tłumu; ale proszę mi ufać, a nie pożałujesz pan tego.

Sielicki zaczął miękczyć i konferować ze swojemi. Szlachta niewiedząca o niczém, wrzeszczała jednak... Aż pan Stanisław znowu zjawił się na kratkach i krzyknął z całego gardła: — *Panie Mateuszu! a prowadź waszeć!* — I wnet znowu w tłum się schował.

— Na jakiego Mateusza wołasz? — zapytałem.

— Na każdego, który tu jest, panie bracie! Obaczysz skutku.

Jakoż zrobił się wnet ruch między szlachtą. Z pięciu czy więcej znalazło się Mateuszków, a każdy rozumiejąc, że to na niego wołano, i że tem samém uważanym jest *promotorem* swojej gromady, chciał dotrzymać takowej *preponderancyi*; zwoływał więc, gromadził, popychał, gospodarzył, a nakoniec któryś z nich podjawszy czapkę w górę, zawołał: — Na obiad! Mości panowie! na krupnik i na pieczenie! mości panowie!

Podobała się propozycja. — Na pieczenie, na pieczenie! — huknęła ochotnie bracia szlachta,

zapomniawszy sejmikowych kłótni; i *Mateusze* wraz większą połowę tłumu wyprowadzili z kościoła.

— Ojcowie święci! — rzekł wojewoda — piszę się na ten projekt, i zacnego naszego gościa, a przy nim i całe koło prześwietnych urzędników, na obiad pokornie proszę.

Ciekawy obiecanych dla siebie łask królewskich, zgodził się po niejakięj *molestacyi* i podkomorzy; więc wszyscy hurmem wyszliśmy z kościoła, i wnet cały Uszacz zajaśniał pieczeniem.

OBIAD U PANA WOJEWODY.

VII.

TŁUM się u nas zebrało gości. Ponieważ przyszedł i pan *Sielicki* podkomorzy, naczelnik naszych opozytorów, więc za nim przyszli i panowie *Nornicy*, i *Przeciecy*, i pan *Reut*, i kilku niższego choru braci szlachty z ich partyj. Wszystkich najuprzejmiej witał wojewoda, a każdy pytał się ciekawie o nowiny z Warszawy, szczególnie jak to *fawory* królewskie ma osiągnąć podkomorzy?

Dogadzając więc tej ciekawości okoliczników, pan Stanisław szepnął pod sekretem na ucho któremuś, że podobno król Jegomość wysyła pana podkomorzego posłem do Turek, a cały trakt zapoński wyznacza mu na assystencyą i *sumpt* własny ma *spendować*.

— Czy to aż za morze? mości dobrodzieju! — zapytał cicho szlachcic.

— Naturalnie, panie bracie, że suchą nogą tam nie dojdiesz.

— Da pani podkomorzyna nigdy na to nie pozwoli — rzekł szlachcic, widać domowy *famulus* pana *Sielickiego*. I pokręciwszy głową, wymknął się cichaczem za drzwi, z nowinką do braci.

Tymczasem uważałem, że pan *Sulistrowski* unikał podkomorzego, a z panem wojewodą w alkierzu długą miał *konferencyę*. Dobry sługa powinien zgadywać myśl pańską: więc i ja, aby nie zważano na to, kazałem roznosić wódeczkę.

Gdy wyszli z alkierza, szepnął mi wojewoda: — Ojczy święty! trąby do sieni, a Piekarski niech będzie gotów na dziedzińcu, gdy usłyszysz trąby — *Apel!*

Nie zważając niby na polecenie, stuknąłem moją laską marszałkowską przed wojewodą, i rzekłem z tęgą miną: — Waza na stole! — Zasiadano więc do obiadu, a ja się wymknąłem tymczasem

za drzwi i zaordynowałem wszystko podług dyspozycji pańskiej.

Obok pana wojewody usiadł z prawej ręki pan pisarz litewski, a z lewej, pan podkomorzy *Sielicki*. Pełniąc moję powinność, obchodziłem stół dokoła, pilnując porządku i zbliżając się często do wojewody, a nuż czego nie rozkaże?

Jakoż pod koniec obiadu, rzekł on do mnie: — Ojcie święty! *chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj*. Ja tylko jeden zrozumiałem co to znaczy. Jest w sklepie wojewody *kapitałne* stare francuzkie wino, które pachnie chlebem razowym; od zapachu więc tego nazwał on je *chlebem powszednim*, choć *a festis* tylko i na dobitkę podawać go każe. Miałem ja wprowadzić między moją prowizją sejmikową kilkanaście gąsiorków i tego *chleba powszedniego*, ale schowałem je aż w kominie w alkierzu: bo rozumiałem, że sejmikowa sprawa obejdzie się i bez tego *specyału*. Poznałem zatem po zakroju, że coś ważnego nastąpi, gdy od tego zaczynamy, na czém zazwyczaj kończyliśmy.

Wybrawszy więc kielich średniej miary, (bo największy połknąłby dwa razem gąsiorki), podniosłem go na tacy wojewodzie, a hajduki nieśli za mną *chleb powszedni*. Powstał pan wojewoda,

i ujawszy nalany zpełna — Zdrowie! — rzekł — JW. Sielickiego. Przestał, a potem dobitnie zawołał: — Kasztelana województwa połockiego! — Spójrział zdziwiony pan *Sielicki*, obrócili się wszyscy ku wojewodzie; ten stał nie spełniając jeszcze kielicha; a wtém powstał pan Sulistrowski, i rzekł, dostając z zanadry znowu wielki list, jeszcze z większą białą pieczęcią: — *Król Jegomość*, pragnąc dać tobie, mości podkomorzy, dowód swój łaski pańskiej, i nagrodzić *merita* twoje, powołuje cię do boku swego i *konferuje* wakujące krzesło senatorskie kasztelanii tego prześwietnego województwa. Przywilej Najjaśniejszego pana składam więc w ręce twoje, mości wojewodo połocki, abyś, jako *princeps nobilitatis* w województwie, oddał dziś swemu od dziś dnia koledze, JW. kasztelanowi połockiemu.

Jakoż pan wojewoda przyjąwszy papier ten od pana Sulistrowskiego, odpieczętował, wyjął przywilej, i jedną ręką oddając go panu *Sielickiemu*, drugą podniósł w górę kielich i krzyknął:

— Wiwat kasztelan połocki! wiwat! Apel!... i wypił.

Zabrzmiały trąby i kotły, a razem Piekarski dał salwę na dziedzińcu.

Pan Sielicki jak osłupiały stał, trzymając przy-

wilęj w rękę, a łoży mu po twarzy grochem się sypnęły....

Kielich przyjął od wojewody pan *Sulistrowski* i też same powtórzył zdrowie: więc znowu trąby i salwa; szło tak dalej i dalej, gdy pan Sielicki ocierając z łez twarz i wąsy, rzekł do mnie: — panie marszałku! proszę o kielich. — Podałem nalany.

Jeszcze gościęj łoży mu się potoczyły, gdy chciał mówić oracyę na podziękowanie za tę niespodzianą godność. Proszę uniżenie! nie płakałby tak rzewnienie, gdyby mu fortunę odebrano! Co to znaczy wdzięczność w pocziwém sercu! bo lubo był zawsze naszym przeciwnikiem, jednak *quod jure, juste*, powiedzieć trzeba, że pan Sielicki zacny człek i godny obywatel.

Ledwo więc wymówić mógł on, i nie dosłyszałem jego *kongratulacyi*; skończył głośniej i zrozumiałej, bo wnosząc zdrowie JW. Sulistrowskiego, godnego dygnitarza, a przyszłego pośła województwa połockiego. — *Wiwat!* — krzyknęliśmy wszyscy huczno. Od trąb i salwy aż okna drżały. Pan *Sulistrowski* podług zwyczaju swego nie mówił wiele, tylko się uprzejmie kłaniał, uśmiechał i wąsiki pokręcał.

Podałem więcj kielichów, każdy chwycił je, i szły gęste wiwaty, poplątane razem i dla nowego

kasztelana, i dla przyszłego pośła. Jeden pan Reut, siedzący pod końcem stołu, nie powstał i nie łączył się do naszej ochoty, a siedząc nad kulszą indyka, pokręcał tylko głową; ale gdy ktoś z tłumu wykrzyknął: — Zdrowie pana *Brzostowskiego*, drugiego pośła naszego! Pan Reut nie dotrzymał i zapytał: — Cóż to? mości panowie! czy już po sejmikach, że obwoływacie posłów?

Nie słyszano w tłumie tej *tanquam* protestacyi jego, ale pan Stanisław siedzący naprzeciw, spojrział nań z pode łba, i zcicha ale dobitnie rzekł: — *Chapaj Reut miasa!* — Coby z tych *allokucyi* między nimi wynikło? możeby przyszło znowu do *Harasima*, bo i pan Reut nie daje sobie grać po nosie; ale kłaniając się uprzejmie wszystkim, pan *Sulistrowski* nie spuszczał z oka nikogo; postrzegł on już pierwój, że pan Reut nie przyjął podawanego przeze mnie kielicha, i poznał widać po minie co się święci. Nieznacznie więc przechodząc tłum, zbliżył się do pana *Podwińskiego*, szepnął mu coś na ucho; ten znowu zbliżył się do pana *Reuta*, szeptał mu długo i poprowadził go za sobą do alkierza, do którego wszedł wprzód pan *Sulistrowski*.

Pan Stanisław mrugnął na mnie, ja na niego, i gdy się doń zbliżył, rzekł do mnie zcicha:

— Oj! panie bracie! na ciężką *konfessatę* wzięty nasz *reverendissimus* kaznodzieja i poeta!

— Dotrzyma — odpowiedziałem. — Oho! to łeb *Scholarum Piarum*!

— A mnie się zdaje, panie bracie, że teraz właśnie jedzą kaszę, do której pan *Sulistrowski* p... wrzucił. Pamiętasz koniec Reutowskiego kazania?...

Nikt tych obrótów i manewrów prócz nas nie *zaobserwował*: więc zdziwienie było powszechne, gdy po krótkiej chwili ukazali się z alkierza pod ręce wzięwszy się ci *tandem* przeciwnicy; a pan *Sulistrowski* z uśmiechem na twarzy, i pokręcając zawsze wąsiki, prawdę mówiąc, jakby drwinki sobie stroił z naszych sejmikowych zawziętości.

— Mości kasztelanicu! — rzekł do pana *Brzostowskiego* — podziękuj pan zacnemu swemu współambijentowi, który się zrzeka i odstępuje swoich zamiarów.

— O, to czarownik! — rzekłem do pana Stanisława. — Czy *inkluzę* ma jaką przy sobie?

— O! ma, ma, panie bracie! ma *inkluzę* i nosi ją tu — odpowiedział stukając palcem do łba.

Jakoż ściskali się z jawnym affektem pan *Brzostowski* z panem koniuszycem; a pan wojewoda patrząc na to, rzekł:

— Ojcowie święci! gdy tak przez szczęśliwą

influencyę pana pisarza litewskiego wszystko nam się składa zgodnie, najstosowniejszy zatem będzie kielich — *Kochajmy się!* — Apel! — zawołał wychylając duszkiem.

Brzmiały trąby i kanonada; ale wtem zagłuszył wszystko okrzyk nagły i niespodziany na dziedzińcu i pod oknami: kilkaset razem szlachty wrzasnęło okrutnie: — Wiwat pan *Sielicki poseł turecki!* Wiwat!

Zdziwieni wszyscy, oprócz mnie i pana Stanisława, pytali co to się ma znaczyć? Szlachta cisnęła się do okien i do sieni, i nie przestawała krzyczeć podrzucając czapki w górę: — *Wiwat poseł turecki!* Pojedziem wszyscy za nim do Turek, choćby i za kraj świata!

Podstąpiłem do wojewody, i wytłómaczyłem mu cicho figiel pana Stanisława; zmarszczył się nieco, ale wnet, nie dając czasu do rozwagi — Pójdźmy — rzekł — ojcowie święci, na ganek, ogłosim zbałamuconym braciom szlachtom nowe dostojęstwo pana kasztelana połockiego, i z nimi razem powtórzmy: *kochajmy się!* — Więc wszyscy hurmem za panem wojewodą wychodzimy na ganek.

Dziedziniec dworku tego, w którym mieszkaliśmy, był dość obszerny. Na środku Piekarski stał w szyku frontem ku nam; flinty błyszczały rzędem jak dudy od organów. Podeszedłem do niego.

—Prezentuj broń!— krzyknął on ujrzawszy na ganku wojewodę, i machnął pałaszem na dwa tępy— udało się; potem —Do nogi broń!— to nie bardzo kupno poszło. —A teraz nabijać?— ale zagniewany Piekarski że nieraźno spuścili broń do nogi, dodał zeicha:

—No, poczekajcie tylko!...— Więc zaczęli oczekiwać. Piekarski znowu: —A nabijajcież! niech was piorun trzaśnie!— więc nabili. — Gotowo? Gotowo!— To znowu— Na ramie broń!— i stoją czekając hasła.

Tymczasem pan wojewoda, do którego i ja wróciłem, na ganku perorował, i ogłaszał przed szlachtą kasztelaństwo pana *Sielickiego* obok z nim stojącego. Więc na skinienie pańskie wykocić wnet kazałem między tłum kilka beczek miodu i toczyć do cebrów, Nie trzeba się było troszczyć czem pić będą, bo wszystkie z całego *Uszacza* półgarncówki, kwarty i kwaterki żydowskie były w kieszeniach u braci szlachty; a niektórzy nawet z domu cynowe kubki na sejmiki przywieźli. Zaczęli się więc hojnie raczyć naszym miodkiem.

Pan wojewoda kończąc oracyę, w której, prawdę mówiąc, najczęściej było słyhać „*ojcowie święci*” a której słuchała szlachta z otwartemi gębami —Wypijmyż— rzekł— zdrowie nowego senatora JW. kasztelana połockiego! Apel!...— Pie-

karski komenderuje: *Tou! tuj! kurki traf traf!* a szlachta posłyszawszy to, odbiegła od frontu i uczyniła próżne miejsce między żołnierzami a gan-kiem — *Cel! pal!...* jak orzech zgryzli. — *Wiwat!* — krzyknęła szlachta — kasztelan połocki, a razem i poseł turecki! taki pojedziem z nim do Tureczy-zny. — Znowu *Apel!* i znowu *rrum!* Gracko! Dawszy czas do nabicia, rozochocony wojewoda za-komenderował raz trzeci *Apel!...* Jeden strzał za-ciągnął... coś mi świstnęło koło ucha... coś brzę-knęło obok... a wojewoda poślonił się aż na mnie... Wnet się odwrócił i rzekł do kompanii: — Proszę się bawić... — a do mnie: — Ojczy święty! za mną. Wszedł raptownie aż do drugiego pokoju i rozdarł żupan.... krew polała się potokiem.... aż mi się w oczach zaćmiło i nogi mi odjęło, tak się prze-ląkłem.

— Ojczy święty! ratuj! widzisz, zabić mnie chciano! — Ja drżałem jak osina i krzyknąłem bez przytomności: — Gwałtu! ratujcie! — Cicho! — przerwał mi wojewoda — czy sfiksowałeś? Wołaj natychmiast Pawła felczera, a sam jedź co najprę-dziej do Połocka po księdza Grubera, doktora zgromadzenia księży Jezuitów.

Wyleciałem jak szalony, szczęściem znalazłem felczera w kuchni, posłałem go, a sam w kilka

minut już byłem na wozie, rozkazawszy rozstawić konie na pół drogi.

Wyjechałem trzema tęgimi końmi; ale że tu właśnie było *periculum in mora*, więc parłem jak opętany. Pod Połockiem o milę, koń padł; odciąłem postronki i dalej.... przyleciałem. Ksiądz doktor, zabrawszy natychmiast swoje podróżną apteczkę, siadł ze mną na brykę, którą mi już ojcowie Jezuici dali; w pół drogi znaleźliśmy gotowe czekające na nas konie, i tak dostawiłem jeszcze przed północą doktora tego sławnego do Uszacza.

Bo też słowny to doktor na cały świat: *alchymik, astrolog, fizykus*; a gdyby nie był Jezuitą i bardzo pobożnym kapłanem, toby go pewnie za czarownika miano. On zrobił (i teraz można widzieć u nich w refektarzu) głowę staruszką gadającą. Powiadają, że z tyłu za murem siedzi Jezuita, i odpowiada na wszelkie pytania, które staruszkowi zadają; ale i staruszek gębą i oczami rusza, tak, że przysięgłbyś że on sam gada.

Cały Połock zawsze pełny chorych, a szczególnie podstarzałych dewotek, które razem i peregrynacją do ś. Bobolego, i kurację u księdza *doktora* odbywają.

Gdyśmy przybyli, znaleźliśmy już pięć grankulek na stole, które felczer wyjął z ramienia wojewody; siedm odbiło się od gwiazdy orderowej,

na szczęście lanąj ze srebra, siedm dołków na niej zostawując. Gdyby nie ta gwiazda na piersiach, grankulki byłyby w sercu, a panu wojewodzie *amen*.

Wojewoda cierpiał bardzo: krew z ran się dobywała, choć pan Stanisław zalepił je chlebem razowym i pajęczyną. Ksiądz doktor odrzucił to wszystko, a jak zalał jakimś olejkiem, wnet i ból ulżył, i krew się zatamowała zupełnie, a zatém i wesołość na twarz ranionemu wróciła. Jednak zabronił *pater* wojewodzie sejmikować. Zrozumieiliśmy, że pod *allegorją* zabraniał wiwatów: bo chory chciał zaraz jeden spełnić za zdrowie doktora, gdy mu on zaręczał, że za parę tygodni zdrowiuteńki będzie; choć pan Stanisław dowodził mi, że gdyby ten niemiec nie odrzucił jego pajęczyny, byłby wojewoda zdrów za parę dni, i mógłby przytém śmiało ciągnąć *chleb powszedni*.

Winowajcę wnet odkrył *Piekarski*: bo jako tęgi oficer, dostrzegł on, który z gemejnow zaciągnął w strzale. Schwycił go więc na gorącym uczynku i zrewidował ładownicę; a ponieważ dał był każdemu dla *wszystkiego* po jednym ładunku z grubym wilczym szrotem, a u niego nie znalazł tego ładunku, więc czysta *konkluzja*, że on był winowajcą; do czego i przyznał się bez męki, dodając, że grankulki przyniósł już z domu. Ale

go rozum odstąpił; bo gdyby osobny sobie zrobił ładunek, trudno byłoby dojść prawdy.

Zatém wszyscy się uspakajali, że to nie szlachcie żaden, ale własny poddany wojewodziński takowego excessu się dopuścić; a tak żadnych już suspicyj na sejmikową zawziętość nie było; owszem, wczorajsze nawet po waltorniach strzały, na żołnierzy składano.

Sejmiki nazajutrz zakończyły się cichuténko. Pan Sulistrowski pewny już swojego, raniuténko pożegnał wojewodę i wszystkich panów urzędników, obchodząc ich od kwatery do kwatery, a gdyśmy się zebrali do kościoła pod laską nowego już senatora pana kasztelana Sielickiego, który jako *locum tenens* wojewody, zagaiwszy sessyę, zapytał trzykrotnie o zgodę na panów *Sulistrowskiego* i *Brzostowskiego*, jako posłów województwa połockiego na sejm, szlachta krzyknęła za każdym razem: —Zgoda— i na końcu: — *Wiwat!*

Ichmość *electi* wzięwszy się pod ręce, przechodzili po kościele, kłaniając się pięknie na wszystkie strony. Wtém odezwała się znowu trąbka pocztowa przed kościołem. Pan *Sulistrowski* uściśnął kolegę w babinę, poprosił go aby przywiózł z sobą do Warszawy instrukcye województwa, pokręcił wąsików, uśmiechnął się wesoło, ukłonił się

jeszcze raz wszystkim grzecznie, siadł do koca, i tyle my jego widzieli.

Ale co dziwno było wszystkim, że z nim siadł i pan *Reut*, niedawno tak zawzięty przeciwnik. Teraz dowiadujemy się, że pan pisarz litewski zawiózł go do dóbr swoich w Oszmiańskie, i tam ożenił z panną Czechowiczówną, krewną swoją, bogatą i piękną jedynaczką, sam nawet spendując koszt na huczne w Szemetowszczyźnie wesele. Dajże Boże, aby pan łowczyc, nie zostawszy posłem, podług własnego kazania, nie stracił p. *in connubio* i nie został tym co zostanie.

PO SEJMIKACH.

VIII.

Otoż to takie odbyliśmy sejmiki. Siedzimy teraz w domu. Pan wojewoda zdrów; nosi w kiesce zamiast sporyszów grankulki, które mu z ramienia wydobyto; a gwiazdę srebrną, która go ocaliła, odesłał do Wilna na wotum do *Ostrój Bramy*.

W codziennym zwyczajnym trybie naszego życia, niema co do zapisywania w tym moim raptularzu, który jakoś polubiłem sobie. Już mnie coś

do niego ciągnie; i co wieczór prawie, gdy powrócę z pokojów wojewody do mojej oficynki, a zapalę sobie luleczkę, to i wyjmuję z kuferka mój sekstern, kładę go na stole, zaglądam, przewracam karty, liczę wiele zapisanych, a wiele jeszcze białych? ot tak sobie... to nie przeszkadza ani *Litanii*, ani wieczornym modlitwom; a zakończywszy paciorki, *sekssternik* szust do kuferka, i dobranoc.

Ksiądz Maciej, nasz kapelan, który wie o mojej robocie, widząc że się biorę do przepisywania to tego, to owego, z dyaryuszu wojewodzińskiego, zaleca mnie, abym zeń przekopjował naprzód dwa jego własne kazania, które z pół książki zajmują, a potem *maxymy* i *sentencye* łacińskie, które podobno sam on na polski dyalekt wierszami przewertował, i do księgi wojewodzińskiej w obu dyalektach wpisał.

Sentencye te i *akumina* jezuickiej bodaj jeszcze po większej części fabryki, często gęsto posłyszysz w poważnych dyskursach naszych starych, wysoko golonych *sensatów*: bo u młodych, łysina i łacina wyszły dziś z mody. Wszelakoż zdaje mi się, że *cytlacya ad rem* jakiego mądrego zdania, a zwłaszcza po łacinie, nie szkodzi; dowodzi owszem, że się darmo w szkole kaszy nie jadło; a w dyspucie, to jak klin żelazny, który zgryźć trudno,

a który wbija się i łamie dowody przeciwnika. Nieraz mi się słyszeć zdarzyło, jak jednym takim argumentem skonwinkowano wszystkich i zakończono zwawą dysputę. W życiu więc dworskiem, gdzie często językiem szermować przychodzi, nie zawadzi mieć na pogotowiu w pamięci ładunek takich klinów: a więc to i przepisać warto. Co do kazań, mam nadzieję, że ksiądz Maciej zmodyfikuje się przy lampeczce trojnika.



S e n t e n c y e

z książki pana wojewody.

1.

Dum recte vivis, non curas verba malorum.

Gdy życie twoje cnotliwe, nie dbaj na mowy złośliwe.

2.

Omnia si perdas, famam servare memento!

Jeśli postradasz wszystkiego, broń sławy honoru twego!

3.

Fac bene dum vivis, post mortem vivere si vis.

Czyń dobrze za życia twego, dojdziesz spoczynku wiecznego.

4.

Est labor ingratus, quem praemia nulla sequuntur.

Niemila jest taka praca, za którą nie bywa płaca.

Co to, to wielka prawda: ja sam bardzo nie lubię, kiedy mnie za jaką dworską usługę, pięknym pańskim ukłonem, a nie pasem słuckim płacą. Przy zręczności nie zaniedbam użyć téj mądrej sentencji.

5.

Crescit amor nummi, quantum ipsa pecunia crescit.

Komu pieniędzy przybywa, więcej starania miéwa.

Zdaje mi się, że tu ksiądz Maciej chybił kadencyi.

6.

Nobilitas morum, plus valet quam genitorum.

Kto ma piękne obyczaje, taki się szlachcicem staje.

7.

Inutilis quaestio solvitur silentio.

Kto bredzi, niéma odpowiedzi.

Już to przysłowie dawno znajome, i póki świat światem, nie wyjdzie pono z mody.

8.

Non agnoscitur bonum, nisi omissum.

Kiedy czego pozbędziemy, wtenczas tego żalujemy.

9.

Cum fortuna perit, nullus amicus erit.

Gdy złe przypadki, to przyjaciel rzadki.

10.

Verba ligant homines, caetera animalia funes.

Ludzi słowa dewinkują, zwierzę powrozy krępują.

Często pan wojewoda konwinkując upartych przy kielichu, powtarza sentencję podobną do tej w *sonancyi*, ale innego moralnego sensu: — *Vinum bibunt homines, caetera animalia fontes*. Tak dobrze jak i ksiądz Maciej mogę ja to wytłómaczyć, na przykład: — Wino napój dla człowieka, a dla nieczłowieka, rzeka — *supponitur*, że kto nie człowiek, to *animal est*.

11.

Audi carnificem, spernens audire parentes.

Kto nie słucha rodziców, ten słucha katowskich biczów.

I tu ks. Maciej nie trafił na kadencję, choć maksyma bardzo pożyteczna i prawdziwa, bo ze czwartém przykazaniem zgodna.

12.

Nondum sunt visi, qui caruere, nisi.

Nikt bez ale, panie Michale!

Jakby do mnie napisał; ale nie mam pretensyi do ks. Macieja, bo on tu dawne przysłowie podsztukował; a tymczasem, sam to sobie za obrok duchowny powtarzać mogę: — Oj! tak, tak, *nikt bez ale, panie Michale*.

13.

Non omnes sancti, qui calcant limina templi.

Nie wszyscy święci bywają, co kościoły nawiedzają.

Figurycznie toż samo znaczy — Wszyscy my ludzie, i ks. pleban człowiek.

14.

Hospes non invitatus, recedit saepe ingratus.

Gość na bankiet nieproszony, nie bardzo bywa uczczony.

15.

Exeat ex aula, qui cupit esse pius.

O pobożność przy pokorze, trudno bywa w każdym dworze.

To fałsz. Mówią wprawdzie, że teraz na wielkim świecie niedowiarki i farmazony coraz się mnożą, a za to nawiedzanych i czarowników ubywa; ale ja nie widziałem jeszcze nigdzie takiego zgorszenia, i daj Boże nie obaczyć. Tu u nas ks. kapelan codziennie mszę w kaplicy ogrodowej miewa; pani wojewodzina z córkami i wszystkimi rezydentkami respektowemi jej słucha; pan wojewoda chyba bardzo zajęty, to ją w dniu powszednim opuści, lecz w niedzielę nigdy. Niechżeby który z nas dworskich spóźnił się lub nie przyszedł! pięknejby oracyi posłuchał od wojewody, nie licząc jeszcze ks. Macieja, który *strictissime* pilnuje, aby wszyscy we dworze rano i w wieczór mówili pacierze, i leniwych ku służbie Bożej gorąco napomina. W każdym dworze pańskim, tenże sam *praeter propter* znajduję porządek. Zdarza się wprawdzie czasami u jakiego młodego panicza widzieć i posłyszeć jakie bałamuctwo; ale zwykle gdy młode piwko uchodzi się, to i ojcowskie obyczaje wracają do ścian ojcowskich.

16.

Cum bono, bonus eris; cum perversis, perverteris.

Z jakim kto przystaje, takim się sam staje.

17.

Qui confidit in Domino, nunquam confusus est.

BÓG takiego nie opuści, który się na Niego spuści.

Proszę uniżenie! a kiedy jaki zbolący chudeusz, spuściwszy się na Pana BOGA, woła, że go BÓG opuścił, to nieraz mu odpowiadają: — *A na coś się na Niego spuścił?* — Jakże tu pogodzić te *contraria*? pono najlepiej wierszem nieboszczyka kasztelana Tryzny.

Ufaj! BÓG ci dopomoże;

Ale pracuj sam, nieboże!

18.

Felix, quem faciunt aliena pericula cautum.

Rozumnym się nazwij wtedy, gdy się uczysz z cudzej biedy.

19.

Gaudia principium nostri saepe sunt doloris.

Często nasze radości, są przyczyną żalości.

20.

Quod cito fit, cito perit.

Co się prędko wznieci, nie długo się świeci.

21.

Dormit nocte parum possessor divitiarum.

Nie zasypia w nocy śmieie, kto ma pieniędzy wiele.

22.

Virtus promotore carens, non surgit in altum.

Cnota, praca i pokora, upada bez promotora.

23.

Ex duobus malis, unum minus eligendum sit.

Ze dwojga złego, imaj się mniejszego.

Pan Stanisław powiadał mnie, że wybierając sobie żonę z dwóch siostr rodzonych, poszedł za tem przysłowiem: wybrał mniejszą, i wyszedł jak Zabłocki na mydle, bo teraz inne przysłowie stosować musi do swęj żoneczki: — *Mała jak palec, a zła jak padalec.* — Ale on sobie dworuje, bo ja, bywając często jako przyjaciel w jego domu, znam dobrze panią podczaszynę; małeńka to, prawda, figurka, zacna jednak dama i pięknych ma synków.

24.

Ex meritis vitae, dependent ite venite.

Jako na tym świecie żyjesz, tak i na tamtym użyjesz.

25.

Cantabit vacuus coram latrone viator.

Będzie śpiewał próżny, przed zbójcą podróżny.

26.

Mors nescit legem, tollit cum paupere regem.

Śmierć nie zna prawa żadnego: bierze z panem ubogiego.

27.

Ex libro doctus quolibet esse potest.

Mędrzec to nie tęgi, co ma rozum z książki.

W szkołach jeszcze nasłuchiwałem się tej *sentencyi*; tylko tam mówiono: — *Ex libro doctus, ex capite stultus.* — Bodaj to i na mnie przypadnie, gdy tą cudzą łaciną sztukować się będę.

28.

Quae feceris parentibus, eadem a liberis expecta.

Jako ty rodzice swoje, tak cię uczczą dziatki twoje.

29.

Vilius argentum auro, virtutibus aurum.

Podlejsze srebro od złota, nad złoto zaś droższa cnota.

A toby złotemi literami wypisać trzeba na bramach bogaczy naszych.

30.

Ferunt summos fulmina montes.

W najwyższe góry bije piorun z chmury.

I o témby im pamiętać nie wadziło.

31.

Dum veneris Romam, romano vivito more.

Kiedy siądziesz między wrony, tak też krakaj jak i ony.

Jakby to Rzymianie wronami byli. *Komparacya* wcale nie piękna; i należało ks. Maciejowi połamać sobie głowy, a zamiast podkładania tego

starego przysłowia, ułożyć sprawiedliwy sens tej sentencji.

32.

Si fuit hic asinus, non ibi fiet equus.

Choćby kto świat obszedł kołem, nie będzie z sowy sokół.

33.

Otia quisquis amat, vae! vae! postea clamat.

Komu praca jest kłopotem, oj! oj! będzie wołać potem.

34.

Frangenti fidem, fides frangat eidem.

Kto sam wiarę łamie, temu wiara skłamie.

35.

In nili veste, nemo tractat honeste.

Jak cię widzą, tak cię piszą.

36.

In vestimentis non est sapientia mentis.

Niewiele mądrości mają, którzy się w strojach kochają.

Otoż znowu dwa przeciwne zdania, które pogodzić można szlacheckim naszym przysłowiem:
—*Choć ubogo, ale chędogo.*

37.

Dat bene, dat multum, qui dat cum munere vultum.

To mi podarek prawdziwy, kiedy dający nie krzywy.

38.

Honores mutant mores, sed raro in meliores.

Z honoru większego, rzadko co lepszego.

74

39.

Contra vim mortis, non est medicamentum in hortis.

Przeciw srogiój Libitynie, niema rady w medycynie.

40.

Cur multum peccas, si multum vivere curas?

Nie używaj nadto świata, gdy chcesz żyć Matuzalowe lata.

41.

Lingua est indicium animi.

Poznać zaraz z mowy, jakiej kto jest głowy.

42.

Scripturarum autor, scribenti sis fautor.

Kiedy sam pracujesz stylem, nie bądź dla drugich Zoilem.

43.

Verbis, ut nummis utendum est.

Ostrożnie i wedle miary szafuj słowa i talary.

A to mądrze uciął ks. Maciej; lepiej niżeli w łacińskim, niema co powiedzieć; *acuminose!* Bo i prawda: czy kto nadto talarami sypie, czy bez miary językiem szermuje, zawsze na końcu poznają, że pusta głowa i pusta będzie kieszeń.

44.

Ex magna coena, stomacho fit maxima poena.

Za smaczne w wieczór frykasy, w nocy z brzuchem obertasy.

45.

Jejunus stomachus raro vulgaria temnit.

Gdy się dobrze brzuch przepości, nie wybiera z chleba ości.

75

46.

Post mensam stabis, vel passus mille meabis.

Po obiedzie nie przylegaj, ale tysiąc kroków biegaj.

47.

Post tres saepe dies vilesцит piscis et hospes.

Ryba i gość dnia trzeciego niewiele mają smacznego.

48.

Longa solent sperni, gaudent brevitatem moderni.

Długa mowa, próżne słowa, a na krótką chęć gotowa.

49.

Absint offensae, cum sit celebratio mensae.

Kiedy siedzisz przy biesiadzie, nie myślże o żadnej zwadzie.

50.

Sine labore, non erit panis in ore.

Kto nie chce pracy znieść, ten nie ma czego jeść.

Mając taki zapas sentencyów, nietylko w dyskursach *sensatem*, ale nawet w potrzebie i *oratore* zostać można. Przepiszę jeszcze dalsze niektóre *pro memoria* z księgi pana wojewody....

Tu kilkanaście kart wydartych w manuskrypcie, a na pierwszej z pozostałych następuje:

U C I E C Z K A.

IX.

.....Pan wojewoda tak fulminował, że Bóg wie co by się ze mną stało; możeby w zapamiętałości zapomniał nawet, że ja szlachcic równy jemu i *bene natus*! gdyby Opatrzność nie nadesłała rychłego sukursu. Przybył pan podwojewodzi Połocki Korsak, przyjaciel i admirał wojewody, i przerwał jego zapędy. Jeszcze oni z sobą nie skończyli powitania, gdy ja, wymknąwszy się z pałacu przez kredens, zabiegłem tylko do swojej stancyi, chwyciłem z kołka Elżutkę, z kuferka kieskę z kilką talarami i jednym dukatem węgierskim, z wizerunkiem Matki Boskiej; a że z wierzchu leżał i ten mój raptularz, więc i onego porzucić nie chciałem, i nie mogłem: bo gdyby wpadło w rę-

ce wojewody. com powyżej o nim zapisał sobie (*), lubo to szczerą prawdą, nigdyby mi tego nie darował. Wziąwszy więc jedno i drugie za nadrę, i resztę chudoby zostawiwszy na wolę Boską, pobiegłem co żywo do stajni. Tam dopadłszy konia osiodłanego, (bo zawsze jeden gotowy stał na posyłki), i powiedziawszy stajennym, że za pilnym a ważnym pańskim interesem muszę lecieć do miasteczka, (a miasteczko nasze tuż za groblą), ruszyłem z kopyta za bramę. Tam skręciłem na prawo drogą do *Głębokiego* (**); to sześć mil diabelnych; i lubo już zmrok dobry padał, a wkrótce i noc dość ciemna nasunęła się, ale mnie skry sypały się z oczu, a strach pogoni dodawał śmiałości. Koń sieczony kańczukiem leciał po gościńcu ile miał sił, ale do końca nie dotrzymał nieborak! jeszcze było z pół-mili drogi, gdy on padł bez ducha, a ja kulkiem z góry oparłem się aż na ziemi; że nie skręciłem karku, był to cud miłosierdzia Bożego nade mną. Zawędrowałem już tedy piechotą do klasztoru ojców Karmelitów; szarżało się na dzień, gdy do kościoła się dostał;

(*) To właśnie wydarto.

(**) *Głębokie* — miasteczko teraz w powiecie Dziśnieńskim, w gubernji Wileńskiej.

księża śpiewali jutrznię, i ksiądz przeor do powszechnego zbudowania był z niemi.

Gdy się ukończyły pacierze, na szczęście moje ksiądz przeor sam jeden i najpierwszy wyszedł z choru; na kurytarzu dopadłem go i przytrzymałem za habit.

—Co tu robisz tak rano? panie Michale!— bo mnie zna dobrze, i mamy niejakąś choć daleką kolligacyą.

Wytłumaczyłem mu więc niespodziany powód mojego przybycia, prosząc o radę i schronienie przed pierwszym impetem wojewody.

Wysłuchawszy mnie cierpliwie— To inna *facies rarem* — rzekł, i dał znak ręką, abym szedł za nim. Kurytarze puste jeszcze były; niewidziani więc od nikogo dostaliśmy się do jego mieszkania. Wprowadził mnie zatem przez alkierz do osobnej komnatki, i rzekł: —Nawarzyłeś piwa, panie Michale, i naraziłeś nasz klasztor na gniew wojewody, który jeżeli się dowie, co łatwo stać się może, żem cię przechował, jako pan przemożny, potrafi nam nieraz dopiec do żywego. Przecież opuścić ciebie, ani miłość chrześcijańska, ani nasza *koneksya* nie dozwala. Musisz więc tu zostać przez dzień cały w zamknięciu; a skoro noc nastąpi, *post silentium* dalej cię wyprawię.

— Masz tu na półkach posiłek potrzebny: szynka, pieczeń, wódeczki i zakąski. Spodziewam się, że z głodu nie umrzesz.

To rzekłszy, wyszedł, zamknął drzwi i klucz wyjął z zamku.

Zostawszy sam jeden, poznałem że to prawda: „*Kiedy twoga, to do Boga!*” Coś mi tak ni to żałośnie, ni to smutno zrobiło się... Ukląłem więc, obróciwszy się ku kościołowi, a postrzegłszy jeszcze przez zakratowane okno i krzyż wieżowy, tém gorliwiej modlić się począłem; skończyłem na *sub tuum praesidium*; wstałem, a rzeczwić mi jakoś i weselej już było. — Wolaż Pana BOGA! — pomyślałem, pokręciłem wąsa, (ach! kto by to zgadł, że ostatni raz go pokręcałem?) i zacząłem rozpatrywać się w zapasach księdza przeora.

Łaska Boska! ani w Kanie Galilejskiej lepiej nie było! Rozmaite wódeczki, wina i miodu flaszki pełne; a jakie zakąski! pierniki, pieprzniki, tłuczeńce, oraz smaczna wędlinka; niczego nie brakło. Posiliwszy się zatem porządnie, przypomniałem sobie sentencję: — *Vinum laetificat cor hominum!* Wypróżniłem więc flaszkę téj recepty, i rozciągnąwszy się na ławie, choć z kułakiem pod głowę, zasnąłem jakby na poduszce.

Ledwo pod wieczór mógł mnie dobudzić się przeor: fatyga i flaszka jak w letarg mnie wrzuciły. — Wstawaj, panie Michale! — zawołał on — czas myśleć o podróży. Szukają waszmości, a rozparty biegun wojewody na gościńcu dał poszlakę, żeś wpadł w nocy do miasteczka, i naturalna *suppozycja*, żeś tu za furta. *Tandem* nie trać serca. Pomyślałem o bezpieczeństwie twej *peregrynacyi*. Ale dokąd myślisz się udać?

— Sam nie wiem — odpowiedziałem — zdaje mi się, że najbezpieczniej będzie do najbliższego wojewódzkiego miasta, gdzie mnie, jako szlachcica, ani ująć, ani prześladować nie będzie mógł wojewoda.

— Więc do Mińska — rzekł przeor.

— A chociażby.

To i dobrze; ale cóż tam sobie poczniesz?

Co Bóg da. Na chlebie, zda mi się, nie zbędzie człowiekowi, który pracy się nie lęka, a dworów i pańów jeszcze chwala Bogu mamy.

— A gdyby kaptur?...

— A to dla czego?

— Dla zbawienia duszy, dla pokuty za grzechy i dla spokojnego kąta na starość.

— Ha! gdybym to był pewnym, że będę przeorem Głębockim: bo tu ichmość podobno kilkaset chat macie!...

— Nie święci garnki lepią. Ależ na co te myśli o *mamonie*? Młody wprawdzie jesteś człowiek, ależ w tym wieku większe jeszcze do grzechu pokusy, a na świecie trudno się ustrzedz.... Ja wstąpiłem do zakonu mając lat trzydzieści, teraz mam, chwała Bogu, pięćdziesiąt... no... i to jakoś... pracując na chwałę Boską i na zbawienie duszy.... Ot tylko namyśl się dobrze a jak poczujesz w sobie *wokacyę*.... Tymczasem do waszmości!

Wypiliśmy po lampeczce jednej i drugiej. — No, wybieraj się teraz — rzekł przeor ocierając usta — a to takim sposobem (otworzył skrzynię w kącie stojącą): weź ztąd stary zakonny habit; za obszerny być może dla ciebie, temu łatwo poradzić: znajdziesz tu razem i pościel, poduszka więc uzupełni cyrkumferencyę twoję, potem zda się ci ona pod głowę, nim ja twoje manatki od wojewody wydobędę i tobie odeszlę. Nic mu nie zawiniłeś, więc grabić cię nie może. Ogol wąsy — przyniosłem ci i brzytwę w kieszeni.

— Jak to? mam ogolić wąsy?

— A naturalnie, żaden przecie zakonnik z wąsami nie chodzi.

— Ależ ja nie mam jeszcze *wokacyi*.

— Nie o to idzie, mój bracie! ale *transfiguracya* twoja potrzebną jest *pro hac sola vice*, abyś

bezpiecznie do Mińska dojechał; a w habicie z wąsami gdy kto cię postrzeże... Toć i odrosną potem, niech ich tam kaci wezmą!... Ja innego środka nie mam, a w klasztorze trzymać cię nie mogę.

Nie było co odpowiedzieć. On wyszedł, a ja wziąłem się do brzytwy. Trudno opowiedzieć, z jakim to żalem przyszło mi się rozstawać z wąsami; ale bo to były wąsy, które prym trzymały na dworze pana wojewody, a nawet i niedawno na sejmiku; przed rudominowskimi tylko ustąpić musiały. A jakże ja ich pielęgnowałem! jak układałem i gumowałem! jak niemi wszystkie afekta oblicza wyrazić umiałem! ale cóż robić! *Sic fata tulerunt!* Więc wypilem duszkiem szklankę wina, i.... ogoliłem wąsy. Aż sam siebie przeląknęłam się, gdym się obaczył w lusterku: golutenki jak baba! nos mój wyrosł we dwoje, wargę długa jak u starego Niemca, słowem, straszidło weneckie! Łzy mi w oczach stanęły, i właśnie na fantazję chciałem pokręcić wąsa... Reszta przyborów nie zabrało wiele czasu. Habitem we dwoje okręcić się mogłem; ale podłożywszy poduszkę, zacisnąwszy się rzemiennym pasem i zawiesiwszy pod nim koronkę, byłem podobniejszy do wypukłej beczki, niż do stworzenia Bożego: na koniec księdzowską czapeczką pokryłem głowę; jeszcze

raz spójrzałem się we zwierciadełko, i pewny byłem, że nie tylko drudzy, ale i ja sam niełatwobym siebie poznał. Siedziałem więc już tylko spokojnie na zedlu, ani się poruszyłem, rozważałem moję biedę terażniejszą: różnicę między kuntuszem i habitem, między pasem litym słuckim a pasem czarnym skórzanym zakonnym, między karabelą a koronką; spójrzałem na moję Elżutkę w kącie stojącą, przepamiętywałem i rejestrowałem w myśli moję chudobę szlachecką w kuferku zostawioną, gdy posłyszałem dzwonek *silentium*, i wszedł ksiądz przeor.

— No, ojcie Michale! — rzekł on, oglądając mnie ze świecą z nóg do głowy. — Cóż to waszmości? łzy na oczach? Wstydz się! Powrócisz znowu do tak ukochanego przez ciebie świata, kiedy za nim tak tęsknisz; w Mińsku zrobisz z sobą co zechcesz; nie płacz więc jak dziecko. Oto masz *obedientiā in scriptis*, którą okażesz, jeżeliby kto cię zaturbował na drodze; pamiętaj, że się nazywasz ksiądz Bonawentura Bobakowski, kaznodzieja posyłający się z naszego głębockiego klasztoru do klasztoru mińskiego: tak stoi *w obedientii*. A to list ode mnie do naszego tam przeora, który zaszyjesz w szkaplerz, a oddasz mu *in ocluso*. Nakoniec oto masz na drogę — rzekł, sunąc mi w rękę kilka talarów bitych.

— Dziękuję pokornie *Reverendissime!* ale mam swój małeńki zapasik.

— Z przybytku głowa nie boli, a zatem przyjm śmiało. Wszakże ja tam twój jakiś wujaszek, a klasztoru tém nie zubożę. — Więc już i przyjąłem.

— A teraz idźmy. — Więc ja z kąta za Elżutkę.... a on mię za rękę.

— A cóż to znowu? czy myślisz przypasać ją do habitu?

— Nie, ale darujesz Jegomość Dobrodziej, szabelki mojej nie zostawię; okryję ją w wozie, z matelzakiem, w którym moje świeckie odzienie. Noc ciemna, i furman nawet nie zobaczy.

— Oj! bo ta szabelka odwodzić cię będzie od pobożniejszych myśli, a ja życzyłbym.... Zresztą *homo proponit, Deus disponit, et Deus te benedicat!* Nie tracę nadziei.... Jedź z BOGIEM, a ja jutro odprawię mszę na twoję *intencję*.

W N I E Ś W I Ź U.

X.

MILYŻ BOŻE! czym się mógł spodziewać albo pomyśleć przed kilką tygodniami na dworze wo-

jewody, że wkrótce będę tu siedział w celi, w habicie *Fratrum minorum*, a po prostu mówiąc, Bernardyńskim? bo jeszcze niebardzo się przyzwyczaiłem do tego nazwania. Prawdę powiedział wyprowadzając mnie z Głębokiego tamtejszy ksiądz przeor, a mój wujaszek: — *Homo proponit, Deus disponit* — i prawdziwie była w tem wszystkiem wola Boska, *digitus Dei!* Zapisawszy zaś w Mińsku powyżej moje ucieczkę i transfigurację na karmelitę, opiszę tu jeszcze w moim kochanym raptularzu i progress ten przejścia na formalnego zakonnika. Odstąpiła mnie szabelka moja, nie powróciły raz ogolone wąsy, jedna mi tylko została pociecha, ta moja książka; a kto wie? może i jęj wkrótce będzie *finis*? bo cóż pisać, gdy nie będzie treści, a zkad znowu treść w klasztornej celi?

Podróż moja obeszła się bez żadnego przypadku; zajęchałem prościuteńko do Karmelitów. Klasztorzek to nędzny i drewniany; ledwo trzech zakonników w nim mieszka. Obaczywszy mnie przełożony, krzyknął: — Czy poszaleli? przysyłać mnie do ubogiej rezydencji taką pipę! Wać i mnie samego zjeść gotów!

Podałem mu *obedientią*, ani czytać jęj nie chciał; więc wsunąłem list. Ujrzawszy on na

kopercie: *solis*, spójrział na mnie i poprowadził za sobą.

W celi, odczytawszy pismo — Ot tobie masz! — rzekł — co ja z wasanem pocznę? Ks. przeor pisze mi pod figurą i to i owo....

— Nie alteruj się, *Reverendissime!* — przerwałem — proszę tylko o lokacyę na parę dni, a już ja sobie poradzę.

Wszedł do alkierza *Pater*, wyniósł ztamtąd flaszkę z wódką i dzwono marynaty ze szczupaka. — Posił się wasan po drodze, a ja tymczasem pomysłę. — Jakoż ja i posiliłem się, i siedziałem już z pół-godziny, a on chodził nieustannie szerokim krokiem po celi nic nie mówiąc; odczytywał tylko list pokilkakrotnie i głową kręcił. Nie wiem na czémby się to zakończyło, gdyby, jak umyślnie, a widać z przeznaczenia, nie wszedł ksiądz kustosz tamtejszego klasztoru Bernardyńskiego.

— *Salve! Reverendissime! salve!* — rzekł on; a postrzegłszy mnie: — Cóż to? masz nowego przybysza? — i mierząc mnie okiem z nóg do głowy — Postura *tanquam* kufa! ot co jest. — Ale tém lepiej. Przyszedłem prosić Wielebność Waszą na jutrzejszy fest do nas z całym konwentem, a po służbie Bożej na uczciwą pieczeń ba-

rania i na *konsolacyą*, ot co jest. Więc nowo przybyły pomnoży naszą celebę; a kiedyś mądra pałka — dodał, obracając się do mnie — to proszę na ambonę, ot co jest!

— Akceptuję z ochotą pobożną propozycyę księdza kustosza dobrodzieja; co zaś do tego pana, przeczytaj, Reverendissime, ten list, wyrozumiesz może lepiej odemnie sens onego i obu nam poradzisz.

Wziął więc list ks. kustosz, a przebiegłszy — Cóż tu niezrozumianego? — rzekł. — Ks. przeor głęboki prosi cię, ojcze, abyś oddawcy tego listu, kolligatowi jego, panu Michałowi Ławrynowiczowi, a byłemu marszałkowi dworu pana wojewody... dał u siebie schronienie i wygodę na dni kilka, a upewnia cię słowem kapłańskiem, że ucieczka i przebranie się Jegomości nie z jego, broń Boże, przyczyny, lub jakiego *excessu*, ale tylko celem wywinienia się z rąk niesłusznie nań *in summo gradu* zagniewanego wojewody pochodzi, ot co jest! Więc nad czémże suszysz sobie głowę?

— Ale *post scriptum* na drugiej stronie: *verte*.

— Aha! *verte*, nie postrzegłem — i czytał: „Dbając nie tak o dobro doczesne mojego kolligata, jak o jego zbawienie wieczne, proponowałem mu stan nasz duchowny. W krótkim czasie nie mogłem pomiarkować, na jaką rolę padło

ziarno. Waść więc, ojczy, *per viam persuasivnis... Una salus servire Deo, caetera fraudes!... intelligis? ... Prudenter age!... et fiat voluntas Dei* (*).

— *Est res, et nulla res est!* jest rzecz i nie ma rzeczy! ot co jest! — rzekł ksiądz kustosz, kładąc list na stole — a cóż Jegomość na to?

— Ja na to nie odpowiedziałem księdzu przeorowi w Głębokiem, i tu nie mam co odpowiedzieć. W każdym stanie można być, zdaje mi się, zbawionym.

— Prawda! najprawdziwsza prawda: *bene dixisti*. Ot co jest. Ale i to prawda, że pewniejszej drogi ku zbawieniu, gdy ta się nadarza, opuszczać nie należy. Lecz gdybyś miał ją obierać, to już *sine dubio* zostań naszym bratem Bernardynem: bo daleko pewniejsze u nas zbawienie duszy, niż u księży Karmelitów. Ot co jest!

— A to za co? — zapytał poruszony przeor.

— A to dla tego, że my, żyjąc z jałmużny, w codzienniej mamy praktyce najgłówniejszą chrześcijańską cnotę, *pokorę*, która, jak wiecie, niebiosą przebijają. Ot co jest!

— No, ale, *computatis computandis*, na czémże

(*) Jedyna droga zbawienia w służbie Bożej, reszta marność! rozumiesz?.... Czyń mądrze!.... i niech się dzieje wola Boża.

staje? — i nie czekając odpowiedzi, mówił dalej: — ja dam radę najlepszą. W twoim, księżu przeorze, klasztoru może być panu ex-marszałkowi i ciasno i głodno. Ot co jest! Zatem *peto mecum*, mój dobrodzieju! Dam ci chętnie *victum et amictum*, nim cię Bóg tak lub owak obróci; a ponieważ, jako marszałek dworu wielkiego pana, musisz znać się i na stołowym porządku, przeto dopomożesz mi do udysponowania jutrzejszego obiadu, a potem do podejmowania naszego prowincyała, którego się wkrótce spodziewam. Ot co jest! A ciebie, tatuleńku, czekam jutro na dziewiątą do zakrystyi. *Vale!*

Ponieważ mnie ks. przeor wcale nie zatrzymywał, owszem zdawał się być kontent z pozbycia się, i pożegnał wdzięczniej niżeli przyjął, więc przebrawszy się po dawnemu, z Elżutką przy boku a poduszką pod pachą, poszedłem za księdzem kustoszem.

Rozgościłem się w klasztorze wkrótce i łatwo. Kustosz wyznaczył mi celę schludną i wesołą, która mi się od razu podobała; uprowidował ją we wszelkie porządki i wygody, a nakoniec dzban cynowy z wyśmienitem piwem na stole postawił.

Wzajemnie zająłem się jutrzejszym obiadem, mając w pomoc starego brata *kanaparza*: jakoż

wszystko poszło daleko lepiej i smaczniej, niż przedtém bywało. A zatém po téj pierwszej probie, ksiądz kustosz zaprosił mię do niejakiego *ad interim* przełożenstwa, nad zamożną klasztorną *dispensą* i piwnicą; czego mu nie odmówilem, zwłaszcza żeśmy się z sobą wielce jakoś pobratali i polubili; a nawet od dnia do dnia, coraz bardziej przypadając mi do smaku to spokojne, poufale i pobożne między bracią życie, a ochota do powrócenia na świat coraz to stygła.

Już to widać taka była wola Pana BOGA: bo i rozmyślanie o słowach księdza przeora głębockiego często mi po głowie przemykało, i co najbardziej, że gdy rano wstawszy poszedłem na mszę i wysłuchałem jej pobożnie, albo i posłużyłem księdzu kustoszowi, który najczęściej pierwszą mszę miewał, to mi tak słodko, miło i spokojnie robiło się na sercu, że nigdy tak nie bywało na świecie. Po mszy ks. kustosz prowadził mię razem do siebie na kawę.

— Posłużywszy Bogu — powiadał on — możemy śmiało, panie Michale, pomyśleć i o cielesnym posiłku. Ot co jest!

Potém każdy do swojego, a ja na *consilium* z bratem kanaparzem względem obiadu, który że od mojego przybycia do klasztoru zawsze był sma-

czniejszym niż dawniej, przeto mi *Patres et Fratres* wielce wdzięcznymi byli.

Po obiedzie *requies* prawie w każdej celi, *post requiem* albo odwiedziny wzajemne i *colloquia* mądre, a czasami i dykteryjki jowialne, ale skromne, albo przechadzka po ogrodzie, a tam kręgle dla mocyi, a przy nich piwo *de puro grano* dla ochłody, lub miodek dla humoru. Tak nie postrzeżesz jak nadejdzie wieczór, a wtenczas warcaby, maryaszyk na boby, a czasem i ćwiczek po groszówce, w miłej i poufalej komitywie aż do *silentium*, które jak tylko brzęknie w dzwonek, wnet każdy w swojej celi nad brewiarzem, i tylko ksiądz kustosz czasami obejdzie po kurytarzach, *stricte* pilnując reguły zakonnej. O tém ani mówić, że każdy podług swego urzędu w zakonie i obowiązku w klasztorze, w kościele, w chórze i na chórze, ani minuty nie chybi, ani jednego pacierza nie zapomni. Bo, jak powiada ks. kustosz, co Bogu, to Bogu!

Kilka już tygodni przebyłem w klasztorze, gdy mi ksiądz przeor głębocki odesłał kuferek i całą chudobę moję, wyprosiwszy jakoś wszystko od wojewody. To przypomniało mi, że czas było o sobie pomyśleć.

Porozwieszałem w celi dla przesuszenia żupanu, kontusze, kapoty. Dwa pasy moje słuckie: jeden bogaty złoty w karpia łuskę, drugi piękny jedwabny, rozwinąłem na stole, *et id genus* wszystko, co się w kuferku znalazło, gdy wszedł do mnie ksiądz kustosz.

—A jaką to zakrystyę ubrałeś? panie Michale—zapytał.

—To moje rupiecie, które mi odesłał ks. przeor głębocki. — A w duchu byłem kontent, że kustosz mógł przecie obaczyć, żem nie z pod płota wylazł.

—Ot to byłaby piękna kapa na *asperges*—mówił on, gładząc pas mój lity— z żupanów gredyturowych i atłasowych, ornaty; z kontuszków, *antepe-dia*, a z właściciela — obracając się do mnie — Bernardyn! Ot co jest!

—Nieraz mi to, *Reverendissime*, po głowie przechodzi, ale...

—Co za ale?— przerwał.— Ofiara ze światowej marności i z samego siebie na służbę Bożą nie ma żadnego ale! Cóż w tém złego? Diabeł na świecie tańczy koło ciebie, jak wilk koło barana, a od paska świętego Antoniego ucieka, jak złodziej od powroza. Ot co jest. Czyż ci źle między nami?

—Dobrze dotąd, i bardzo dobrze; ale co innego być między wami gościem, a co innego....

—Być pod *obedientią*! prawda, ależ i na świecie, kto służy, wolność traci, a zatem musi także być pod *obedientią*. Ot co jest!

—Widzisz, *Reverendissime*, na kapłana trzeba osobnej nauki; gdzież mi już rozpoczynać nawo szkoły?

—W twoim wieku, gdybym cię przypilnował tego, a dla ochoty do Teologii, gdybym cię przeprowadził przez pięć piątków, przez *miserere* i *dyssyplinę*, mógłbyś od razu zostać *Jubilatem*, zwłaszcza że i po łacinie umiesz. Ot co jest! Ale twój *animusz* nie do tego: więc ci tak daleko zachodzić nie życzę. Zrób professyą na braciszka *sine missa*, zostań z nami Bernardynami, Boga chwal, sztukę mięsa wal! Ot co jest!

Ta rubaszna perora nie bardzo mię konwinkowała; ale po krótkiem milczeniu ksiądz kustosz dodał:

—Żart na stronę, panie Michale, ale posłuchaj mnie. Jesteś poczciwy i bogobojny człowiek: z temi przymiotami, za błogosławieństwem Boskiem, może ci na świecie dobrze się darzyć; lecz w spokojnem zakonnem życiu pewnie będzie ci lepiej. Pokochałem cię szczerze i dla tego samego nie będę cię długo apostołował: bo mógłbyś myśleć, i ja bym sam podejrzewał siebie, że nie chcąc z tobą się rozstawać, nawracam cię do zakonu. Jeżeli

jednak nie masz jakich szczególnych *obligacji* na świecie, po którychbyś tęsknił w klasztorze, bo czyste serce Bogu ofiarować trzeba; jeżeli upodobałeś nasze zakonne życie i obowiązki, którym zresztą wystarczysz łatwo, to życzę ci wezwać Pana Boga na pomoc i prosić Jego łaski, aby cię oświecił, a myśli twoje i postanowienie podług swęj woli świętej skierował. Odprawimy dziś solenne na twoję intencję nieszpory; wysłuchaj ich z nabożeństwem i pokorą, a potem zrób co ci Bóg do serca poda. Ot co jest!

Gdy wyszedł kustosz, chodziłem niespokojnie po celi; w głowie mi szumiało.... Gdyby on nacierał na mnie gorąco, tobym się potrafił obronić, i upor na upor; ale najgorsze w życiu ludzkim *te jak chcesz!* I tak *dobrze*, i tak *dobrze*; albo i tak *źle*, i tak *źle*.... A Bóg wie tylko co *lepiej*, a co *gorzej*. Więc czekałem już niecierpliwie nieszporów.

Gdy się zaczęły, krzyżem leżąc modliłem się gorliwie i wzywałem opieki Matki Boskiej, do której szczególniejszą mam modlitewkę:

Kto chce Pannie Maryi służyć,
A Jęj osobliwszym miłośnikiem być....

i tak dalej. Jakoż po tej modlitwie, podniosłem z ziemi zapłakane oczy do obrazu tej Pani świa-

ta i niebieskiej Królowej, a wstąpiła myśl we mnie, jakbym do niej mówił: —Będę Tobie i Twojemu najświętszemu Synowi do śmierci służył. Opiekunko moja i Orędowniczko! Panno łaski Bożej pełna! przyjm ofiarę moje; oddał ode mnie wszystkie ziemskie i światowe pokusy! a ja przysięgam i ślubuję od tego momentu wielbić Cię i wysławiać w zakonie, aż do grobowej deski....

Długo jeszcze modliłem się; a gdy powstałem z ziemi, nikogo już nie było w kościele, i nie postrzegłem jak się nieszpory skończyły. Ojcowie wyszli z choru, i ja sam jeden się zostałem. Ciemno już było, lampa tylko migotała przed ołtarzem... gdy wtém usłyszałem stapanie za mną... Zmora mnie przebiegła. Aż tu obok mnie stanął ksiądz kustosz, który siedział w konfessjonale i czekał na mnie.

—Zgaduję, bracie — rzekł on — twoje postanowienie; niech cię Bóg w niem utwierdza! a ja cię życzliwą kapłańską ręką błogosławię!

Ukląknę. Przeżegnał mię, uścisnął za głowę, ukląknął potem obok; zmówiliśmy *Te Deum laudamus*, i wyszliśmy przez zakrystyę na klasztorne kurytarze.

Dopałem śpiesznym krokiem mojej celi, za mną ksiądz kustosz; tam spakowawszy bez ładu, ale i bez żalu, a nawet z niejakaś pociechą, mo-

je suknie i pasy do kuferka — to, ojcze! — rzekłem, zanieś do siebie; oddaję wszystko do twojego rozporządzenia.

— Nie, bracie! — odpowiedział *pater* — zanieśmy obadwa kuferek ten do zakrystyi: bo już to nie moje ni twoje, ale ofiara twoja Bogu, który myśli i serce twe widzi. Ot co jest!

Dictum, factum. Kuferek został w zakrystyi, a ja, pożegnawszy księdza przeora, udałem się na spoczynek, i bez żadnych żalów lub *molestacji*, najspokojniej zasnąłem.



N A Z A J U T R Z.

XI.

JEDWOM się ocknął, wszedł do mnie brat Bonifacy *servitor*. — Ksiądz kustosz pozdrawia! — rzekł on, i habit położył mi przy łóżku; nic więcej nie powiedział i wyszedł.

Wstałem, włożyłem kapotę i poglądałem na habit.... wtém zastukał do celi ks. kustosz idący na mszę: bo zawsze mi ten znak dawał, i ja wnet śpieszyłem za nim słuchać jego mszy, albo służyć. Jakoż i teraz służyłem; a po mszy, rozebrawszy

się w zakrystyi, rzekł on do mnie: —A cóż? pannie Michale! jak uważam, znowu odnieść trzeba kuferek do celi.

—A niech mię Bóg od tego uchowa!— rzekłem, bo przy ofiarowaniu mszy świętej, znowu duch nowy, i jakby pragnienie habitu, weszło mi do duszy. Już to wyraźnie cud Boski i powołanie; więc aż dreszcz mnie przeszedł na tę propozycję odebrania nazad ofiary.

—Owszem, *reverendissime!*— odpowiedziałem— idźmy do celi, i wnet się oblekę w zakonną sukienkę. Raz ślubowałem Bogu i jego Matce Przenajświętszej; determinacyi mojej nie zmienię.

Krótko mówiąc, włożyłem habit, podstrzygłem włosy, ogoliłem odrastające wąsy. Wyznaję, że gdym się paskiem podpasywał, pas lity był na sercu.... ale to krótko, bo poznałem w tej pokusie sprawkę szatana: więc przeżegnałem się, i zło to z głowy znikło; a ksiądz kustosz obecny temu wszystkiemu, zdjął z siebie krzyż piękny na taśmie jedwabnej i mnie na szyi zawiesił.

Wnet poszliśmy do celi jego, i za jegoż rozkazem zadzwoniono trzy razy w dzwonek klasztorny; zatem zeszli się wszyscy xięża, bo w klasztorze nie dzwonek, ale *obedientia* dzwoni.

—Oto jest— rzekł kustosz— nowy brat nasz Michał, ot co jest! który wstępuje do naszego za-

konu nie z żadnych światowych pobudek, ale z czystej *wokacyi*, którą go Bóg nawiedził. *Gaudeamus* zatem, bracia mili, i przyjmujmy go *apertis manibus*: bo i z nauki i z obyczajów będzie on pożytecznym Bogu i ludziom. Ot co jest! Dziś wczasie wotywy odprawi on swoją pierwszą *professyę*.

—A potem— odezwał się ksiądz Rafał, stary definitor— przejść powinien na *probanta* i *serwitora*.

—A czy właści— odpowiedział kustosz— uprzykrzyły się smakowite obiady i wieczerze, które z jego łaski zjadasz? Co nam po takim *serwitorze*? Ja sam wiem najlepiej, że on z pokornym sercem wchodzi do zakonu. Obacz waszeć w zakrystyi, jakie piękne złoto-lite pasy, materjalne i sajetowe suknie oddał ochotnie na ofiarę Bogu, a na ozdobę naszego kościoła: znaczy, że się wyrzekł szczerze marności światowych. *Serwitorów*, *defnitorów* mamy bez liku, ale ludzi pożytecznych zamało! Ot co jest!

Ksiądz Rafał spuścił nos na kwintę.

—Bracie Michale!— mówił dalej kustosz— zdaję waszeci zupełnie naszą *dyspensę*, sklep i kuchnię; dodaję, jako i dotąd, w pomoc naszego starego kanaparza i spuszcza się na ciebie; patrzaj, abyśmy naszego ojca prowincyała, którego codzien się spodziewam, uczciwie przyjęli. Ot co jest!

Gdy *patres* wyszli, podziękowałem mu za okazaną dla mnie tak wyraźną *benewolentią*, i rzekłem:— Podobno, *reverendissime*, zakonnik nie może mieć ani grosza własnego: oto mój mały zapasik— i podałem kieskę z kilkunastu talarami— excypuję tylko sobie, *si licet*, dukata *cum effigie* Najświętszej Panny.

—*Iterum, iterumque gaudeo!*— rzekł, ściskając mię za głowę— z tak pobożnej twój intencji; ale jeszcze tak ściśle regule zakonnej nie ulegasz i ulegać, jako *frater* a nie *pater*, nie będziesz, tém bardziej, że co do pieniędzy, prawdę mówiąc, nie przestrzegamy jej *quo ad assem*. Bo i u któregoż bernardyna mogłoby się znaleźć wiele pieniędzy? a że który tam ma jakąś złotówkę na tabakę, to i niech zdrów ma. Więc i ty możesz ten zapas zachować; użyj go na dobry uczynek, a kiedy i krewniaka jakiego wesprzesz, nie zgrzeszysz. Ot co jest! A cóż zrobim z szabelką?— Zapytał jeszcze uśmiechając się.

—Odeszlę ją przy okazji memu przyjacielowi podczaszemu Swiebodzie; ma on *Harasima*, niechże go ożeni z moją *Elżutką*.

Nadjechał wkrótce i ksiądz prowincyał, a za nim kilku gwardyanów jadących razem do Nie-

świża na kapitułę. Nie powstydzilem się z kuchnią; cokolwiek się na przystawkach ukazało przed *patrami*, warte było ich gęby. Nie traktowałem ja ich żadnemi pańskimi frykasami; ale hultajski bigos, rosół z indyka, zrazy zawijane, pieczeń huzarska; a w środy, piątki i soboty, kaletki postne, śliże, szczupak na żółto w szafranie, wszystko czysto i smaczno ugotowane, tak, że nic do *kontentecy* zupełnej nie brakowało.

—Kto u ciebie, bracie?— zapytał ojciec prowincyał kustosza— tak smakowicie jeść gotuje?

—To niedawny dworak, marszałek wielkiego pana, a teraz nasz braciszek Michał Lawrynowicz, któremu zdałem dyspensę i kuchnię; a oddał z jego starania i *experiencyi*, smaczniej jadamy. Ot co jest!

Gdym więc przed księdzem prowincyałem postawił przystawkę z kapłonem śledziami nadzianym — *gratias ago!*— rzekł on, spojrzawszy na mnie i zmierzwszy od stóp do głowy.

Jest reguła zakonna, że całe zgromadzenie w klasztorze, do którego przybywa prowincyał, stawia *ex ordine* pojedynczo przed nim dla examinu, każdy o sobie i o klasztorze. Zawołano więc i mnie. *Kwestja pierwsza*: czy nie mam jakiej krzywdy lub skargi na kogo w klasztorze?— Nie. — *Kwestja druga*: Czy nie widzę jakiego zgorszenia, które

pod obowiązkiem sumienia powinienem objawić?—
Nie.— *Kwestja trzecia*: Jaki był mój stan przeszły, i co było powodem wstąpienia do zakonu?

Na to opowiedziałem *summatim* i pokrótce całe moje życie, a szczególnie jak z przygody wojewodzinińskiej przedzierzgnąłem się *insperate* na karmelitę, i tandem za pomocą Bożą na bernardyna.

Upodobał jakoś nikczemną personę moję ojciec nasz. —Uważam ja — rzekł— że sprawiedliwie mi ksiądz kustosz tutejszy mówił, że nosisz głowę nie dla proporcji. Zalecę mu, aby cię wziął za socyusa na kapitułę. Będiesz waszeć i tam w Nieświżu urządzał *sumptem* naszym, a potem obierzesz sobie rezydencyą gdzie sam zechcesz.

—Nie chciałbym — rzekłem — rozłączyć się z tutejszym księdzem kustoszem.

—To się da łatwo pomiarkować, a tymczasem *vale*.

Tak się i stało. Oto jestem w *Nieświżu*, gdzie przybyliśmy z księdzem kustoszem porządną bryką, zaprzężoną trzema spastłemi końmi, a wyładowaną zapasami podróźnemi *omnis generis* i specyałami z klasztoru siostr naszych Bernardynek mińskich, na drogę nam przysłanemi, oraz pudrem pełnem, od którego klucze pod moją są *kustodyą*.



K A P I T U Ł A.

XII.

WIELKI, ba największy pan w całej Litwie jest książę Karol Radziwiłł, ordynat Nieświżski, mieszkający w tutejszym zamku z licznym swoim dworem, koło którego żywi się szlachta, robi fortuny z jego dobrodziejstw, których i klasztorom Nieświżskim hojnie on udziela, a szczególnie naszemu bernardyńskiemu, którego jest syndykiem.

Najpierw więc gdy się zebrała kapituła, ojciec prowincyał i wszyscy gwardyane udali się do zamku dla złożenia *homagium* księciu jegomości, i z zaproszeniem najutrzejšie solenne nabożeństwo.

Przyjął książę łaskawie *patrów*, i oświadczył wzajemnie, że, jako syndyk, a zatém gospodarz w Nieświżskim klasztorze, sam swoich gości wiktować będzie, i sumpt na kapitułę na siebie przyjmuje.

Jakoż wnet wieczorem przypędzono kilka wół karmnych i wszelakich do spiżarni nawiezio-

no zapasów, toż siana i obroków do spichlerzów; a do sklepu wtoczyliśmy kufę trojniaku, dwa antały wina i piwa beczek kilkanaście; ryb zaś na dni postne, z ogromnych stawów Nieświżskich dostarczać obiecano.

Nazajutrz, po solennem nabożeństwie, zebrali się ojcowie do refektarza i zasiedli na kapitułę. Wszedł tam i książę, otoczony liczną assystencyą swojego dworu, ale zdjął z siebie wszystkie swe pańskie dystynktorya, orderzy i brylanty, a nawet zamiast bogatego pasa, bernardyńskim paskiem się podpasał.

Przypatrywałem się ciekawie temu sławnemu panu, bo o nim i na dworze pana wojewody, i na dworze pana Burzyńskiego starosty, gdzien wprzód zostawał, wiele się nasłuchałem. Persona to okazała, wieku już podeszłego, łeb golony, wąs zawieszisty, brwi i powieki nad oczami nawisłe, z pod których gdy poprowadzi wzrokiem, to aż dreszcz człeka przechodzi, głos jak tuba; a jednak mimo tej swojej powierzchowności, jest to najwspanialszy i najlepszego serca pan. Często tylko krotofilny i szumny, ma przysłowie *panie kochanku!* i gdy pytają: który Radziwiłł? odpowiadają zwyczajnie: książę *panie kochanku*, a to znaczy *ordynat Nieświżski*.

Otoż gdy wszedł książę do refektarza, powstali

ojcowie i księcia na pierwsze zaprosili krzesło, a ksiądz prowincyał piękną go *ex abrupto* powitał oracyą, dziękując i za dobrodziejstwa jego dla zakonu świadczone, i za honor, który czyni kapitule swoją *prezencyą*, zapraszając go owszem do prezydencyi w tém *conclave*, (ale *subintelligitur*, że to tylko dla ceremonii mówił), a nakoniec polecając duszę jego Bogu, jako i świątobliwych przodków jego.

Ksiązę odpowiedział:

—Przyjmuję wdzięcznie, panie kochanku, tę *rekognicyą* waszego affektu ku mnie, i świętym modlitwom waszym się polecam. A na kapitule, jako syndyk tutejszego klasztoru, mam prawo bywać, więc nie ubliżę memu obowiązкови.

Po tej ceremonii wyszedł ksiązę, a ojcowie *obstupuerunt* na to oświadczenie jego, że na sessjach kapituły bywać postanowił. Łamali sobie głowy, zkąd jemu ta fantazja? wymawiali nawet prowincyałowi, że go zapraszał; zresztą zaprzeczyć temu nie mogąc, pocieszali się nadzieją, że po kilku sessjach przejdzie mu ochota, i uwolni ich od subiekcyi ulegania jego *preponderancyi*.

I prawda.... uwolnił on nas pięknie od wszelkiej subiekcyi, bo zakończył kapitułę we dni kilka, któraby się może bez niego i kilka tygodni przeciągnęła. A to po swojemu, takim sposobem:

gdy przyszło do wybierania gwardyanów i kustoszów do rozmaitych klasztorów, książę, nie czekając na *wota* i *consilia* definitorów i jubilatów, zaczął *ad velle sui* rozporządzać i wyznaczać.

— Waść, panie kochanku! — rzekł naprzód do mego księdza kustosza mińskiego — będziesz tu u mnie w Nieświżu gwardyanem: bo terazniejszy ksiądz Humiljan już postarzał i ociężał, na nie mi nieprzydatny. Kilka razy zapraszałem go, panie kochanku, na obławę, ani razu nie poszedł; a waść kiedy tu przed kilką laty byłeś gwardyanem, to aż do Łachwy ze mną na polowanie jeździłeś i ogromnego niedźwiedzia zabiłeś.

— Ależ wasza księcia mość mylisz się zapewne: bo lubo byłem tu gwardyanem i słuchałem ochotnie w czem mogłem rozkazów księcia, ale na obławie żadnej nie byłem, a nawet na mojem życiu nie wystrzeliłem bodaj ni razu. Ot co jest!

— Co? panie kochanku! nie wierzysz, że zabiłeś niedźwiedzia? A to całe moje myślistwo przyświadczy! Otoż waść będziesz znowu gwardyanem w *Nieświżu*, waść w *Bucławiu*, waść w *Wilnie* kustoszem, waść do *Citowian*, a waść do *Bienicy*.... i tak dalej, jak z rejestru.

Więc ojcowie zaczęli pomrukiwać i przymawiać księciu, że się tak liberalnie do woli swojej stosować każe.

Książę na to powstał ze swojego krzesła, ukłonił się wszystkim niziutko. — *Mea culpa*, panie kochanku, *mea culpa!* — zawołał, i wyszedł pokorniuchno z refektarza, kropiąc się przy drzwiach święconą wodą. Ale jak tylko na kurytarz się dostał, pokazał co umiał. Zabrał wszystkie klucze ode mnie i od kanaparza, pozamykał i postawił warty przy dyspensie, przy świrnach i sklepach, kazał wygasić ogień na kuchni, sagany i rądle powywracać, a sam powrócił do zamku, zabrawszy z sobą podsyndyczego.

Trudno opowiedzieć jaki to rozruch sprawiło w klasztorze. Pomieszały się sejmiki kapitulne; o obiedzie ani pomyśleć; słowem, nie było innéj rady, jak co najrychlej przeprosić księcia, aby uniknąć głodnéj śmierci. Prowincyał zatém z dwóma *patrami* udali się na zamek z demonstracją, ja za nimi niby dla assystencyi, a prawdę mówiąc z ciekawości. Ale gdzie tam? Książę rozdąsany nie dał im mówić, a sam zawołał:

— A tak to waszeć, panie kochanku, czynicie zadosyć swojej regule i przysiędze na ubóstwo? Tam stoi, że syndyk, panie kochanku, karmić was powinien, klucze od wszystkich składów klasztornych pod jego pasem mają zostawać, pieniądze w jego szkatule; a waszeć o tém wszystkiém ani dudu. Za nic macie ustanowionego przeze

mnie podsyndycznego, rządźcie sobie jak infułaty, panie kochanku, a on, mój namiestnik, z czapką pod pachą stać przed waszeciami musi. Ksiądz gwardyan sam szafuje ze skarbnicy klasztornej, a przecież, panie kochanku, bernardyn ani grosza mieć nie powinien, ani znać nawet sztepla pieniężnego, a waszeć w obłęzeniu *tamquam* trzymacie mojego kassjera, gdy przyjdzie termin wypłaty *provizyi*. Odtąd, panie kochanku, rzeczy do dawnych karbów zakonnych powrócić muszą! Ja sam, panie kochanku, wydawać będę codziennie dla waszeciów ze spiżarni klasztornej obiad i wieczerzę; do mnie waszeć na *porcyę* i *konsolacyę* przychodzić macie, a skarbnica zakonna pod moją syndykowską zostanie *kustodyą*. Ojciec gwardyan niech pilnuje choru i dalszych zakonnych *officyów*, a do rządów klasztornych ani nosa, panie kochanku!

— Ależ, mości książę dobrodzieju! — przemówił prowincyał — tymczasem dzień dzisiejszy cały głodni będziemy: ogień na kuchni zalany, jedzenie wyrzucone...

— Tak, tak, panie kochanku! słusznie i sprawiedliwie to się stało. Za pokutę, wszyscy waszeć, od prałata do brata, zjecie obiad u mnie na zamku, i jeszcze jedną *penitencyę* odbyć musicie. A potem, panie kochanku, zasiądziecie

tu na *conclave*, a ja sam klasztorem urządzić będę.

Powróciliśmy zatem do klasztoru. Tam *ex consilio* wypadło uleść woli księcia, aby mu co gorszego do głowy nie przyszło. Co do drugiej obiecaniej *penitencyi*, pewni wszyscy byliśmy, że on nas w kaplicy zamkowej przez *miserere* przeprowadzi: bo to u niego nie nowina, i sam w wielkie piątki częstokroć się biczuje jak należy. Cały więc konwent stawić się musiał do zamku. Wszakże mieliśmy nadzieję, że po obiedzie, i dajmy to, już po drugiej *penitencyi*, pozwoli nam książę powrócić do klasztoru.

W ogromnej, tak nazwanej hetmańskiej sali, rozciągnięto stoł od końca do końca, ale bez obrusa. Zamiast połmisków, przystawki klasztorne, na długiej desce rzędem ustawione, obnosili bracia *serwitory*. Na środku stołu wznosiły się dwa antały, wina i trojniaku. Książę sam zasiadł między ojcami i hojnie się częstował, a nas, marszałek jego dworu pan Fryczyński, i przypominał nam, tocząc z antałów do dzbanów, a ze dzbanów nalewając do szklanek, że trzeba wspomagać ojców starszych, bo ich książę zapoi. Jakoż odzywał się on często, gdy który z nich pić

wzbraniał się: — Znaj waszeć, że ja syndyk! mnie *obedientia*, panie kochanku! — Więc nie wstaliśmy od stołu, aż oba antały się wypróżniły.

— Otoż to druga pokuta, panie kochanku! — wstając od stołu, przemówił książę syndyk bełkocącym już nieco językiem, i zataczając się, wyszedł z sali. A tymczasem wozy i konie nasze wszystkie przeprowadzono do stajen zamkowych, nam obszerne i wygodne na dole w zamku wyznaczono kwatery, a bramę zamknięto, żołnierze zaciągnęli wartę, i póty do klasztoru wrócić nikomu nie dozwolono, aż póki sejmiki kapitulne nie ukończyły się. Poszły więc prędko i naturalnie po woli i dyspozycyi księcia.

Obiady szły, jako i pierwszy, aż na ostatnim, znowu dwa antały stanęły na stole. Znowu *penitentia* i *obedientia*. A nakoniec uraczywszy nas i siebie, rzekł książę powstając:

— Kapituła skończona! *Solwuję sessyę* na lat trzy, i na drugą do *Nieświża* zapraszam, a tymczasem módlcie się waszeć za moję duszę, jakoś mi to przyrzekł, księżę prowincyale, panie kochanku!



INSTRUKCYA NA KWESTĘ I ODJAZD Z KLASZTORU.

XIII.

Gdy tak książę syndyk rozporządził się ładem z naszą kapitułą, my z moim byłym kustoszem mińskim zostaliśmy w Nieświżu, on gwardyanem, a ja bratem do wszelkich *officyów* klasztornych pod jego ręką. Wróżyłem więc sobie takie same życie i obowiązki, jako i w Mińsku, gdy w kilka dni po rozjechaniu się kapituły, zawołał mnie ks. gwardyan do siebie i rzekł:

— Oto masz, bracie Michale, *obediencyę*, dziś tu od księdza prowincyała przysłaną, na kwestarza tutejszego klasztoru. Wybieraj się więc, i jutro ruszaj w Imie Boże! Ot co jest.

— A mnie to na co?

— Na to, abyś i sam, i my wszyscy mieli co jeść przez zimę. Wiesz, że z łaski dobrodziejów żyjem. Ojciec prowincyał, poznawszy cię dobrze, i wiedząc, żeś dworak i bywalec, żyłeś na świecie i znasz *mores*, obrał cię do tej posługi, jako

najzdutniejszego. Widać w tém życzliwość dla klasztoru; a lubo go wcale o to nie obligowałem, ani tegom sobie życzył, jednak na jego miejscu toż samobym zrobił. Nareszcie, krótka sprawa — *obedientia!* Ot co jest!

— Nie mam co na to odpowiedzieć, ojczy! ależ kiedy kwesta się nie uda i powrócę z niczem?

— To być nie może; żadnemu kwestarzowi jeszcze się to u nas nie zdarzyło. A lubo nie to już teraz co dawniej bywało, kiedy kwestarz ile baranów, tyle we dwoje jeszcze talarów przywoził, kiedy fury za nim i przed nim wlokły pszeniczkę do naszych śpichrów, wszelakoż i teraz nikt jeszcze kwestarza nie wypędził z domu; jeszcze pobożność, dobroczynność i ludzkość żyją na Litwie. Ot co jest! A mówiąc prawdę, i teraz, jak dawniej, jest jakaś powszechna u wszystkich i wszędzie domowa przychylność dla Bernardynów. Dla tego ruszaj waszeć, jak mówiłem, i powracaj przed *porcyunkulą*, ale ani mi się pokazuj bez kopy baranów, bo cię na miesiąc w ciupę zasadzę. Ot co jest! — dodał z uśmiechem.

A to mi *pater periculosus!* — pomyślałem.

— Ależ *Reverendissime*, ja nie wilk, chwycić baranów nie będę; ile dadzą, tyle nazbieram.

— *Racya!* Nie jesteś wilkiem, ale nie trzeba być i osłem. Ot co jest! Wiedz, bracie, że po-

myślność kwesty najwięcej od kwestarza zależy. *Est modus in rebus*, jak to ludzie powiadają. Są ludzie, i takich, chwala Bogu, więcej, którzy wyglądają i czekają corocznie kwestarza, jak bocianów na wiosnę; tacy, obaczywszy cię zdaleka, dawno przeznaczonego barana sami naprzeciw twojej trzodki wypędzą; tacy przyjmą cię serdecznie, uczęstują suto i zatrzymają na noc, dla pocziwej i dobrodusznej gawędki, do której tęsknią przez cały rok; takim na podziękowanie szczere *Deo gratias* wystarczy, bo tacy wierzą we wdzięczność i dla tego radzi na nią zasługują.

Są inni, zupełnie tamtym przeciwni, którzy postrzegłszy cię w bramie, wnet myśleć będą, jakby cię gładko wyprawić; od takich i dobre słowo wiele warte, a prosić i naprzykrzać się nie należy; modlić się za nich owszem potrzeba, aby ich Bóg natchnął łaską swoją świętą i większą chęcią wspomagania bliźnich. Ot co jest!

Ale są jeszcze inni, a to najczęściej wielcy panowie, u których, jak wiesz, hojność od humoru zależy; otoż w tem sztuka, aby ten humor pobudzić mądrym żarcikiem, wesolą dykteryjką, delikatnem przymówieniem się, jakiemu odmówić wstydby im było. Potrzeba, panie bracie, umieć zarzucić, iż tak rzekę, wędę do morza wspaniałości pańskiej, a na haczyku za przynętę *koncept*

uczepić, i wyciągniesz barana, albo i dukata. Waść dworak, potrafisz więc sobie doradzić! ale i w tém miej uwagę, że inna jest dworszczyzna świecka, a inna bernardyńska; nasza rubaszniejsza wprawdzie, ale jak w tamtej trzeba czasami umieć zatrzymać język za zębami, tak w naszej za habitem. Ot co jest! *Intelligis? Zresztą usus te plura docebit.*

Wychodziłem zatem, gdy mię jeszcze zatrzymał ks. gwardyan.

— Ale! rzekł on, lubo figura twoja nabywa już *cyrkumferencyi* bernardyńskiej, lecz masz jeszcze ostatki ze światowych nałogów, których koniecznie odrzec się potrzeba. Porzuć waść naprzód ulubioną fajeczkę, bo to nie moda nawet i w klasztorze, a témbardziej na kweście. Nikt jeszcze kwestarza z fajką nie widział. Natomiast weź dobry zapas tabaki naszej *bernardynki*. Cały świat zażywa tabakę, i *bernardynka* sławna na cały świat. Będiesz więc mógł przysługiwać się tabacznikom i brać za nią barany, a sam łatwo przywykniesz, bo to *trzeźwi* i *rzeźwi*. Sprobuj waszeć. — Gdym zażył i kichnął — Ot co jest! — wykrzyknął ks. gwardyan — A co? *Vale!* Daruję ci i tę tabakierkę na początek. Powtóre, mówisz waść zawsze: *Panie Dobrodzieju! Mości Dobrodzieju!* a u nas niema ani *Mości*, ani *Panów*:

wszyscy zarówno są nasi *Dobrodzieje* tylko, i czysto bez dodatków *Dobrodzieje*. Gdybyś z nowemi *denominacyami* i obyczajami wyjechał na świat, kwestaby ci się pewnie nie powiodła. Kwestarz bez mowy i głowy kwestarskiej, a co gorsza, z mową światową i modną, wyszedłby jak *Zabłocki na mydle*. Tak, bracie, pokornie i wesoło, choćby i mądrze nawet niekiedy, ale zawsze po prostu, po dawnemu, to grunt! Takim obyczajem poprzednicy nasi zasłużyli zakonowi łaskę Boską i miłość ludzką. Trzymajmy się tej drogi, bracie! a kiedy ona chybiać już zacznie, kiedy szczerłość, prostota i pokora nie będą już trafiać do serc, zły to będzie znak, bracie, nie tylko dla nas, ale i dla wszystkich, bo natenczas jad niedowiarstwa i pogardy naszej świętej religii, który teraz po kropli spada między nas gdzieniegdzie, rozszerzy się jak plaga egipska między narodem!.... Daj Boże tego nie dożyć!

— A zkadże te nieszczęśliwe wróżby? *Reverendissime!*

— Oho! bracie! nie taki ja głupi, jak waszeć myślisz. Ot co jest! Przechodziłem ja różne stopnie zakonne; jestem nie chwaląc się *Doktorem S. Teologii*, której byłem lat kilka professorem w Wilnie, i razem kaznodzieją tamże, a nakoniec *Lektorem* przez czas niemały. Znam ja i rozwa-

żałem z kąd zło idzie; umiem ja, a przynajmniej rozumiem i francuzczyznę, bodajby jój u nas nigdy nie było!... w niej arsenał szatana, i z niej on bierze truciznę, którą na nas biednych garściami rzuca. Ale w Bogu nadzieja! Ot co jest! Nie czas o tém myśleć. Smutno mi będzie bez ciebie, bracie, bom do ciebie serdecznie przywykł; zimę za to przepędzimy razem i nagramy się wieczorami w warcaby i w maryasza.

Masz starego klasztorneho furmana, Marcina, który kilku już kwestarzy odwoził, masz dwa wozy, dwa stare konie, dwa barany *prewodyry*, i psa wiernego na stróża twojej przyszłej trzody, i wozów; ot cała twoja drużyna. A więc *Deus te benedicat, ducat et reducat*. Ot co jest!

Poszedłem więc do stajni i poznałem się z moim towarzyszem podróży, Marcinem, który porządkował się do drogi. Nazajutrz zatem, wysłuchawszy rano mszy świętej i wzięwszy benedykęę kochanego mego ks. gwardyana, siadłem na wóz.

Na przodzie Eliasz i Barabasz, dwa piękne rogate barany z dzwoneczkami na szyjach, przy nich pies *Pamfil*, za nimi Marcin na kałamaszce, wielkim a chudym koniem dropiatym, i nakoniec ja na drugiej, siwą i trochę chromą kobyłą. W bramie Marcin przeżegnał się i zaintonował

„Zawitaj ranna jutrzeńko! ja mu zawtorowałem, i tak pobożnie śpiewając, przebyliśmy z naszą kalwakatą miasteczko.



LEGENDY STAREGO MARCINA. PAN ROTMISTRZ.

XIV.

— **G**DZIEŻ pojedziem? Marcinie! — zapytałem, przejechawszy miasteczko.

— Gdzie oczy poniosą, mój Jegomość!

— Tyś nieraz z kwestarzami jeździł, więc prowadź jak znasz lepiej.

— Już to, mój Jegomość, do blizkich tu dworów niema po co zajeżdżać: bo panowie z sąsiedztwa co niedziela bywają w kościele i u ks. gwardyana, to on i sam u nich najlepiej wykwestuje; nam więc potrzeba odsadzić się dalej trochę od gniazda. Na obiad zaprowadzę Jegomościa do mojego starego przyjaciela, P. Jana Bielewicza, strażnika lasów książęcych, ztąd o mil trzy. Zawsze od niego zaczynamy kwestę; jego baran szczęśliwy, bo pocziwą ręką i nie żałując daje; a choć powiadają o nim, że umie strzelby zamawiać i

zwierzynę na swoje cel ściągać, ale to nie prawda, bodaj im takie zdrowie! Zwierzyny u niego huk, cóż to dziwnego? zna pole, i wie kiedy na jakiego zwierza czy na ptastwo najlepszy czas, a uczył się do tego rejestru u sławnego pana Wołodkowicza, którego zastrzelili w Mińsku. Potem ksiązę przyjął go do siebie i dał mu porządne podłowiectwo; ożenił się zatem, już ma synów jak dębów i córeczkę jak jagodkę; owdowiał, prawda, ale cóż robić? taka była wola Boska, i siedzi sobie teraz spokojnie, jak daj Boże do wieku każdemu pocziwemu.

— Dobrze, jedźmy, rzekłem, do P. Bielewicza.

Wlekliśmy się więc noga za nogą, mówiąc pocichu paciorki. Mój pan woźnica stawał niekiedy, dozwalając baranom poskubać trawki i potrząsając tabakę z różka, a oglądając się na mnie niekiedy z jakąś skrzywioną miną; ja wzajemnie rozważałem jego *posturę*. Stary ale czerstwy, wąs i czupryna siwe i gęste, twarz i nos czerwony, oko żywe, jak u młodego; miał na sobie habit przekrojony na kapotę, na nim szarą płócienną czujkę, z kapiszonem z tyłu dla okrycia od deszczu głowy, na której teraz wysoka czapka z czarnego barana sterczała, na płaszczu zawieszona koronka,

a po kapocie śpięty szerokim skórzanym pasem, z za którego rózek z tabaką wyglądał.

Po kilku takich popasach i poglądach na mnie, przerwał on nakoniec długie nasze, a widać uprzykrzone jemu *silentium*.

— Ależ Jegomość milczysz jak pień.

— A cóż mam gadać? mój kochany Marcinie!

— A to Jegomościu trzeba było zostać kapucynem, bo kapucyni podobno nic nie gadają. Może Jegomościu zdaje się, że gadać z furmanem, to na godność Jegomością nie przystało; ale ja i prowincyałów wozili, a brat za brat ze mną dyszkuirowali.

— I owszem, panie Marcinie, i ja chętnie będę z tobą dyszkuirował, tylko że ja pierwszy raz w tych stronach, więc o niczem nie wiem; chyba ty mnie rozpowiadać będziesz; a do tego, jedziem pojedynczo, więc trudny rozhovor.

— Na wszystko jest sposób. Ja wyuczyłem moje konie regularnie; można jak chcąc puszczać ich, i na przód i w tył, a kieruję głosem. Dropiaty jeszcze rozumniejszy, bo sam do dworów zawraca się, i nawet kiedy on zawróci się, to śmiało za-jeżdżaj... z próżnemi rękami nie odjedziesz. Więc ja siadę z Jegomościem, i będzie nam obudwóm weselej, a przesiadając, pośniadamy sobie. Dobądź tylko dobrodziej puzderko — rzekł złażąc z wozu.

— A czy jest i puzderko?

— Oho! znać, że Jegomość pierwszy raz kwestujesz. A jakżeż? i nie próżne: bo nim kto nam naleje, swój zapas na początek mieć potrzeba.

Dostał więc Marcin z pode mnie puzderko, o którym nie wiedziałem, i chleba bułkę. — Czekam z rąk Jegomości — rzekł do mnie; potem, wychyliwszy miarkę, która się także w puzderku znalazła, kroił zakąskę. Elias i Barabasz przyszli także po swoją porcyę; w długich wędrówkach przyswoił on ich do rąk; znali się z nim, jak towarzysze. Pamfil też zjadł śniadanie, a Marcin, usiadłszy ze mną — *Hej! dropiaty!* — krzyknął, i dropiaty powlekł się naprzód, a siwa za dropiatym.

— Czy wiesz Jegomość, jakie to na prawo nieznanome miasteczko?

— To *Mir* zdaje mi się.

— A tak, *Mir*. A wiesz Jegomość, jaki tam jest dzwon?

— Nie wiem.

— Otoż ja Jegomościu powiem, bo o wszystkim i wszędzie wiem cokolwiek. Człowiek to jakoś urodził się ciekawy, mowny, łowny i *gadatiwus*, więc lubię posłuchać i rozpowiadać, kiedy co warte. Otoż o tym dzwonie jest taka *dykteryjka*:

Nasz książę panie kochanku, jeździł dawniej po cudzych krajach i wojował z poganami; sam to często opowiada; więc tak mu raz przyszło kuso i niebezpieczno, że różne czynił *wota* pobożne, aby cudem Boskim ująć pewnej zguby. Otoż szlubiował wtenczas kościołowi *mirskiemu* taki dzwon, aby, gdy w *Mirze* na rezurekcyę zadzwonią, w *Nieświżu* słysząc było; a to cztery mile, mój Jegomość!

Więc jak tylko powrócił do *Nieświża*, kazał zaraz lać dzwon w *Mirze*; wyleli jeden, dzwonią na próbę — nie słysząc w *Nieświżu*. Panie kochanku dodaje złota i srebra do materyału, każe wylewać drugi większy; znowu leją i znowu dzwonią cały dzień — nie słysząc! a trzeba koniecznie wypełnić *votum* co do joty; leją więc dzwon trzeci....

Tymczasem jednego wieczora, panie kochanku w dobrym będąc humorze, baraszkował sobie między swoimi i łgał na czem świat stoi: bo to już jego taki zwyczaj. At, zwyczajnie panu wielkiemu wszystko wolno. Prawi cudactwa i każe wszystkim wierzyć. Kiedy jednak przebrał miarkę, nie dotrzymał pan Michał Chodźko, który był pierwój koniuszym u księcia, kiedy ja byłem masztalerzem, a potem on wyszedł na pana, a ja na furmana, i jest zawsze faworytem księcia; powiedział więc

— Mości książę! dzwon mirski słyszać! — Wszyscy nadstawili uszy, ale nikt nie słyszał. Książę tylko potakiwał panu Chodźkowi i mówił — A widzicie waszec, jaki głośny mój dzwon! Dopełniłem *votum* regularnie. — A jakże nie ma być głośnym, podchwycił Chodźko, kiedy książę pan cały dzień kłamiesz, zapewne na jego głos i pamiątkę?

Bo Jegomość musisz wiedzieć, że kiedy gdzie dzwony leją, trzeba łąać różne nowiny, gdyby daleko się rozchodziły, to i głos od dzwonów tak rozchodzić się będzie.

Książę nie rozgniewał się jednak, tylko śmiejąc się powiedział do Chodźki — Wasan sam taki panie kochanku! — ale już dzwona nie przelewał; owszem, ochrztili go Karolem, zawiesili na dzwonnicy, i książę zawsze powiada — *Słyszać Karola w Nieświżu!* — A kiedy kto zaprzeczy, to on mówi — Co ja winien, panie kochanku, że wać nie masz takiego słuchu, jak pan Michał Chodźko? — a prawdę mówiąc, nie kłamie, bo i sam ma imie Karol, a kiedy zacznie huczeć po swojemu, to *słyszać Karola w Nieświżu* — i pokręcał głową Marcin.

— A czy nie wiesz co, Marcinie, o tych sławnych złotych apostołach księcia?

— Oto, nie wiem! jakże nie wiem? pan Bukowski, szatny księcia, rozpowiada o nich każde-

mu, bo ich widział i woził. Szczéro-złote były, mój Jegomość! a wielkie jak chłopczyki od lat sześciu.

— Ej czy nie mniejsze?

— A kto ich tam mierzył? dość, że książę wybierając się na wojnę z poganami do cudzych krajów, wziął z sobą i apostołów; zawiózł ich najpierwej do Gdańska, a potem gdzieś dalej. A jak nie stało pieniędzy.... A héj! dropiaty! na prawo! a héj!

Wjechaliśmy krętą drożką w ciemne lasy. Marcin przestał mówić o apostołach, bodaj z gniewu, że ich już nie ma, czy namyślając nową legendę, gdy turkot pojazdu i koni dał się nam słyszeć zdaleka.

Kogoś spotykamy, rzekł Marcin. Może da Bóg dobry początek. — Dropiaty usłyszał także tentent, a przywykły widać do zakonnej pokory, zszedł z drogi, ile gęstwina dozwalała, a Pamfil pobiegł na przód i ujadać zaczął.

Pokazał się wnet na przodzie konny jegomość suto i bunczucznie ubrany, w taratatce gesto taśmami złotemi szamerowanej, z zawieszistą szlifą na jednem ramieniu, z ładownicą na szerokiej taśmie złotej, z pałaszem na pendencie i kołpa-

kiem pikowanym na głowie. Poznałem więc po ubiorze, że żołnierkę traktuje.

Za nim jechał lozak po ułańsku z chorągiewką, a za ułanem wóz czterma tęgiemi końmi, na którym jeszcze jeden *śługus* i przy furmanie kozaczek z bandurą; za wozem nakoniec szły przywiązane dwa konie powodne.

Sam czupurny, ale wesołego oblicza, z pięknym wąsikiem, którego pogłodziwszy wdzięcznie, spojrział na mnie wspaniale, i założył za pendent książeczkę, którą w ręku trzymał.

— *Laudetur* Jezus Chrystus!

— *In saecula saeculorum!* — odpowiedział.

— A z którego klasztoru Pan Bóg prowadzi?

— Z Nieświża, Jaśnie Wielmożny.... Dobrodzieju — przypomniałem w samém zacięciu naukę ks. gwardyana.

— Stój! — krzyknął on na swój oboz, z którym nam trudno się było rozminąć, więc i ja się zatrzymałem.

— A czy jest książę w zamku?

— Niema, odpowiedziałem; wyjechał niedawno do Białej. (*)

— To złe. Chciałem po drodze złożyć mu moje

(*) Hrabstwo Białskie, dobra książąt Radziwiłłów, w obwodzie Białostockim.

homagium. Zapewne dziś jeszcze z klasztoru, bo nie masz baranów.

— Tak jest, dobrodzieju!

— Aleś młody na kwestarza. To jakaś zapewne awantura wpędziła cię w kaptur.

— Wcale nie. Taka była wola Boska i prawdziwa *wokacya*.

— Może i to być; w twoim jednakże wieku i zdrowiu, jak uważam, lepiejbyś wyglądał na koniu i w szeregu, jak w habicie i na kałamaszce. Wiesz co? porzuć to wszystko, siadaj ze mną. Przebiorę cię wnet, i, jeżeliś szlachcic, zrobię cię towarzyszem w Pińskiej brygadzie, w mojej chorągwi, której jestem rotmistrzem. Co waś na to?

Rozgniewany na ten niespodziany werbunek.

— Jestem szlachcic, rzekłem, równy każdemu. A cóżbyś pan rotmistrz powiedział na to, gdybym zaproponował wzajemnie, abyś zrzucił swoje bogate rycerskie ozdoby, bo to wszystko *vanitas*, i przypomniawszy na pieśń świętego Łazarza, a na koniec nędzny bogacza, który „*Pychę w sercu swém chował*,” oblekł się w nasz ubogi bernardyński habit, który ja panu dostarczę? bo gotów jestem w takim razie wnet powrócić do *Nieświż*a.

Una salus servire Deo, caetera fraudes!

Bardzo *ad casum* przypomniałem sentencję z mojego raptularza.

— Oho! odpowiedział rotmistrz, to za mądrze na kwestarza. Zgadłem, że musiałeś wprzód żyć na większym świecie.

— A już ciż kwestarzem nie urodziłem się, ale kiedy na wzajemne propozycje nasze nie zgadzamy się, to niech Bóg szczęśliwie dobrodzieja prowadzi, a ja ruszam w moją drogę.

— Poczekaj, rzekł pan rotmistrz zsiadając z konia, nie rozstawajmy się tak w złych dyspozycjach: bo ani mnie dziś w podróży, ani włości w kweście się nie powiedzie. Nie chciałem cię wcale obrazić, dla tego i nie gniewam się za twą odpowiedź. Komu innemu możeby to na sucho nie uszło, lecz z tobą, bracie, zapijem tę sprawę. Dobyć z wozu zapasy!

— Niech i tak będzie, jak twoja łaska — rzekłem.

Dobyto więc nie żołnierskie, ale pańskie specyały: wódeczka gdańska, z którą odnowiłem dawną marszałkowską znajomość, potem wyborne szynki i pieczenie, tak, że się posiliło na cały dzień.

Pan rotmistrz ochoczo i wesoło częstował. — Daj dowód, mówił on, apetytem, żeś z prawdziwej wokacyi wstąpił do Bernardynów. — A gdy

Marcin z innéj flaszki skosztowawszy staruszeki, pokręcił głową i rzekł do mnie — To nie nasza podróżna, mój Jegomość!

— A macież puzderko? — zapytał panisko.

— Mamy, JWpanie! — odpowiedział Marcin, który bodaj i umyślnie się domówił.

— Nalać, rzekł rotmistrz, flasz parę staréj, a flaszke gdańskieję kwestarzowi i dać mu szynkę na zakąskę.

— To dla ciebie, a to dla klasztoru — dodał, kładąc mi w rękę trzy dukaty ze złocisteję i pękateję kieski wydobyte — weź na pamiątkę rotmistrza Pińskiej brygady, który kwestarzy do żołnierki werbuje.

— Bóg ci zapłać — rzekłem, uściskając pokornie kolana tak wspaniałego dobrodzieja. On siadł na konia i ruszył swoim obozem.

Gdym ja na swoję siadał kałamaszkę, postrzegłem na ziemi książeczkę, wypadłą zapewne z ząpendenta rotmistrza; podjąłem; o jakże się zdziwiłem, przeczytawszy tytuł: „*Żołnierskie nabożeństwo!*” (*)

O zacny! o pocziwy! o bogobojny rycerzu! pomyśliłem sobie, niechajże cię wszystkie kule

(*) Książeczka ta do nabożeństwa dawniej dość pospolita, teraz nader rzadka.

mijają! a twoja ręka, jak *Dawida*, niech wali *Goliatów*! Powiadają, że w żołnierce ludzie się psują, że tam niema ni Boga, ni wiary; otoż dowód oczewisty że to fałsz i *kalumnia*. Pan widać z panów, od złota świeci jak słońce, a przecież w drodze pobożnie z książeczki modli się, urazy po chrześcijańsku przebacza, i jeszcze hojnie obdarza tego, który go obraził. Ksiądz gwardyan choć powiadał, że doktor i teolog, bodaj więcej sobie roi złego na świecie, niżeli jest w rzeczy samej.

Wtem ułan pana rotmistrza dognał nas, pytając, czy nie znaleźliśmy pańskiej książeczki do nabożeństwa? Oddałem więc oną, wprzód pocałowawszy pobożnie, i rzekłem — Powiedz twemu panu, że oto tak całuje nogi jego ubogi bernardyn kwestarz, nietylko za to, że go hojnie obdarzył, ale i za to, że w pańskim jego ciele pobożna i chrześcijańska dusza. A jak się nazywa twój pan?

— Jasnie Wielmożny rotmistrz Chomiński! — i odjechał.

— No! no! godny pan! niema co powiedzieć. Mówiłem, że Bóg da nam początek dobry; choć mógłby dać śmiało i jeszcze z parę czerwieńców

bo worek diabelnie pękaty; ale teraz ludzie skępieją.

— A milczże do licha, rzekłem; czyż jeszcze mało? wszakże nawet o tobie nie zapomniał, i upodobanej wódki starzej parę flasz nalać kazał.

— Oj bo ja nie głupi; ja za jedną gdańskiej, wyprosiłem jeszcze dwie starzej u tego, który szafuje dobrem pańskim; a zatem mamy nie dwie, ale cztery flaszki staruszeki.

— To źle, panie Marcinie, bo nie pamiętałeś na mnie; ja wolę jeden kieliszek, a dobrej wódki, niżeli dwa, a ładajakiej, bo upijać się nie lubię.

— To nie po bernardyńsku, mój Jegomość! Mniejsza o smak, byle wiele i zdrowo; to grunt! a stara wódeczka do głowy nie idzie, tylko żołądek ogrzewa. Cały świat wie o tem, i cały świat mnie za ten handel pochwali. Jegomość pij i nie dbaj. A hej! *dropiaty!*

Nie było co odpowiadać mrukliwemu Marcinowi, a wtém wyjechaliśmy na pole, na którym domostwo pana Bielewicza ujrzelśmy.



U PANA BIELEWICZA. WOŁODKOWICZ.



XV.

W WIELKICH puszczach Radziwiłłowskich żyją podłowczowie jak w folwarkach. Książęta osadzają tam najczęściej swoich zasłużonych sług ze szlachty, i byle sprawowali się pocziwie, a stawali sprawnie i ochoczo na polowanie i obławy, mają tam kawał chleba od ojca na syna. Leśnicy włościanie zarabiają ich ziemie i koszą siano po lasach; mają prócz tego pensyjkę ze skarbu książęcego; ze zwierzyny nie zdają ścisłego rachunku, i niczego im nie braknie.

Tak sobie siedzi i pan Bielewicz, staruszek czerstwy jeszcze i jary: sam odemknął nam wrota i wyprzedził mnie nawet w pobożnym powitaniu; bo ja na dziedzińcu lub w izbie chciałem powiedzieć: *Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!* a on we wrotach toż samo powiedział; Mar-

cin odpowiedział mu: *na wieki wieków!* ot ja i został się z niczem.

Podwórko małe, ale czyste; na środku krzyż z męką Pańską, okratkowany i daszkiem pokryty; domek z przyzbami dla siedzenia i grzania się na słońcu, z większemi okienkami po jednej stronie w świetlicy, z mniejszemi przykurzonemi po drugiej w piekarni; naprzeciw domu świronek z oknami u strychu, za któremi tłuste polcie, polędwice i kiełbasy wędzone dyndały na powietrzu; dalej inne gospodarskie, małe ale opatrzone stajenki, odryny i chlewki. Około nóg starego myśliwca dwoje psów gończych plątało się, a tłusty wyżeł leżał spokojnie na przyzbie.

—Bóg zapłać Jegomościu dobrodziejowi, żeś do mnie zawitał — rzekł pan Bielewicz.

—To ja przywiozłem dobrodzieją, bo to nowicyusz, nie wiedział gdzie zawrócić; a ja zawsze zaczynam kwestę od Jegomości — odezwał się Marcin.

—Dziękuję więc i waszeci, panie Marcinie! rozgość się po staroświecku w stajni z siwą i dropiatym; *Eliasz*a i *Barabasz*a puść na osielicę, a Jegomości dobrodzieją do izby proszę.

W izbie znaleźliśmy młodą gospozię za krośnami; jest to córka pana Bielewicza. —No, Hanulku! rzekł do niej staruszek, dodaj do obiadu za-

bitego wczora szaraka, bo Bóg dał miłego gościa. A Jegomość dobrodziej dziś odpocznij u nas, bo choć niewiele jeszcze ujechałeś, ale wiele jeszcze masz przed sobą. Na obiad powrócą i moi synkowie, to i oni do nóg Jegomości dobrodziejowi uniżą się.

—Dziękuję, rzekłem, memu kochanemu dobrodziejowi za takie kordyalne mnie przyjęcie; na odpoczynek nawet do jutra chętnie przystaję, zwłaszcza, że dzień dzisiejszy, za łaską Boską, dobre nam nadarzył spotkanie, które opowiedziałem panu Bielewiczowi.

—Jeździłem i ja niegdyś— rzekł on— po całej Litwie, a szczególnie po województwie Mińskim, gdym był dworzaninem u pana Wołodkowicza, niech Bóg świeci nad jego duszą, gwałtem z tego świata na tamten wypchniętą.

—Czy nie o tym Wołodkowiczu mówisz, który w Mińsku na trybunał napadł, i który strzelał babę jak kukawki?

—A o tym samym; tylko że to fałsz to strzelanie bab na drzewach, jakby nam inną zwierzynę mało było. Hajdamaka byłci to wprowadzie, ale też były czasy kaducznie hajdamackie; kto był zuchwalszy, kto duższy, ten i lepszy, ten miał i większą konsyderacyę, i szanowano go więcej, bo się lękano. Owszem, takiego gracza możniejsi pa-

nowie, potentaci nasi używali do sprawek i zu-
chwałości, na które sami odważać się nie chcieli;
dla tego nie było dnia, gdybyś nie posłyszał o za-
bojach, zajazdach i *wiolencyach* wszelkiego rodzaju.

Wołodkowicz był adherentem, a podobno i kol-
ligatem naszego JO. pana i dobrodzieja, księcia
Karola *panie kochanku*, który za życia swego oj-
ca, księcia Michała *rybeńku* (*) hetmana, był naten-
czas jeszcze miecznikiem litewskim. Szalona to za
młodu była głowa, nim się piwko uchodziło. Kiedy
zacznie bywało szumieć, a sprawiedliwiej mówiąc,
szaleć po Nieświżu, to *rybeńku* każe zwodzić mo-
sty, aby do zamku nie wpadł. Więc gdy czy z ja-
kiego partykularnego *rankoru*, czy z *imprezy* uło-
żonej, książę chciał komu dopiec, Wołodkowicz
wnet stawał gotowy, i spełnił co do joty zamiary
i wolę księcia, dodawszy jeszcze i swojego.

Ale co najgorszego było, że w młodym wieku,
bo wszystkiego nie miał lat trzydziestu gdy zgi-
nął, polubił on sobie często w pałkę zalewać.
Wtenczas taki z niego bywał waryat, że albo je-
mu pomagać, albo uciekać trzeba było. Samemu
diabłu by nie ustąpił! Jakoż nie raz latał w nocy
jak szalony z gołą szablą po polach, i po błotach

(*) Przysłowie księcia Michała Radziwiłła, wielkiego hetmana
W. X L.— N. w.

i po cmentarzach, a wyzywał upiorów i diabłów na pojedynki; tylko że żaden nigdy nie stanął na placu. Natenczas skarżył się Wołodkowicz — Co to za nieszczęście moje! ksiązę Karol ile razy zechce, to bije się z diabłami, a ja nigdy żadnego doprosić się nie mogę.

Zły duchże jemu i podszeptał postanowienie zostania deputatem na trybunał na *kadencję* ruską, która się w Mińsku odbywała, do czego także go ksiązę prowadził i przyjaciółmi Radziwiłłowskiemi na sejmiku wspomagał; a nakoniec gdy został, do *sumptu* hojnie się dołożył, bo i kamienicę nam swoje w Mińsku na kwaterę oddał, i z dóbr blizkich wszystkiego na kuchnię dostarczać kazał; a jeszcze przysłał *assygnaćję* do kupców na wino, ileby tylko nam potrzeba było.

Z początku szło wszystko wyśmienie! Pan statkował; wprowadzie bankietował i traktował po pańsku, ale nie szalał i nie hajdamaczył; obrano go nawet podskarbis trybunalskim.

Marszałkiem trybunalskim był natenczas *Sapieha* (*), a vice-marszałkiem *Morykoni*. Ale Sapieha

(*) Michał hrabia *Sapieha*, starosta puński, krajczy litewski, 1859—1760 r.

Vice marszałkiem Michał *Morykoni*, starosta poniński.

Widzieć przypisy.— N. w.

nie przyjechał na początek sądów, a Wołodkowiec nie rad był, że niżej siedział od Morykoniego, którego włochem i cudzoziemcem nazywał. Lecz i toby jeszcze uszło, bo pan Morykoni uważny i pomiarkowany pan, puszczał słowa Wołodkowicza mimo uszu; ale przypadła jakaś sprawa naszego *familjanta*, czy Radziwiłłowska, bo tego nie pamiętam, w której Wołodkowiec chciał na swoim postawić, a to nie udało się; powrócił więc z sądów jak lew rozjuszony i zaczął pić podawnemu, przeklinając śmiertelnie cały świat, a wzywając i wyzywając wszystkich diabłów z całego piekła. Poznaliśmy, że będzie źle! Nuż my reflektować, nuż prosić, nic nie pomaga; zebrał chałastkę, która mu pić i wrzeszczeć pomagała, i nas pić przymusza. Całą noc, potem cały ranek jednostajna pijatyka i odkazanki, nakoniec pod wieczór wybiera się na trybunał.

Wszyscy przytrzymywaliśmy go jak mogli, i za poły, i za ręce, i za pas; ja upadłem mu do nóg, prosząc, aby nie szedł. —*Kirryetejzon!*— krzyknął odpychając nas, bo to było jego przysłowie, gdy bywał w największej po pijanemu zajadłości. —Pójdę, choćby mię tam diabli wzięść mieli! pójdę i nauczę tego włocha, kto ja i kto za mną!— Widocznie ufał nieborak w Radziwiłła, a Radziwiłł był daleko!...

Szliśmy więc za nim; a że to było w wigilię festu Najświętszej Panny Maryi *Gromnicznej*, ofiarowałem się więc, leżąc krzyżem w czasie nabożeństwa, całej mszy tak wysłuchać, na *intencyę*, aby nam ten wieczór na sucho uszedł; ale nie było mi potem czasu dopełnić tego *votum*.

Gdy przyszedł na ratusz, gdzie sądził się trybunał, warta puściła go jako deputata, choć sąd był w namowie; my zostaliśmy w izbie przeciwkowej, w tłumie palestry i panów aplikantów.

Ledwo drzwi za sobą zamknął Wołodkowicz, wszczął się tam zgiełk szalony, potem szczęk szabli, a nakoniec otworzyły się nagle drzwi i krzyknęto — *Warta! warta!*

Wtenczas ujrzeliśmy naszego pana przypartego do ściany, któremu odbierano szablę, a on tupał się ze wszystkimi i starał się dostać do drzwi.

W ten moment przypadł *Krajewski*, rotmistrz i komendant żołnierzy trybunalskich, a za nim kilkunastu *gemejnów*. — Kryminał! — krzyczano ze wszystkich stron; krew ciekła z ręki pana *Dłuskiego*, deputata ludzkiego, a co najgorsza, kawałek krucyfiksu, z rączką od figury Pana JEZUSA srebrnej odcięty, leżał na stole. Poznałem, widząc to, że wyzywany po tyle razy szatan kierować natenczas musiał ręką mojego nieszczęśliwego pana:

bo on, chcąc przez stół dostać pałaszem Morykoniego, gdy ten się uchylił, ciął po krucyfixie.

Porwał więc Krajewski ze swoimi Wołodkowicza, ale z wielką męką, bo to był człowiek młody, silny i *determinativus*; porąbałby i żołnierzy, gdyby Szwykowski, także deputat a sławny osiłek, nie wyrwał mu z rąk szabli. Kiedy już go tak wzięli obławą i prowadzili, to jest, nieśli gwałtem, to jak się razem uparł we drzwiach rękami, aż uszaki wzruszał, a ze złości pieniał się i ryczał, od czci i wiary wexując cały trybunał, a szafując diabłami, że aż uszy wiedły. Oj, nigdy ja nie zapomnę tego tertesu i samego Wołodkowicza, bo on natenczas był czysty potępieniec.

—Do turmy! do kordegardy! i okuć excessanta, kryminalistę!— zawołał Morykoni do Krajewskiego, — i wartować z ostrą bronią!

Poznałem, że nieprzelówki! Poleciałem więc do kwatery, porwałem garść dukatów ze szkatuły pańskiej, która zawsze była pod moim kluczem, dopadłem konia i ruszyłem ile on mógł wyskoczyć do Nieświża, szukając księcia Karola, bo on jeden mógł nas uratować.

O mil ośm koń padł, szczęściem blisko karczemki; kupiłem u żyda drugiego, płacąc ile chciał, i leciałem dalej. Stałem w Nieświżu w nocy; dostukałem się do dworku znajomego mnie doktora,

i dowiedziałem się, że księcia miecznika niema, że polował aż w Białej (*) na niedźwiedzie. Odmieniwszy więc znowu konia, puściłem się dalej. Noc ciemna choć oko wykol, i zawierucha powstała okrutna. Zbiłem się z drogi i musiałem czekać dnia w blizkim od Nieświża zaścianku, a nazajutrz, dostawszy już saneczki, jechałem, prawda, wygodniej, ale nie tak pośpiesznie, jak rzecz wymagała.

Szóstego aż dnia pod wieczór dopadłem księcia, i to w głębokich tutejszych ostępach. Gdym opowiedział co się w Mińsku stało, książę jak oniemiał.— Panie kochanku! — krzyknął potem — pan Michał sfiksował się!

—Ratuj, książę panie, bo zginie!

—Ja go z turmy wyratuję, choćby przyszło odbić, ale od biedy nie wyratuję. Niema on po co popasywać w kraju. To excess niesłychany!

Książę wnet zebrał myślstwo, i w nocy przyciągnęliśmy do Białej.

Wielu godnych panów i z sąsiedztwa i przybyłych z księciem, polowało z nim razem, którym gdy książę opowiedział z czem przyjechałem i zapytał o radę, każdy inną podawał: jedni zupeł-

(*) Hrabstwo bialskie w obwodzie białostockim.

nie zaniechać i nie wtrącać się do niczego; drudzy pisać do Sapiehy, do Morykoniego i deputatów; inni, a między tymi pan Sołohub, nieodstępujący nigdy księcia, i bodaj przez ojca mu do konfiden-
cyi akkomodowany, radził jechać do Nieświża i spuścić się na influencję księcia hetmana. — Radzicie mi wszyscy, odezwał się książę, jak tehorze i partacze! a waść milczałbyś, rzekł do Sołohuba. Mam opuścić przyjaciela w nieszczęściu? Nic z tego nie będzie. Nie jedź sobie, kiedy nie chcesz, panie kochanku! obejdę się i bez konsyliarzów, a dyrektorów moich dawno diabli pobrali. Mam zajechać do księcia ojca? a toć *rybeńku* nie puści mnie i za próg z zamku; każe *Mazzanemu* (*) zamknąć bramy, mosty pozwodzić, i księcia miecznika bez ceremonii do kozy zapakuje. Czy to już raz tak bywało? Czy waść sam, panie kochanku, nie instancyowałaś za mną w takich terminach? I prawdę mówiąc, za to tylko i cierpię twoję filozofię i morały, któremi mię codzień napastujesz, a z któremi schowaj się teraz.

— Jednakowoż, mówiono księciu, Wołodkowicz po takim *excessie* sądu i kary ujsć nie może, a spokojną i łagodną *influncyą* więcej książę do-

(*) Mazzani, komendant tamtoczasowy zamku i forticy Nieświżskiej.

każesz, niżeli gwałtownym raptem na miasto i na trybunał, a zatem gorszym jeszcze *excessem*, który splami na zawsze honor i imię księcia, a zmartwi najmocniej księcia hetmana, ojca waszej książęcej mości.

I nakoniec...— zaczął znowu Sołohub.

—Cóż nakoniec?— przerwał mu rozgniewany książę.

—Nakoniec możeby przyszło, cedził lękliwie jak przez zęby Sołohub, możeby przyszło waszej książęcej mości zmykać razem z Wołodkowiczem z kraju przed powszechną akklamacyą, a potem starać się żelaznego listu, czego jeszcze z żadnym Radziwiłłem nie było.

Książę milczał, tylko głową kręcił; poznałem, że już miękczał w zapędzie; odezwał się jednakże, —Kossowski! a waść co na to?

Kossowski ten żyje i teraz przy księciu; książę go lubi i z nim najczęściej baraszkuje: bo to wielki koncepcista, wydrwiwacz i śmiesznie bardzo komedye udaje. Jak tylko książę siedzi smutny, spuściwszy głowę i kułakami w kolana swoje tłucze, co znaczy, że w złym humorze, albo że się gniewa na kogo, wnet posyłają po Kossowskiego; już on potrafi i rozweselić pana, i wyprosić *pardon*

dla winnego, i w humor dobry wprowadzić (*). Czasami nawet przytnie księciu; ale i to jemu uchodzi, bo ksiązę go lubi i zna przywiązanie do siebie. Kossowski tedy na zapytanie księcia odpowiedział.

(*) Kossowski był aktorem teatru nieświżskiego, a lubo teatr ten bywał tylko w czasie karnawałów i nie trwał stale, Kossowski jednak ciągle rezydował na dworze księcia, bez żadnego innego obowiązku, jak księcia i licznych zawsze gości dowcipem swym bawić i rozrywać. Nie był to *tre-fniś z professyi*, ale niejako *locum tenens téj funkcyi*. Nie odstępował on nigdy dworu i wszędzie bywał z księciem. Zdarzyło się, że raz w Warszawie król dowiedział się o nim; ciekawy jego dowcipu i porównania z własnym podobnymże *exemplarzem*, zaprosił księcia na obiad, obowiązując, aby w asystencyi swojej miał i Kossowskiego. Stało się jak król żądał. Gdy usiedli do obiadu, królewski chodził koło stołu i jak mógł zdobywał się na koncepta. Kossowski stał spokojnie i milczał; zagabany nawet przez kolegę, zbywał go niczem. Po obiedzie, król nie kontent z milczenia Kossowskiego:

—Mówiono mi, rzekł doń, żeś dowcipny i wesoły; dla czegożeś dziś tak milczący? powiedz przynajmniej, co myślisz o moim *faceciście*, któregoś tak spokojnie słuchał?

—Nie śmiem, Najjaśniejszy panie! — odpowiedział kłaniając się najpokorniej Kossowski.

—Mów śmiało, proszę.

—Bez ogródek? Najjaśniejszy panie!

—Bez ogródek.

A wszyscy zbliżyli się i słuchali.

—On, rzekł Kossowski, większy głupiec, niż błazen.

Kossowski więc znał różnicę prawdziwego dowcipu od śmiałego tylko głupstwa.

—Mnie się zdaje, mości książę, że jak zaczniesz *klin klinem* wybijać, gdyby nas *kliny* nie rozparły.

—Mówcie co chcecie, rzekł na koniec książę, ja pana Michała nie odstąpię. On duszą i ciałem mój! on mój przyjaciel *a corde!* a ja mam spokojnie czekać aż zginie? Nie! moi panowie! nie!

—Kulesza! (to był łowczy księcia) ruszaj, pannie kochanku, z całym myśliwstwem dniem i nocą do Kojdanowa; omijaj *Nieświż*; w Kojdanowie (*) roztasuj się w miasteczku i czekaj na mnie kupno; a rozpuść głos, że za przybyciem mojem, pociągniem w Nalibockie lasy na dziki.

Myśliwstwo nasze, mój dobrodzieju, to nie żart; każdy strzelec ma barwę i porządny rynsztunek; kurtka i szarawary zielone, pas skórzany szeroki, z tyłu na sprzązki mosiężne spięty, z dwoma tuzinami ładunków, a przy nich flaszką oplatana z wódeczką, i w osobnej kieszonce nóż, krzesiwa, skałki i inne myśliwskie sprząciki; fuzya także na zielonej taśmie przez ramie, a przez dru-

Inną razą jakiś możny pan, gość w Nieświżu, spotkawszy Kossowskiego, rzekł doń:

—Kossowski! bądź u mnie.

—Jakto? z wizytą?

—Nie, na rezydencyi.

—A jakże nas dwóch pomieści się?... *N. w.*

(*) Kojdanów, miasteczko Radziwiłłowskie, o mil pięć od Mińska.

gie na takimże sznurze trąbka, przytém koń z całym moderunkiem i para pistoletów w olstrach, a przy siodle trok na zwierzynę, oto cały porządek, bez którego gdyby ksiązę którego złapał, dałby sworami ze służby odprawę. A takich ludzi było i zawsze jest na polowaniu około księcia ze sto, nie licząc łowczych i podłowczych, bo my, jak oficerowie tego wojska, uwijamy się i komenderujem na obławach.

Nazajutrz, a oto już był dzień siódmy od mojego wyjazdu z Mińska, puściliśmy się w podróż. Na jednych wielkich saniach łubem obitych, na jakich pospolicie w ostępy na obławy się jeździ, jechał ksiązę z panem Sołohubem i z hajdukiem, na drugich ja z Kossowskim i z jednym ksiązęciem pokojowym, po cztery konie gęsiorem w zaprzęgu.

Ksiązę nie folgował ani sobie, ani ludziom, ani koniom; ale cóż, kiedy nocami jechać nie mogliśmy? bo taka ciemność, a zawieruchy tak strasznie mroźne i nieustanne, że koniecznie noclegi odbywać przychodziło. Nałożyliśmy jeszcze drogi manowcami, mijając Nieświż; a tak, aż piątego dnia w wieczór stanęliśmy w Kojdanowie. Znaleźliśmy już tam i *Kuleszę* z myśliwstwem, który tegoż dnia rano tam się przybił, lubo wielu w drodze poprzystawało, i przez cały dzień ściągali się pojedyn-

czo. A to już był dzień dwónasty od mego z Mińska wyjazdu....

Córka przerwała dyskurs pana Bielewicza, donosząc, że obiad gotowy.

Zebrała się więc drużyna; chłopcy dwa dorosłe, synkowie gospodarza, wrócili z lasów, i zasiedliśmy stół, odwiedziwszy wprzód puzderko. Panna Anna uwijała się jako gospodyni, przysiadła z nami, ale często wybiegała do piekarni; pomagał jej Marcin i przynosił potrawy, ale *per modum* jak przyjaciel, nie jak sługa, bo razem z nami nakładał sobie na miskę. Jedliśmy na talerzach z pięknej słuckiej gliny, białej jak farfura.

Barszcz ze schabkami smaczny, jakiego dawno nie jadłem, zajac i bekasy pieczone, a *sielanka* na trzecie; a nakoniec przyniosła panna Anna dzban poliwany jabłeczniku, któryby nam wszystkim wystarczył, gdyby się we drzwiach z Marcinem nie spotkał. Ten, ujmując niby fatygi pannie a ciężaru dzbanowi, z połowę duszkiem wychylił, i stawiając resztę na stole. — To, rzekł, lepsze bodaj, jak nasze klasztorne piwo, które jeszcze ks. kanaparz chrzci wodą dla czeladzi, niech mu Pan Bóg odpuści. Jabłecznikowi temu przynajmniej lat dwie. Oj, znam się na tem!

—Dopijajże i resztę, a Anusia przyniesie dla nas drugi dzban.

—Lżej mi teraz, widzisz jegomość, gospodarzyć, gdy się dochowałem własnej gospodyni i tych chłopców. Lat ośm jak odumarta mi żona. Napłakałem się! Bogu o tём wiedzieć; a co się zmarnowało i potraciło w chudobie przez cudze ręce, tego już nie spędzić.

—Zdaje się, rzekłem, że i tój gosposi wkrótce możesz się pozbyć, choć chwala Bogu innym sposobem.

—Prawda, rozumiem; już miałem kilku swatów, ależ za to mogę nabyć na jej miejsce dwie synowe.

—Niech Bóg błogosławi—rzekłem. A tymczasem panna Anna drugi dzban jabłeczniku przyniosła.

Podziękowawszy Bogu, a potem gospodarzowi za tak wyśmienite uraczenie, poprosiłem o koniec *historyi* Wołodkowicza.

—Pójdźmy, mój dobrodzieju, rzekł gospodarz, do odryny na świeże sianko; odpoczniam trochę, a potem dopowiem jegomości wszystkiego.

Gdyśmy się razem prawie ocknęli, przypomniłem obietnicę.

—A na czemże stanąłem?— zapytał Bielewicz.

—Stanęliście w Kojdanowie z księciem.

—A tak. W Kojdanowie znaleźliśmy pełną karczmę ichmościów to do Mińska, to z Mińska jadących; niektórzy nawet oczekiwali na księcia, dowiedziawszy się od Kuleszy, że wkrótce tu przybędzie.

Pierwsza nowina nieszczęśliwa, którą nam jadący z Mińska hurmem wykrzyknęli, to:—Wołodkowicz dziś rano osądzony na śmierć, *in triduo* będzie rozstrzelany.

—Nie doczekają! krzyknął książę, ja ich samych.... Kulesza! na koń z ludźmi i mnie wybierz konia najlepszego z pod którego strzelca. A Piłaty te! a Herody nie sędziowie! Drżał cały ze złości i tupał nogami. Otoż to twoje mądre *consilia!* panie Sołohubie! Bodaj cię wszyscy diabli wzięli! panie kochanku!

—A cóż ja winien? wszakże nie opóźniłem podróży waszłej książęcej mości.

—Tak, ale przez całą drogę bębniłeś mi nad głową, że Sapieha przez wzgląd na mnie modyfikować będzie rygor prawa, i skończy się na wieży fundowej, z której Wołodkowicz uciecze.

—Sapiehy-bo niema w Mińsku, odezwał się jakiś jegomość. Vice-marszałek Morykoni trzyma laskę. Wprawdzie zaraz po akcyi kilku posłań-

ców poleciało do Bychowa, bo i Morykoni wysłał od siebie, i plenipotent księcia krajczego pchnął od siebie tatara. Powrócili wczora obadwa i odwieźli rezolucye. Jaka do Morykoniego? nie wiadomo. Do plenipotenta swego zaś odpisał, że wnet się sam wybięra do Mińska, a bez niego Wołodkowicza sądzić nie będą. Tymczasem, widąc że trybunał pomiarkował coś z listu swego marszałka, więc zaraz Dłuski, deputat lidzki, któremu Wołodkowicz rękę podciął, zrobił wniesienie; po czém nie schodząc z sądów, i przez całą noc siedząc w namowie, zrana ogłosili dekret *poenam colli*, to znaczy na gardło, i Wołodkowiczowi w kordygardzie przeczytali.

—Więc ani minuty niema do stracenia! zawołał książę. *Periculum in mora!* panie kochanku! to znaczy się, niebezpieczeństwo....

—Nie tłómacz mi jegomość łaciny, przerwałem, bo ja umiem po łacinie.

—Doprawdy? To ja pierwszego takiego kwestarza widzę, który umie po łacinie.

—A ja pierwszego podłowczego.

—I to prawda. No, to niechaj sobie... kwita.

—Dziwi mnie także, rzekłem, jak wszystko tak wiernie pamiętać możesz, że słowa nawet powtarzasz.

—O! mój dobrodzieju! nie tak-że to dawno by-

to; trzydziestu pono lat niema; a ja przegadując całą tę historję nie sto razy i dzieciom swoim, i różnym tak jak jegomość ciekawym, wyuczyłem się jęj na pamięć.

Już tedy książę miał ruszać, choć noc była ciemna, jako i przeszłe.

—My za tobą, książę!— krzyknęli wszyscy zebrani w karczmie.

—Dziękuję, pokornie dziękuję, rzekł książę, że biednego Radziwiłła nie opuszczacie. Kto ze mną, panie kochanku, i ja z tym! A te tam Filistyny, na złość mnie, chcą zabić mojego przyjaciela.

Wtém mocno zastukano do karczmy, a że pełną była, więc żyd i czeladź nie wpuszczała. Zastukał zatem w okno i zawołał ktoś —A jest tu książę miecznik litewski?

—Jest, panie kochanku! A kto waść taki?

—Rupejko, dobry sługa waszój książęcój mości. Jadę z Nieświża i pilno mi do księcia pana.

—A puścić pana podstolego— zawołał książę.

Pod podstoli Rupejko, sławny głowacz, mecenas trybunalski, żyje i dotąd podobno, ale zebrawszy znaczną substancję, wyniósł się na Żmudź i kupił tam fortunę. Był on sługą i plenipotentem księcia hetmana, a miał i u księcia miecznika wielkie zachowanie.

—Niech będzie pochwalony JEZUS Chrystus! rzekł on wchodząc. Chwałaż Bogu, że księcia złapałem.

—Na wieki wieków, panie kochanku! A na co mnie łapiesz? i z kąd wiedziałeś, żem ja tutaj?

—Książę hetman, ojciec waszój książęcej mości, wie dokładnie *quo ad horam* obroty księcia; wiedział raptowny wyjazd księcia z Białej, wiedział cały marsz armii myśliwskiej i wszystkie noclegi a popasy samego księcia; dla tego wysłał mnie tu, wiedząc, że tu w. ks. m. myśliwstwu czekać na siebie kazałeś.

—Dobry hetman, panie kochanku, z mego pana ojca, gdy takich ma szpiegów. To wiecie zapewne już, że Wołodkowicz na śmierć osądzony?

—Nie, tego jeszcze nie wiedziałem, i książę hetman, gdy z zamku wyjeżdżał, nie wiedział; ale jam to przewidywał, bo podług prawa stać się inaczej nie mogło.

—Nie mogło! nie mogło! o toż ja w tem, panie kochanku, że inaczej się stanie. No, o cóż więc idzie? panie podstoli! mów prędko, bo wnet siadam na konia.

—Czy nie mógłbym na osobności pomówić z księciem?

—Niema czego się wstydzić, panie podstoli!

wszyscy tu są przyjaciele domu naszego, mów więc co masz.

A zatem zaczął perorować pan Rupejko przed księciem, jak przed trybunałem. Już jego oracyi spałmętać nie mogłem, choć pilnie i ja i wszyscy słuchaliśmy. Ale treść rzeczy była taka: że książę, jako hetman, zakazuje księciu miecznikowi mieszać się w tę sprawę, a jako ojciec, zaklina, aby pamiętał na swoje imię; że *Radziwiłłowie* wiernie zawsze i poczciwie służyli krajowi; że salwowali często niewinność i sprawiedliwość, ale nigdy nie bronili takiej swawoli i występku, na który *horret animus!* że gdy książę hetman odmówił powiększenia warty trybunalskiej, a wasza książęca mość odbijesz teraz *delinkwenta*, który napadł na trybunał i któregoś sam na deputata wy kierował, cała zatem wina tej akcyi padnie jak na syna, tak i na ojca, a cały świat *suspikować* będzie znowę obudwóch z Wołodkowiczem na rozpędzenie trybunału, w którym zwłaszcza kilka spraw *Radziwiłłowskich* wątpliwego znaczenia *indukować* mamy. Słowem, Rupejko tak ze wszystkich stron dojeżdżał księcia, tak konwinkował, tak kruszył, że nakoniec książę impetycznie zawołał:

—Dość, panie kochanku, dość! Dajże radę! na miłość Boga, dajże radę!

—Rada krótka i gotowa, mości książę! Zaniechać Mińska, wrócić do Nieświża, uspokoić ojca.

—To niepodobna, panie podstoli, to niepodobna! Prawda, zgrzeszył Wołodkowicz i ciężko zgrzeszył, ale czyż dla tego ma umierać? Nikogo nie zabił, pokrzywdzonym czyni deprekację. Ja Dłuskiemu złotą rękę odleję. Występek, jak nazywacie, *status*, niech w wieży fundowej odpokutuje.... Ale śmierć, panie kochanku, śmierć! Niešťczęśliwy człowiek! jego cała nadzieja we mnie! on mój od dzieciństwa przyjaciel! Panie podstoli! radź inaczej! ja ci odwdzięczę! dalibóg odwdzięczę! panie kochanku.

—To poczciwe serce naszego księcia, gadali między sobą ichmość tam obecni; nie żał dla takiego zdrowie i życie ryzykować!

—Trudna insza rada, mości książę! rzekł pan podstoli, zwłaszcza po dekreście.

—Czy nie możnaby dopaść do Sapiehy?

—*In triduo* do Bychowa i nazad, rzecz niepodobna; a nakoniec cóż to pomoże, on dekretu trybunalskiego nie odmieni, i tem spokojniejszym będzie, że pisał do księcia hetmana przez umyślnego, który dziś z rana odjechał z Nieświża z rezolucją; a w niej książę hetman zaręcza, że najmniej ochraniać Wołodkowicza nie myśli, że każdego gwałćiciela spokojności krajowej ma za swe-

go nieprzyjaciela. Toż samo odpisał i do pana vice-marszałka Morykoniego, który także odzywał się do księcia hetmana.

—A więc nie masz sposobu?— ksiązę zapytał patrząc w oczy Rupejce, który wzrok ku ziemi spuścił i dumał. Wszyscyśmy milczeli....

—Trybunał, mości ksiązę! zaczął znowu pan podstoli, odmienić swego dekretu nie może. Ale!... ale!...

—Cóż? panie kochanku! cóż? dla Boga! mów!

—Ale mógłby *suspendować exekucyę* dekretu do jakiegoś terminu, a natenczas starania u majestatu...

Nie dał mu dokończyć ksiązę, rzucił się Rupejce na szyję, ścisnął go, całował.

—Panie kochanku! bierz co chcesz, byle tej *suspensyi* dopiąć. Potem wszystko łatwiej pójdzie. Jedź natychmiast do Mińska.

—Widzisz-bo ksiązę, że jest jeszcze *cyrkumstancya*, nad którą mnie szczególnież zastanowić się trzeba. Ksiązę hetman *publice* oświadczył, że ktokolwiek *directe* lub *indirecte* robić będzie jakiegokolwiek *influencye* w tej sprawie, używając imienia Radziwiłłowskiego, już więcej progów nieświżskich nie przestąpi.

—Bądź spokojny, panie kochanku! ja ojca ła-two przebłagam, zwłaszcza, gdy się rzecz bez ra-

ptu obejdzie. A i moja przyjaźń panie podstoli, warta wszelakoż jakiegokolwiek *animadwersyi*.

Pan Rupejko znał dobrze, że lepsze słońce wschodzące, niżeli zachodzące, rzekł więc:

—Cóż mam robić? skarbiąc sobie względy waszej książęcej mości, zaraz jadę, dobiję się choć w nocy albo równo ze dniem do Mińska, i będę pracował; a jeżeli mnie się uda skłonić Morykoniego....

—A jeżeli się nie uda? — odezwał się ktoś z kompanii.

Na to zawołanie, jakbyś *insperate* z pistoletu nad uchem palnął, książę stanął jak wryty, Rupejko spuścił głowę i wszyscy oniemieli.

—I pewnie się nie uda, dodał tenże jegomość, kiedy będzie rzecz z panem starostą Morykonim. Ja go znam dobrze: to człek twardy jak stal, czyli, co na jedno wychodzi, uparty jak koziół.

Wszystkie więc nadzieje i księcia i nasze w łeb wzięły razem, patrząc zwłaszcza na minę pana Rupejki.

—Jednakowoż, mości książę! odezwał się nakoniec i pan Sołohub, niech pan podstoli probuje szczęścia; projekt jego jest mądrym: bo tym jedynie sposobem możnaby salwować Wołodkowicza. Niech jedzie i *operuje*; my tymczasem zostanmy tu i czekajmy.

— Nim Wołodkowicza rozstrzelają, panie kochanku, albo nim książę hetman przysze tu *husarye*, aby nas do Nieświża odprowadziła. Rozumna rada! nie ma co powiedzieć! Nie, panie kochanku! niech pan podstoli jedzie i operuje, ale niech przytém wiedzą panowie sędziowie trybunalscy, że ja tuż! i że, gdy operacye nie pomogą, ja moje rozpocznę, i bodaj skuteczniejsze.

Po długich jeszcze *certamentach* i radach, stańto na tēm, że pan podstoli wyjechał zaraz do Mińska, a my równo ze świtem wyruszyliśmy na obławy w lasy Smolewickie, które do samego prawie Mińska dotycają, a tam co godzina miał książę mieć wiadomości z miasta.

Potēm każdy drzemał jak mógł. Książę siadł za stołem, położył na krzyż ręce na stole a głowę na rękach, i zaczął chrapać na całą izbę. Ja poszedłem do plebanii, bo znałem tam mieszkającego księdza kalwińskiego Kina, który i teraz żyje jeszcze; człowiek to bardzo zacny. Rozbudziłem go, oznajmiłem o bytności księcia, i o tēm, że równo ze dniem wyjeżdżamy. To on wnet się zawinął koło śniadania, jakoż jak tylko na brzask, przysłał do karczmy kilka dzbanów grzanego piwa i wyśmienitych dwie misy zrazów, które zając książę odezwał się. — Otoż nam dogodził pocziwy Kin! gdyby nie

kalwin, zrobiłbym go, panie kochanku, *insultem ołyckim*.

Raniuteńko, książę i myśliwstwo całe i nowi przybysze przyjaciele, jedni z ciekawości, drudzy z życzliwości, siedliśmy na konie; a tak z półtorasta konnicy ciągnęło za księciem traktem mińskim, wszyscy gotowi na jedno słowo księcia, choć w ogień. Książę puścił się kłusem, i już mil z parę ubiegliśmy a dzień piękny się zrobił, gdy ostrzeżono księcia, że konie słabiejają i że wytchnąby należało.

— Nic to, rzekł książę, kto ustanie, to ustanie; pod Mińskiem popas, i tam dosłyszysz Rupejki, a potem...

Ledwo to wymówił książę, uyrzeliśmy lecącego ku nam od Mińska konnego; ja poznałem zdaleka naprzód konia naszego, a potem Surwinta, kolegę mojego w służbie Wołodkowicza. Postrzegłszy on nas, przypuścił konia, i doskoczywszy przed księcia — *Już po wszystkiem!* rzekł, *nie żyje!*

— Kto? Wołodkowicz? Zwaryowałeś?

— Wołodkowicz! Rozstrzelali!

— JEZUS! MARYA! JÓZEF! Kłamstwo!

— Nie kłamstwo, mości książę! Na własne oczy widziałem trupa; leży w kordygardzie, i

krw gorąca jeszcze ciekła z piersi i z uszu, gdym z Mińska wyleciał.

— Kiedy rozstrzelali?

— Dziś o wpół do trzeciej po północy.

— Gwałt! gwałt! krzyknął książę. A niechże mię ziemia pozrze, kiedy ja im to daruję. Wygubię tych rozbojników! Za mną! kto w Boga wierzy!

— I chciał puścić się pędem, ale wstrzymał konia za cugle Sołohub.

— Po co teraz? móci książę! Umarłego nie wskrzesim.

— Ja nie *Szczepanowski*, wskrzeszać nie umiem, ale zemścić się potrafię, ale *Piotrowinów* narobię! Niech ich potem kto chce wskrzesza. Ha! *Barabasze!* Puszczaj mnie, bo tobie samemu łeb rozplątał. — I rwał się do pałacza.

A Sołohub zeskoczył z konia i stanął naprzeciw, trzymając zawsze książęcego konia za cugle.

— Płataj! jeżeli chcesz, książę! wolój zrób ze mnie Piotrowinę, czy Szczepanowskiego, niżeli-bys miał w Mińsku męczenników robić.

— Ale darmo do Mińska, rzekł Surwint, nie ma tam już ani pana Szczepanowskiego, ani pana Piotrowiny, ani żadnego deputata, (trzeba Jego-mościu wiedzieć, że Surwint pocziwy żmudzin, ledwo podpisać się umiał i nie wiedział nic o cu-

dach ś. Stanisława), bo zaraz po rozstrzelaniu Wołodkowicza rozjechali się wszyscy, a po prostu mówiąc, pouciekali, i sam nawet pan Morykoni pojechał do Bychowa do księcia Sapiehy, a deputaci każdy w swoją stronę; ale nikt w tę stronę, bo wczora wieczorem rozszedł się po mieście rumor, że księżę z wielkiem wojskiem leci na odbicie Wołodkowicza, i dla tego co mieli za trzy dni rozstrzelać, to nie czekając dekretowego terminu, rozstrzelali w nocy.

Księżę więc zszedł z konia, spuścił głowę, *Requiem aeternam dona ei Domine!* po kilka razy powtarzał i ocierał z łez oczy.

Ja płakałem jak bóbr, a Surwint chlipał jak dziecko.

Księżę siadł znowu na konia, zawrócił nazad i kazał Surwintowi jechać obok.

— Opowiedz mi waść całą tę tragedję — rzekł do niego.

Niema co i mówić, JO. księżę panie! zastrzelili i po wszystkiem — rzekł Surwint chlipając.

— Zgłupiałeś z wielkiego żalu, panie kochanku!

— A cóż? JO. księżę! jak on napadł na trybunał....

— To wszystko wiem od Bielewicza; mów tylko co było po dekrete.

— Po dekrete? Jak jemu przeczytali w kordygardzie dekret, tak zaraz pan rotmistrz Krajewski rozkazał przynieść kajdanki. Wołodkowicz żadną miarą okuć siebie nie dozwalał. — Jestem szlachcic, mówił; kiedy potrzeba umrzeć, to dziej się wola Boża! Nie jestem nawet *jure victus*, bo nie dano mi ani czasu, ani patrona do obrony, a zatem wara z kajdanami! wara!

Krajewski perswadował i przepraszał nawet, że musi spełnić dekret trybunalski. Jakoż choć się dąsał, przy pomocy jednak kilku gimejnow, włożono mu łańcużki na nogi.

Wołodkowicz, obaczywszy się okutym, gorzko płakać zaczął; załamywał ręce, że aż wszystkim żal się jego zrobił. Opowiadał mnie to wszystko przy trupie, porucznik warty trybunalskiej pan Sielanko (*).

Poprosił potem nieboszczyk Krajewskiego, aby mu dozwolił widzieć się z którymkolwiek swoim dworskim. Zgodził się rotmistrz. Posłano do kamienicy, i ja wnet przybiegłem. Oj! Bogu znać, a nie opowiedzieć ja mogę księciu, co się ze mną działo, gdy postrzegł okutego mojego pana. Hrymnałem mu do nóg, i oba zaryczeliśmy z płą-

(*) Krajewski rotmistrz, a Sielanko porucznik warty trybunalskiej. Ostatni umarł jeszcze w 1812, w powiecie oszmiańskim. *N. w.*

czu. Warta, choć to żołnierze, a płakali także, bo serce krajało się, i teraz się kraje, JO księżę panie!

— Czy jest mój brat pan Józef?

— Niema, odpowiedziałem; dostał maligny jak się dowiedział o nieszczęściu pańskim, i zostawiłem go leżącego bez nadziei, bom był u niego.

— Gdzie Bielewicz? — zapytał.

— Zaraz po wzięciu pana poleciał do księcia Karola Radziwiłła.

— To dobrze! i zcicha dodał: księżę Karol mnie nie opuści. A nie masz żadnej ztamtąd wiadomości?

— Nie ma żadnej szczególnej, ale po mieście jak w bęben biją, że księżę lada godzina wpadnie z wojskiem i odbije pana.

— Więc w Bogu nadzieja! rzekł on rzeźwiąc trochę.

Rzucił potem na stół parę dukatów.—Krajewski! każ przynieść wina. Na frasunek napiję się z moim pocziwym żmudzinem.

— Życzyłbym panu, odpowiedział Krajewski, upamiętać się; ostrzegam, że tu nie ma żartów. To nie taki frasunek, który w winie utopić można. Kiedy żelaza na nogach, o Bogu nie o ludziach

myśleć trzeba; i dla tego ja życzę panu wezwać kapłana i wypowiadać się.

— Wypowiadam się, odpowiedział hardo mój pan, na Wielkanoc. Waś mi kajdanki włożyłeś, ale będzie taki, co zdejmie, i może kogoś niemi opatrzy. Każ przynieść wina!

— Nie tylko nie mogę wypełnić tego rozkazu, ale nie mogę dłużej zostawić tu sługi pańskiego. Panie Surwint! pożegnaj się ze swoim panem i wychodź.

— Panie rotmistrzu dobrodzieju! rzekłem wtenczas ściskając jego kolana, pofolguj. Czy to nie dość za takie błazeństwo, że pana mego, który jest pan z panów, w kordygardzie trzymacie, żeście mu łańcużki włożyli, że go śmiercią straszycie, gdyby jeszcze i dłużej tak go dręczyć? Wszak zresztą panu Dłuskiemu palce się pogoiliły, a z Panem BOGIEM łatwiej jak z ludźmi. Za przypadkowe przecięcie krucyfixu zmuruje kościół pan mój; chwała Bogu ma z czego. Dalibóg, panie rotmistrzu, puszczaj nas już jegomość wolno, a i sam nie pożałujesz tego.

— Jesteś poczciwy szlachcie, panie Surwint, odpowiedział mi Krajewski, ale wybaczaj, głowa nie do rady. Wiedz o tem, rzekł jeszcze, biorąc mnie za rękę, że ani ja sędzę, ani ja kuje, ani ja strzelam. Trybunał osądził, trybunał zakuł,

trybunał i... — Zamilkł Krajewski, a Wołodkowicz dokończył — i *rozstrzela!*

Usiadł potem na zédlu za stołem, głowę oparł na rękach i zamyślił się. Krajewski także milczał, a ja płakałem stojąc jak wryty. Nakoniec rotmistrz powtórzył mnie znowu rozkaz pożegnania się z panem i odejścia; zbliżyłem się więc do biednego zamysłonego, a on, nie podejmując głowy — Bądź zdrów! powiedział, obaczym się może i na Jozafatowej dolinie! a ciszej dodał: — Kiedy do jutra rana nie będzie tu Radziwiłła, leć do Nieświża, bo zginę!

Nie wiem czy Krajewski to słyszał, ale ja ucałowałem kolana pańskie, i wyszedłem, niosąc kamień na sercu.

W mieście był ruch szalony. Trybunał jeszcze ściślej się zaparł; warty wszędzie, i w bramie i na wschodach srogie porozstawiano; po ulicach i na rynku panowie palestranty, aplikanty, ajenty i rejenty, kompanjami chodzili, rezonując i wróżąc i tak i owak.

Jedni mówili — Już po nim! Dekret trybunałski! appellacya do pana BOGA! spadnie gałka! — Drudzy mówili — Trybunał z dekretem, a *Radziwiłł* z muszkietem! Obaczym zaraz gościa, mówili.... On go z tej kozy wydobędzie, a od *Radziwiłła*, to już go i sam diabeł nie wydobędzie.

Inni znowu mówili, że za porąbanie krucyfixu będzie musiał po *absolucyę* piechotą do Rzymu wędrować, a drudzy, że będzie musiał dyscyplinować się u Bernardynów, pod lampą. To mówili — Dyscyplinował on nie jednego, niechże poprobuje tegoż samego specyału! — Ale wszyscy ciekawi byli końca, a nikt bodaj nie wierzył, że stanie się podług dekretu.

Gdym wyszedł z kordygardy, otoczyła mnie tłuszcza wielka, sypiąc pytania bez końca, ale mnie jakby mowę zajęło i w głowie się pomieszało; rozpychałem tłum nic nie odpowiadając, i wpadłem do kościoła OO. Bernardynów otwartego przed nieszporama, dałem talara na litanję i na *Sequeris*, i krzyżem leżąc, słuchałem tego....

— Mniejsza, rzekł ksiązę, o twoje własne *particularitates*; mów co się działo z Wołodkowiczem?

— On, jak mnie powiadano, po mojem wyjściu doprosił się u Krajewskiego butelki wina, wypił ją duszkiem, rozciągnął się na swoim łóżku, bo mu pierwój już dali łóżko i pościel, i zasnął w najlepsze.

Tymczasem nadszedł wieczór; Krajewskiego wezwano do trybunału; bawił się tam godzin z parę czy więcej; wróciwszy, obudził Wołodkowicza, wyjął z zanadry papier, i rzekł doń — Czytaj!

A był to rozkaz na piśmie dany od trybunału

Krajewskiemu, rozstrzelania *delinkwenta* we trzy godziny.

—Jakto? —zrywając się z łóżka krzyknął Wołodkowicz. Dekret dał mi czasu trzy dni. Ciż sami podpisali ten rozkaz, którzy podpisali i dekret.

Dobył potem Krajewski zegarek —Pół do dwónastej, rzekł; masz czasu do pół do trzeciej. Za każdą minutę odpowiedzialny jestem. Polecaj Bogu twą duszę. Niema żadnego ratunku. Posłałem po księdza.

—To być nie może! to być nie może, gdybym miał tak marnie zginąć! gadał Wołodkowicz, suwając prędko spętanemi nogami a wlokąc łańcuchy po ceglach. Szwykowski! mój brat cioteczny! Boże mój! i on mnie potępił! Panie Krajewski! Bogu i ludziom odpowiesz.

Wtém wszedł ksiądz, i Krajewski, postawiwszy czterech żołnierzy z nabitą bronią we środku przy drzwiach, rzekł do nich —Bacność na delinkwenta! głową odpowiadacie. Sam wyszedł.

Trzeba wiedzieć JO. książę panie, że ja z kościoła poszedłem do celi księdza brata mego stryjecznego, także Surwinta, spowiednika w klasztorze mińskim. Siedziałem tam jak zabity, bo spać nie mogłem, a równo ze dniem myślałem ruszyć do Nieświża, szukając księcia. Otoż właśnie wszedł

do mojego brata ksiądz Gwardyan, a za nim żołnierz.

—Idź, ojcze, za tym żołnierzem, rzekł Gwardyan, wypowiadasz i przygotowujesz na śmierć Wołodkowicza.

—Pan rotmistrz kazał mi prosić, odezwał się żołnierz, ażeby ksiądz spowiednik wziął z sobą święty wijatyk, lecz aby szedł bez dzwoneczka.

—Jako? rzekłem, wszakże jeszcze dwa dni z dekretu mu się należy.

—Ja tego nie wiem, odpowiedział żołnierz, a robię co mi kazano.

Szedłem z księdzem spowiednikiem, ale Krajewski rozstawił naokoło kordygardy, na rynku na kroków jakich pięćdziesiąt szyldwachy, i kazał strzelać, jeżeliby kto za tę linię przestąpić ważył się; i kiedy kto się przybliżał, to szyldwach krzyczał —Nie następuj, bo strzelę!

Księdza spowiednika więc przeprowadzono, a ja musiałem zostać. Ludu też było pełno na rynku, a z sądowej trybunałskiej świeciły się okna, jak z kościoła podczas roratów.

Lecz wreszcie tłum rozchodzić się począł. —Już dziś nic nie będzie, mówili. Zwyczajnie Wołodkowicz zapotrzebował księdza, to mu go i przyprowadzili, ale kiedy i rozstrzelają, to chyba na trzecim dniu. Ale ja doczekałem powrotu księdza

brata i oka z kordygardy nie spuszczać. W oknach tam światła biegały jakby przenoszone z miejsca na miejsce, ale nie mogłem zmiarkować co by to było.

Nagle i raptem błyskawica tam i piorun!... szyldwachy stanęły jak wryte; wnet strzał drugi mniejszy, a potem cicho, i jedna już tylko świeczka migiała przez szybkę w kordygardzie. Mnie mrówki przeszły po skórze. Lud z domów wysypywać się zaczął; a ja ujrzałem księdza brata umykającego śpiesznym krokiem przez rynek; zabiegłem mu drogę, schwyciłem za rękę — Stój! księżu!

— Wołodkowicz już przed Bogiem. Chodź za mną.

— Nie, rzekłem trzęsąc się jak osina, pójdę, obaczę nieszczęśliwego pana mojego.

— Próżno, nie wpuszczą cię. Chodź, mówię, ze mną. — I pociągnął mnie za rękę. Otoż, JO. księżu, w celi, gdy mnie trochę drzączka odeszła, odpowiedział mnie ksiądz brat ostatni *termin* Wołodkowicza.

Gdy przybył ksiądz, on jeszcze włóczył się po kordygardzie, dąsał się i złorzeczył; ale jak postawił krucyfix na stole, a przed krucyfixem złożył święty wijatyk, Wołodkowicz spójrzał na Ukrzyżowanego, i przyszedł mu widać na pamięć jego excess i rozcięcie krzyża sądowego; upadł więc

na kolana — O CHRYSTE JEZU! zawołał płacząc, zgrzeszyłem! śmiertelnie zgrzeszyłem! ale żałuję z całego serca, z całej duszy żałuję! Przepuść winę moję, i kiedy już mam śmiercią zapieczętować grzechy, dajże mi przynajmniej stanąć przed Tobą z czystym sumieniem. Ojcze! spowiadaj mnie! Odeszliśmy więc, powiadał mi ksiądz brat, w koniec drugi izby; usiadłem na zedlu, on ukląkł, i z całego życia najszczerzą spowiedź uczynił.

Daj Boże każdemu dobremu taką skrucę i żal mieć szczery, jako ten nieszczęśliwy. Uznał w zgonie swoim wolę Boską i skrócenie czasu, którego by pewnie użył na dalszy grzeszny jako i dotąd żywot, przebaczył swoim sędziom, słowem, ze lwa srogiego stał się łagodnym barankiem.

Rozgrzeszyłem go więc, i mam nadzieję w Bogu dobrotliwym, że co rozwiązałem na ziemi, rozwiązaniem będzie i w niebie. Zaczęliśmy potem mówić psalmy pokutne, a potem modlitwy nad konającym. Aj ciężki to obowiązek, mój bracie, kapłana, powiadał mi ksiądz brat, kiedy rozmawiać musi z tym, który za chwilę z Bogiem rozmawiać będzie.... Serce mi się krajało z żalu, i własnym życiem odkupiłbym młode jego lata. Wszedł Krajewski. Ja coraz to dłuższe wynajdywałem modlitwy... a nuż cud Boski... i zkańdolkowiek salva!!!

Krajewski spojrział na zegarek na stole leżący, na który ja oczu obrócić nie śmiałem, powiedział ksiądz brat, przeszedł się jeszcze razy z kilkanaście, nareszcie rzekł do mnie:

—Ojcie! uczyniłeś twoję powinność gorliwie, ja muszę moję wypełnić!..

—Panie rotmistrzu! rzekł powstając z klęczek Wołodkowicz, na dowód żem szczerze z Bogiem się pojednał i żadnego w sercu na nikogo nie zachowuję gniewu, proszę, podaj mi rękę. Krajewski podał mu rękę, a drugą łoży sobie ocierał. —Panie! rzekł mu przytém, mówiłem, że nie ja sądzę, nie ja rozstrzelam, a przeklinam moję nie-szczęśliwą teraźniejszą godzinę. Księżę! wracaj już do siebie....

—Nie, rzekł Wołodkowicz, nie opuszczaj mnie, ojcie! Patrząc na tego, który mię z Bogiem pogodził, lżej mi będzie umierać.

Nie mogłem odmówić już jakby konającemu téj prawdziwie kapłańskiej posługi, ale Bogu wiedzieć, jak mi to ciężko było.

—Panie! rzekł znowu Krajewski, czas jest.... Skinął na unteroficera, a ten wprowadził sześciu żołnierzy z bronią na ramieniu. Stanęli obok czterech wartujących.

Przeraziło to mocno Wołodkowicza; załamał nieborak ręce — O Boże! Boże! wykrzyknął, o

bracie mój Józefie! o Włodzimierzu biskupie, stryju mój! krewni! przyjaciele moi! gdzież jesteście? Księżę Karolu! gdzieś ty?

—Nie gadaj waść, nie gadaj, przerwał księżę, becząc w głos jak dziecko, nie gadaj, bo wytrzymać mi trudno.... Darował on nieprzyjaciołom swoim, ale ja im dalibóg nie daruję... gdyby zginąć przyszło!!!

—Jakże dalej?

—Dalej mówił znowu Krajewski do Wołodkowicza — Nie zechcesz zapewne, panie, abym gwałtem...

Wołodkowicz nic już nie odpowiedział, stał oniemiały jakby bez przytomności.

Dwóch żołnierzy wzięło go pod ręce, i podprowadzili, a raczej podciągnęli go do muru, Krajewski związał mu oczy; ale że ustać na nogach nie mógł, opuścili go więc na klęczki.

—Ja podbliżyłem się natenczas, powiadał ksiądz brat, i przykładając krucyfik do ust jego, rzekłem głośno — Polecaj się Bogu, Michale, i ufaj w Jego miłosierdziu!

Cud boski! cud! na te moje słowa odzyskał siły i przytomność, ucałował krzyż. Krajewski dał mi znak... oddaliłem się, a Wołodkowicz zaczął mówić — *Wręce Twoje, o Boże, polecam.... Kule*

przecięły mowę i modlitwę; upadł, ale padając krzyknął — JEZUS! MARYA! JÓZEF!...

Podskoczył Krajewski; Wołodkowicz żył jeszcze i rzucał się na ziemi, lubo krew rysztykiem płynęła; skinął więc na unteroficera, a ten z pistoletu wystrzelił mu w ucho i dobił.

— Wyszedłem ja zaraz, JO. książę, od księdza brata...— mówił dalej Surwint.

— Mniejsza tam zresztą, panie kochanku!...

— Nie, JO. książę, bo wyszedłszy, sam widziałem jak deputaci w nocy wyjeżdżali z miasta, i doprosiłem się do trupa; obaczyłem więc kochanego mojego pana! pomodliłem się przy nim za jego duszę, i dowiedziałem się, że dla tego od razu nie zabito, że on, jako pobożny katolik, (ktoby to się spodziewał, patrząc na jego hajdamactwa i swawole), nosił na piersiach obraz Najświętszej Panny na srebrnej blasze, to Ona trzy kule odbiła od jego serca, i za żupanem je znaleziono.

— A czemużeś waść tych kul nie przywiózł?— rzekł książę.

— Pan rotmistrz zabrał je sobie; prosiłem choć jednej, i mówiłem, że zawiozę JO. księciu panu.

— Oho! odpowiedział Krajewski, żeby potem nie mi mnie potraktował? Nie dam żadnej... i wypra-

wił mnie z kordygardy. Więc ja wnet na konia, i spotkałem waszą księżęcą mość.

Po tém rozpowiadaniu Surwinta, jechaliśmy ci-cho, książę milczał, ani słowa do nikogo nie rzekł; i tak w kilka godzin dojechaliśmy do Swierżnia. Książę zawrócił przed kościół, zawołał plebana, dał mu kilka dukatów, kazał dzwonić za duszę Wołodkowicza, a ponieważ jeszcze nie po mszy był ksiądz, więc mu żałośnie mieć zalecił. Wszyscy słuchaliśmy jój nabożnie, a po ukończeniu, książę zaintonował: *Wieczne odpocznienie racz mu dać Panie!* a zatém w półtorasta przynajmniej głosów prześpiewaliśmy to polecenie duszy Wołodkowicza Bogu. Książę odprawił myśliwstwo, a poglądając na nas z Surwintem, zapytał — Czy waść szlachta?

— Szlachcie jestem, mości książę, z pod Oszmiany.

— A, to waść szlachcie oszmiański! a czemuż to panie kochanku, obie nogi masz w bótach? — (Bo musiałeś to jegomość słyszeć, że nie wiedzieć zkąd jest ta pogłoska, że okoliczna szlachta oszmiańska jedną nogę w bocie, a drugą w łapciu nosi).

— A ja, odezwał się Surwint, szlachcie z pod Rosień.

—A, to waść Żmudzin, panie kochanku! No! obadwa z pocziwych gniazd i pocziwi ludzie wi-
dać jesteście, bo przywiązani do waszego pana,
macie więc u mnie służbę; jeżeli zgoda, to za mną
do Nieświża; potem obaczym kto do czego zdatny.

Uścisnęliśmy kolana książęcia i za nim ruszy-
liśmy w tropy.

Otoż masz jegomość dobrodziej całą historję
śmierci Wołodkowicza, jakbyś na nią patrzył, a
na ostatni koniec Hanulka moja zaśpiewa jegomo-
ściu pieśń o nim, którą on sam przed śmiercią
złożył. Anulku! Hanulku!

Przybiegła dziewczyna do wrót odryny.

—Zaspiewaj jegomościu pieśń o Wołodkowiczu.

—Zapomniałam, tatulenku!

—Nie kłam, moje dziecię! onegdaj jeszcze prze-
śpiewałaś ją od deski do deski przed panem *Żabczy-*
cem, twoim *per modum* kawalerem, więc śpiewaj
mnie zaraz.

Panna Anna zaczerwieniła się, i spuściwszy o-
czy, zaczęła śpiewać. Niema co mówić, głos bar-
dzo piękny i cienki.

Obacz, ojczyzno, jaka twoja strata!

Gdzie twa nadzieja? kędy moje lata?

Ledwie ze światem zabieram przymierze,

Jeden mi życie cudzoziemiec bierze.

Wiadomy Bogu, przyjaciółom miły,

W śmiertelne od was dziś idę mogiły.

Nie exces żaden, ani krwi wylanie (???)
 Lecz zazdrość pisze z światem mi rozstanie.
 Dom starożytny, senatorskie progi,
 Stargał to wszystko jeden tyran srogi!
 Jak niegdyś Tracki Buzyrys dla koni
 Krew ludzką miotał, zjadł mnie Morykoni.
 Sądowa izba, spraw wszelkich świątnica,
 Istotna dla mnie stała się rzeźnica.
 Przebóg! wszak prawo powzięte z ryczałtu
 Nie każe czynić pod sądami gwałtu;
 Mnie z sądów wzięwszy sędziego elekta
 W równości kręślą, formują dekreta.
 Omijam innych, ty ciotecznym bratem
 Szwykowski będąc, stałeś mi się katem;
 Z mych ręku przez cię odebrana szabla,
 Krew niewinnego wlewa na cię Abła.
 Sądzą mnie zatém nie dawszy patrona —
 Wszak i zabójcom wolna jest obrona —
 Kuja i biorą do ścisłej katuszy
 Trzy ledwo wolne godziny dla duszy.
 Najświętsze, proszę, dajcie sakramenta —
 Zegarek na stół — tak liczą momenta!
 Wtém i ta Matka, co cały świat broni,
 Wtenczas mnie swoim puklerzem zasłoni,
 Gdy blisko do mnie wystrzelone kule
 Od Jój obrazu spadły jak pakule.
 Czynią poprawę, srogości dość ze mną,
 Jam rzekł: Maryo! zmiluj się nade mną!
 Zatém gdy acz co wszystkich nas nie minie
 Nim się w Józefatowej obaczym dolinie,
 Żegnaj cne domy, gdy mi czas domierza,
 Stryja pasterza żegnaj Włodzimierza,
 Byłeś mi ojcem i nie skąpym w darach,
 W najświętszych pamięć miej o mnie ofiarach (*).

(*) Pieśń tę czyli lament jeszcze i teraz posłyszec niekiedy można śpiewaną przez szlachcianki okoliczne na Litwie. — *N. w.*

— To widzi Jegomość, jak to on składnie skoncypował, i jeszcze kilku godzinami przed śmiercią; to także cud, dodał Bielewicz, bo on przez całe życie ani książki ani pióra w rękę nie trzymał.

— Chyba po śmierci tę pieśń ułożył — rzekłem.

— Jakto? — zapytał zdziwiony Bielewicz.

— A naturalnie że chyba po śmierci, bo jakżeby mógł pisać o tych kulach, które od obrazu Matki Boskiej odbiły się?

— Ach! poczekaj tylko Jegomość... — pomyślał pan Bielewicz. — A dalibógże prawda! To nie on, to ktoś inny widać napisał. Proszę uniżenie! Oto mi mądra Jegomościna głowa! od razu spenetrował prawdę; a ja kilkanaście lat wierzyłem, że to mój kochany pan na pożegnanie złożył.

Wieczór nadszedł. Poszliśmy z gospodarzem na łąkę, gdzie już trzeci stóg siana wyrastał, a na nim harcował mój Marcin, mając przy sobie flaszkę z naszego podróżnego puzderka. Poznałem więc, że zapasy nasze będą zawsze pod jego *kustodyą*. Wkrótce stóg się zawierszył. Zasiedliśmy do chłodniku i kurecząt, a po wieczery każdy w swoją stronę na paciorki, i potem każdy na swoje miejsce na odpoczynek. Moja kwatera w świronku, do którego wprowadzając mnie pan Bielewicz, rzekł — Jegomość dobrodziej jutro po śniadaniu ruszysz w drogę. Już to moja Anulka

częstować będzie, bo ja z synami przede dniem wybiorę się na młodzież i na zajaczki w dalsze knieje od domu. A tak dziś żegnam Jegomości dobrodzieja. Dziękuję najpokorniej za odwiedzinę, i proszę nadal nie mijać ubogiego mojego domku. Baran mój już przy *prewodyrach*.

— Nie, nie, odezwał się słysząc to Marcin; spać długo nie dam mojemu Jegomościu. *Kto rano wstaje temu Pan Bóg daje*. I my przede dniem razem wyruszym.

Znowu poznałem, że nie tylko moje puzderko, ale i ja jestem pod *kustodyą* pana Marcina.

Tak się i stało. Jeszcze się niebo czerwieniło tylko na wschodzie, kiedy wypiwszy po kufelku grzanego mleka, wyruszyliśmy za wrota, my z Marcinem na naszych kałamaszkach, a pan Bielewicz przy nas piechotą z dwoma gończemi i wyżłem. Ojciec z synami w uniformach wyżej opisanych myśliwa Radziwiłłowskiego.

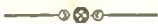
Postępowaliśmy cicho, bo każdy modlitewki poranne odmawiał, pieski tylko ciągnąc się na sforach, odzywały się niekiedy i po rannej rosie znaczyły swoje ślady obok drogi.

Nakoniec i słonko się pokazało. Pan Bielewicz, skończywszy paciorki — No, synki! na dobry humor i na szczęśliwe polowanie, *zająca*.

Więc huknęli synkowie, a z niemi ojciec basem:

„Siedzi sobie zając pod miedzą, pod miedzą,
 A myśliwi o nim nie wiedzą, nie wiedzą;
 Siedzi sobie lamentuje,
 Testament życia spisuje,
 Śmiertelny! śmiertelny! (*)

Aż echo rozległo się po kniejach. Ja zawróci-
 łem się na lewo ku gościńcowi, a myśliwce za-
 puścili się drożką w las. Długo jeszcze słysze-
 liśmy ich pieśń wesołą; наконец pieski doławiać
 się zaczęły; więc odezwała się trąbka i razem ho!
 ho! był tu kot!!! kot! kot! tu! tu! tu! że aż
 nam w uszach zadzwoniło. Pieski zagrały, i na
 sercu mnie tak grało, tak wesoło stało się, że
 aż miło!



POPAS I UWAGI MARCINA.

XVI.

Czwarty to już czy piąty dzień był po naszym
 wyjeździe z klasztoru, i przy *Barabaszu* i *Eliaszu*
 trzodka się powiększyła. Żaden dwór lub dwo-
 rek nie chybił nam jeszcze z baranem; w kalitce
 nawet mojej do czerwieńców pana rotmistrza przy-

(*) Dawna piosnka myśliwska. — *N. w.*

było kilka talarów bitych i złotych. Wszędzie mnie przyjmowano łaskawie a obdarzano chętnie i skwapliwie, wszędzie pocziwie i po chrześcijańsku żyjące znajdowałem państwo i chudopacholstwo, wszędzie traktament i gościna i przynuka zawsze, tak, że wyjeżdżać czasami nie chciało się, a nigdzie jeszcze nie spotkałem się z owem niedowiarstwem i zgorszeniem, o którym ksiądz gwardyan namieniał.

Przebywszy Niemen w Mikołajewie, ciągnęliśmy się gościńcem. Popasy nasze odbywaliśmy zawsze pod gołem niebem, jeżeli nie we dworze jakim. — Po co nam do karczmy? mówił Marcin; mamy zawsze z łaski dobrodziejów zapas podróżny, i baranów napasimy, i sami posilim się, i nic nie zapłacim.

Mieliśmy więc, podług zwyczaju, mijać karczmę, do której dojeżdżaliśmy, ale postrzegłszy przed nią stojącą piękną karoce, która widać do stodoły wleźć nie mogła, a stodołę pełną wozów i koni, a zatem pomiarkowawszy, że to jakiś dwór pański zajechał na popas, postanowiłem i tu pokorną moję odbyć zebranię, na co i Marcin się zgodził; a zatem stanęliśmy z naszymi kałamaszkami obok pańskiej karocy. Ujrzały mnie piękne panięta, to jest, chłopiec wyrostek i dziewczynka podłotek wybiegli z karczmy, a za nimi

ichmość rodzice wyszli. Weteraństwo poważne, nie ma co powiedzieć!

— *Laudetur JESUS CHRYSSTUS!* — rzekłem kłaniając się *humillime*.

— *In saecula saeculorum!* — odpowiedział *Magnificus!* jak się potem dowiedziałem, starosta. — Zajęliśmy karczmę, rzekł on, nie masz gdzie popasać księżu kwestarzu!

— Nic to, dobrodzieju! ja też nie na popas tu zajechałem; odpoczną tylko moje szkapy, i powlekę się dalej.

— Owszem, pomieścimy się jakkolwiek. Wozy twoje mogą postać przed karczmą, a konie między mojemi i mój obrok zjedzą; samego zaś waści na nasz podróżny obiadek proszę. Zostań więc dla kompanii, księżu kwestarzu!

— Chętnie spełnię rozkaz JWpana, byłem nie przyczynił *subjekcyi*.

— Żadnej, żadnej — odpowiedziała pani; a zatem i zostałem, choć Marcin się krzywił, biorąc się do odprzegania koni; ale gdy na rozkaz starosty stajenni jego pomagać zaczęli staremu, i gdy posłyszał rozkaz pański, aby i koni i jego dobrze nakarmiono, a forysie aby pilnowali wozów naszych i baranów, udobruchał się przecie i wnet pobratał się ze wszystkimi.

W karczmie już był stół nakryty, a nim dano,

starosta, zaczawszy od pytania, jakie mnie zwykłe i wszędzie spotyka. — Z jakiego klasztoru Pan Bóg prowadzi? — Zadawał rozmaite inne, wyzywając mnie zawsze na jowialne odpowiedzi, bo widać nawykł do conceptów kwestarskich. Jak mogłem dotrzymywałem placu, i uśmiechał się pan, a nawet sama imość: bo ja, pamiętając na instrukcyę księdza gwardyana, umiałem trzymać język za habitem; nakoniec przystawiono piąty talerz, i zasiedliśmy do stołu.

— Będiesz głodny, księże kwestarzu! rzekł starosta: obiad podróżny, krótki, i porcyj bernardyńskich nie będzie; bodaj tylko rosół i pieczyste.

— *Deo gratias*, dobrodzieju! a na cóż więcej?

Jakoż uczciwy był rosół z indora. Pani staroscina po dwa razy mnie nalewała, i posiliłem się regularnie.

Dano pieczyste. Były to cztery jarząbki, wyraźnie dla dwójga rodziców i dwójga dzieci po jednym.

— Oto sęk, księże kwestarzu! jarząbków cztery, a nas pięcioro!

Posiliwszy się z łaski państwa tak wysmienitym rosołem, nie potrzebuję nic więcej i obejdę się bez jarząbków.

— Nie, nie, tak być nie może. Poczekaj, *Charissime!* Jak miarkuję, jesteś człowiek by-

wały i nie lada kwestarz; musiałeś więc i szkoły traktować?

— Oho! pomyślałem, coś z wojewodzińska zakrawa. — A jakże? JWpanie! aż do *Poezymy inclusive*: a Alwar gryzłem na pamięć, jak rzepe.

— Zapewne uczyłeś się i Arytmetyki?

— Uczyłem się i Arytmetyki, lecz zostawszy kwestarzem, najwięcej praktykuję *addycyę* i *multiplikacyę*; dalsze zaś działania dla mnie niewielce potrzebne, a o *frakcyach* i słuchać nie chcę, nigdy ich cierpieć nie mogłem, tém bardziej teraz, gdy o całe barany proszę.

— Otoż, pomyślałem sobie znowu, i wędę z conceptem zarzuciłem do wspaniałości pańskiej. Punktualnie wypełniam instrukcyę ks. gwardyana. Obaczymy co wyciągnę.

— A więc daj experiment, rzekł starosta, ze swojej nauki, podziel te cztery jarzabki na nas pięć osób, ale bez frakcyów, gdy ich cierpieć nie możesz, to jest, bez rozrzynania, tak jednak, aby wszystkim po równiej porcyi się dostało; kiedy tego dokażesz, powiem, żeś gracz i żeś kwestarz *re et nomine*.

— Nic łatwiejszego, dobrodzieju! byleście się na moją *dywidendę* zgodzić raczyli.

— Przyrzekam solennie, rzekł znowu starosta,

i za siebie i za żonę i za dzieci. Ale bez noża, księże kwestarzu!

— Ani się dotknę nożem. — Podsunąwszy więc bliżej do siebie półmisek, wziąłem widelec w rękę i tak dzieliłem:

— Jegomość dobrodziej, Jejmość dobrodzika i jarząbek, to troje; panicz, panienska i jarząbek, to troje; kwestarz i dwa jarząbki, to znowu troje.

Brawo! krzyknął starosta, śmiejąc się serdecznie, toż samo i pani starościna. Zgadzaamy się na podział! wyśmienicie!

— Ale ja się nie zgadzam, rzekłem. Jarząbki zostaną przy państwu i przy paniętach, a w *indemnizacyi*, jeżeli JWpani dozwoli, wezmę tę bułkę piroga dla mnie, a dla klasztoru, co wola i łaska.

— Z największą ochotą jedno i drugie ofiarujemy ci, *Charissime*, z warunkiem wszelakoż, że po jałmużnę dla klasztoru przyjedziesz do nas. Dom mój ztąd mil pięć. Droge rozpowiedzieć każe twemu furmanowi, a fatyga nagrodzi się dobrą kwestą. Czy zgoda?

— Zgoda, JWpanie! Dla mnie wszystko jedno. Gdzie jadę, to jadę, byłem do dobrodziejów trafiał.

Wkrótce pożegnało mię to zacne państwo, i my też powlekliśmy się za niemi.

— A cóż? mój Jegomość! rzekł do mnie Marcin, baranów z sobą nie miał starosta, więc musiało przybyć kompanistów do czerwieńców rotmistrzowskich?

— Nie, nic nie przybyło, ale zaprosił mnie starosta do siebie i obiecał sutą jałmużnę. Furmani musieli tobie drogę rozpowiedzieć.

— A rozpowiedzieli. Ale to widzisz mój Jegomość, *obiecanka cacanka!* Jegomość wiesz jak tam dalej. Cóż mnie wszystko zdaje się, mówił Marcin trzęsąc tabakę z rożka, że Jegomość nie samowity na kwestarza. Powiedz mnie naprzykład Jegomość, jak domawiasz się do baranów?

— A na cóż mam się domawiać. Już skoro kwestarz wchodzi do domu, to pocziwy gospodarz wie, że zbiera jałmużnę, a zwyczajnie barany dla swego klasztoru.

— E! czy tak? mój Jegomość! Nie pocieszy się ks. gwardyan z naszej kwesty; a Jegomość pójdziesz znowu na *kanaparza*.

— Czegoż chcesz? Kilka dni jeździm, a już z dziesiątek mamy baranów.

— Da co to znaczy? co to znaczy? Nieboszczyk ksiądz Jacek, z którym lat cztery jeździłem, dołądby już kopę nazbierał. Czy raz to bywało, że my po dziesięć baranów z jednego dworu wy-

pędzamy, które on albo konceptami swemi wyłabudził, albo w *elbecwelba* czy w *maryasza* wygrał? bo u niego zawsze bywało ze *człérdziestu* i *tuz kozerny*. Miał on na to, jak sam mówił, jakąś *inkluzę*. A dla Jegomościa po jednym baranku cedzą, aż żal patrzeć. A o puzderku i wiktuałach podróżnych gdybym ja nie pamiętał, to przyszyłoby i zęby na policy położyć.

Czy Jegomość zawsze zakąsujesz po wódce?

— A jakże? naturalnie, że zjem kawałek chleba. Wszyscy tak robią.

— Otoż widzisz Jegomość, że ksiądz Jacek tak nie robił; on bywało powiadał — Napijem się gorzałeczki, a całym baranem zakąsim. — Ot już jest i baran.

Albo bywało prosi u jakiego pana rozmienić talara na drobne; no, to pan łatwo zgadza się, dobywa kieskę i odlicza za talara drobne; a on znowu — Dajże dobrodzieju i talara twardego, abym miał czem za monetę zapłacić. — Ot jest i talar. Kiedy we dworze którym był młyn, to prosił o pozwolenie zmlecia beczki żyta bez miarki. No, któż takiej małej rzeczy odmówi? — Miel, księżu kwestarzu, choć dwie. — Da choćby jedną, kiedy mnie ją dasz, dobrodzieju! — Ot znowu chcąc nie chcąc, musiał pan gospodarz dać żyta.

A raz przyjechaliśmy do okolicy szlacheckiej

koło Pińska. — Szlachta, rzekł do mnie ksiądz *Jacek* podjeżdżając, niewiele chowają owiec i sami kozuchów potrzebują, ale za to wiele i tłustych wieprzów żołądkami ukarmiają, bo lubią kiełbasy i słoninkę, muszą więc mieć jej zapasy dobre. Obaczysz waszeć, jak ich zażyję.

W okolicy, tak jak u Bielewicza, wszyscy my brat za brat, razem w jednej chacie, więc sły-
szałem jak on ich zażył.

Po *pochwalonym* i rozgoszczeniu się, nazbierało się do tego domostwa, gdzieśmy zatoczyli nasz oboz, wiele sąsiadów i sąsiadek, zapalono krupniczek w kilku miskach, i posilaliśmy się sobie skutecznie. Prawdę mówiąc, ksiądz *Jacek* lubił pociągnąć; wypróżniając więc drugi czy trzeci kubek: — Dobrze mnie tu między wami, panowie bracia szlachta! rzekł on, używam w zdrowiu z łaski waszej darów Bożych, a tam w klasztorze biada! bardzo źle!

— Cóż takiego? — odezwali się.

— Choroba, śmiertelna choroba!

— Jaka? gorączka? zaraza?

— Oj, nie to lichy, gorzej! Oto, wszyscy z mocnego śpiewania w chorze pozrywali sobie piersi, i teraz wszyscy kachu, kachu — ani sposobu. Pan doktor *Eme*, nadworny księcia, całemu

konwentowi zadeklarował suchoty, kiedy rychłego nie będzie ratunku.

— A niechże Pan Bóg broni! Niech doktor daje lekarstwa. Na toż on doktor.

— Otoż to bieda, że ani on, ani żadna apteka takiego lekarstwa nie ma, a proste, ale diabelnie, jak on mówi, skuteczne.

— A jakież to lekarstwo?

— Trzeba nosić na piersiach szrot tłustej słoniny, taki, aby całe piersi pokrywał.

— Ależ to ciężko — powiedział któryś.

— Ciężko, ciężko, ale zdrowo!

To tedy zawołał mnie ksiądz gwardyan i rzekł: — Jedź waszeć, księżę Jacku, do braci szlachty pińskiej. Cały świat wie, że to ludzie pobożni i poczciwi, a przyjaciele Bernardynów, niechże nas ratują. — A gdym już był na wozie, powiedział jeszcze — Pamiętaj waszeć, biorąc słoninę, mierzyć poście na całe piersi, bo tak pan doktor kazał, i dostarczaj prędko, bo poumieramy. — Ratujcież więc, panowie bracia! szczególnież imoście, jako siostrzyczki różnych bractw pobożnych. Za to cały nasz konwent, i niegodny wasz sługa ksiądz Jacek, ubogi kwestarz, o żadnej w modlitwach nie zapomnimy, a zatem po najdłuższem życiu, wszystkie jak z rejestru do nieba iść będziecie.

Niektórzy panowie szlachta pokręcywali głową, niebardzo wierząc tej naszej chorobie; ale jednakże nazajutrz, siostrzyczki jak zaczęły nam znosić lekarstwo, tak całą furę poćciów wyprawiliśmy do klasztoru.

Dla poprawienia mojej opinii w głowie Marcina, opowiedziałem mu moję *diwidendę* jarząbków. — No, cóż na to? Marcinie!

— Niema co powiedzieć, rzekł on pokręcając głową, masz i Jegomość oleju; ale komparacya jegomościwego rozumu do Jackowego jest tak rychtyk, jak tego piroga kasztelańskiego do pińskiej słoniny. A pomiarkuj Jegomość, czego bardziej Bernardynom potrzeba?

Wtém dropiaty zawrócił się do dworku blisko gościńca.

U W D O W Y.

XVII.

NA dziedzińcu ledwo przejechać mogliśmy przez roje gęsi, kur, kaczek i indyków. — Nie byłem tu ani razu, rzekł Marcin, ależ widać że tu dobra gospodyni mieszka: półrokuby cały klasztor wy-

karmił się tém ptastwem. No dajże Boże Jego-
mościu szczęśliwie, a ja rozgoszczę się na popas.
— Podjechaliśmy pod ganek.

Wchodząc do sieni, posłyszałem cienie, ale
chrapliwe trochę śpiewanie:

Ciesząc swoją biędę,
Za mąż sobie idę.

Zatrzymałem się więc trochę do pomiarkowa-
nia okoliczności. Śpiewano dalej:

Ja sobie wdówenka, ja sobie pani,
Choć sobie podpiję, nikt mnie nie zgani.

I znowu:

Ciesząc moją biędę,
Za mąż sobie idę.

Poznałem wraz co się święci i wszedłem do
izby.

Na środku stał długi stół nakryty dywanem, a
za nim siedziała imość, której pieśni przerwałem,
otyła i czerwona dobrodzika, w czepku na bakier,
z oczkami trochę zachmurzonymi i noskiem za-
czerwienionym.

— A! ksiądz kwestarz dobrodziej! A! na wieki
wieków! — I trzymając się za stół, chciała po-
wstać; lecz gdy pośłoniła się trochę, podbiegła
córka, która przy drugim stoliku szyła, i pod-
trzymała mamunię.

— Precz wasanna! ofuknęła ona odpychając

córkę; czy to ja sama nie wstanę? ksiądz kwestarz gotów pomyśleć kto wie co!

Widzi Jegomość dobrodziej, kołtun tłucze mi się po kościach, więc czasami odbiera nogi.

Siadajże Jegomość dobrodziej, siadaj. Mam barana dla Jegomości, mam, a może i dwóch, obaczmy tylko, obaczmy! Bieda, powiem Jegomościu, bez gospodarza chata płacze. Zażyjem tabaczki. — Podałem mojej. — Dziękuję. A wasanna każ przynieść podwieczórek: wieńdlinki, ratafii i starej gorzałeczki — na co pozwoli Jegomość dobrodziej. Bieda, bieda mojej biednej głowie. Już to trzeci raz owdowiałam. Folwareczek niczego, substancya jest, dzięki Bogu, jest. I to nie na dożywocie, nie, ale moja własna właściwość, bo nieboszczyczek mój pierwszy mąż zapisał mnie samęj jednę, a tej kłepie dam co, czy nie dam, to jak moja łaska.

Wszystko to za jednym tchem wygadała dobrodzika, że nie mogłem ani słowa mojego przemówić. Zmordowała się jednak, czy języczek się splątał, bo trochę zamilkła.

— To córeczka dobrodziki? — zapytałem w niepewności, słysząc, że ją kłepą zwała.

— A tak, córeczka, córeczka; a cóż z tego, że córeczka? o niczem innem nie myśli, jak tylko, żeby za mąż pójść. Ale poczeka mościa panna,

poczeka! Jużbym to zawsze wołała mieć syna. Pojechałby w świat i nie przeszkadzałby w niczém matce. A to czy kto przyjedzie do domu, czy gdzie sama wyjadę, to panienka na swoje kółko niteczkę mata, a o matulce ani pomyśli.

Wtém i podwieczórek przyniesiono. Przyszła i córeczka, stanęła za matką, zbiedniona nieboraczka, ale jednak *formosa puella*, i nie dziw, że przemyśliwa *circa connubium*.

— Niema gospodarza, dobrodzieju, to przyjmiesz z rąk gospodyni. Ja ratafii trochę zażywam. W ręce! — Spory kieliszek machnęła baba i zaczęła zajadać wędlinę; poszedłem za jej przykładem, choć nie tak skwapliwie.

— Proszę, suplikuję, nie wytwornie, ale pokornie. — Znowu powstać chciała, ale znowu kołtun nogi poplątał.

— Otoż, mój mości dobrodzieju, miałam już trzech mężów. Proszę teraz na moję tabaczkę. Jegomością dobrodzieja z tomką, a ja dodaję po trochu wiszniowego liścia. Miałam trzech mężów... Sto lat Jegomości dobrodziejowi!

Jakieś ciemierzycy baba mnie poddała, bo paliłem z nosa jak z pistoletu, i z pięćset lat mi nażyczyła.

— A wszystkich trzech najlepszych. Co ja na-

płakałam się po każdym! bo każdy mnie kochał i respektował.

Za pierwszego poszłam młodziuteńka, jeszcze dziecko byłam, powiadam Jegomościu dobrodziejowi; ale i on był jak dziecko, *sympłaczek* sobie, lecz że z godnej familii i miał ten folwareczek, a ja posagu *pasz!* więc mnie rodzice za niego wydali; a on wraz mnie całą swoją substancję zapisał. Potem stał sobie zawsze przy piecu i słuchał co ja rozkażę; a ja sobie bonowałam jak pani. Dziesięć lat aniołeczek stał tak przy piecu; a choć go bywało i szturchnę, jak mnie uprzykrzy się ta jego niemota, albo gdy zechce mieszać się do czego w domu, to pokłoni się mnie, pocałuje w rękę i wyjdzie do kwatery swojej na folwarku. Rozpił się potem nieboraczek — ale nie z mojej przyczyny! cóż ja temu winna? tak jemu Pan Bóg dał — i umarł, zostawiwszy mnie na głowie córkę, tę mościapannę. Oj! co ja napłakałam się po nim! co ja napłakałam się! Skosztujęm *ratafii*, księżę kwestarzu dobrodzieju, po wieślinie.

Zaraz sobie pomyślałam, że dla ludzkich języków, mnie młodej wdowiec długo nie wypada. A zdarzył się tu w sąsiedztwie tenutorem półwieczny jegomość, ale *moderat* wielki, *sensat* a gospodarz zawołany, i jak zaczął do mnie podjeżdżać, a radzić serdecznie w mojej gospodarce, a obiecywać

złote góry z tego folwarku, i nakoniec pożyczać mi po trochu pieniędzy, a molestować o deklarację, tak ja, zmówiwszy modlitewkę do świętego Eliasza, patrona wdów pragnących tego *sakramentu*, poszłam z nim na kobierzec. Oj! gdybym nogę wtenczas złamała! Bo ten pan moderat i sensat, był, prawda, gospodarz, ale hypokondryk, śledzionnik, liczykrupa, sknera, tak, że musiałam ja teraz, jak niegdyś biedny mój symplaczek, stać przy piecu z założonymi rękami, a jegomość rządził i dysponował jak chciał w mojej fortunie, i jeszcze przymuszał mnie, abym mu zapisała. Oto wpadłam, mój mości dobrodzieju! Ale nie dotrzymałam tak długo, zaczęłam mu wetować. Dopiekał on mnie do żywego, do żywego dopiekałam i ja jemu; on chce tak, a ja na złość inaczej; on chowa pieniądze, a ja wykradam i zabieram; on mówi: moja praca, a ja mówię moja fortuna; on do kija, a ja do wałka. I tak sądny dzień w domu. A nakoniec jednego dnia z wielkiej złości paraliż jegomością naruszył, i umarł nieboraczek. Oj, co ja napłakałam się!

— Zdaje się, dobrodziko, że nie było czego.

— Oto! jakto? W małżeństwie bywa i tak i owak, a dla tego potem żal!

Sześć latek z sobą przeżyliśmy, i sama nie wiedziałam co począć po jego śmierci? Różnie

głowę moję łamałam. Aż tu, jakby z przeznaczenia Bożego, przechodzi tędy półk husarski i staje u mnie na kwaterze porucznik. Młody, mój dobrodzieju! hohol na trzy łokcie! koroniasz! wersat! bywalec, mój dobrodzieju! Kiedy ubierze się bywało a siądzie na konia, mój dobrodzieju, złoto z niego ciecze! A jaki zuch! Czego on nie dokazywał? Najtrudniej zaś bywało wytrzymać, że jak zacznie sadzić strzeliste koperczaki, to aż dreszcz idzie po skórze. Półk stał ztąd gdzieś o mil dwadzieścia, on tu sobie zapisał zimowe leże i rozlokował się. To długimi wieczorami na dobitkę, jak zawiesi bywało teorban a zagra i zaśpiewa albo wesołego kuranta, albo jaką dumkę ukraińską, żałosliwą, to już ani sposobu wyper-swadować sercu swemu nie mogłam, i rozamowowałam się zupełnie. A do tego — Moja duszko! mój aniołeczku! mówił on, będę cię na rękę nosił, będę cię zwierzynką karcił, a jak pojedziem do moich fortun w Koronę, to będziesz tam jak pączek w maśle opływała. — Tak już, mości dobrodzieju, poszłam za sercem! poszłam za sercem... i trafiłam jak kulą w płot.

Na drugi dzień po szluby szatan go opętał. Jak wrzaśnie nade mną — Babo! dawaj pieniędzy! — Rozumiałam, że żartuje; ale on nie żartem wrzeszczał — Babo! dawaj pieniędzy! Czy to

ja darmo młodość moję takiej szkulepie zaprzedałem? — I niedługo czekając, wyrwał mi z rąk kluczyki, odemknął kantorek, (a wiedział, że tam jest gotówka, bo ja głupia z wielkiej miłości wyśpowiadałam się mu przed szlubem ze wszystkiego), zabrał więc cały zapas po nieboszczyku zakłady i ruszył do półku.

Rozumiałam że i nie powróci. Żal mnie zrobiło się nie tak moich pieniędzy, jak jego samego: bo to, myślałam sobie, młode piwko, uchodzi się; wybierałam się więc za nim do komendy; aż wraca przecie, wraca! ależ za nim koni, psów, bez liku; a co najgorsza, hajdamaków z półku takich jak sam, kilkunastu. Rozumiałam, że dom przewrócą. Hulanka dzień i noc. Znalazła się i skrzypeczka, pozapraszał sąsiadeczki, więc i tany, i bale, i pijatyka; a wszyscy krzyczą jak na złość — *U wdowy chleb gotowy!*

Poszło wszystko świdrem, i pieniądze, i więdlinka, i gorzałeczka, a mój pan porucznik ani słuchać nie chce moich żalów; a co najgorsza, że jak czasami wyjechała od nas ta żołnierska chałastra, to on znowu śpiewał dumki piękne, ale nie dla mnie, a dla panny Teresy, mojej kochanej córeczki. Czy tak? Ot ja panienkę do klasztoru, do panien Benedyktynek nieświzkich *insperate* zapakowałam. Niechaj już ja jedna,

myślałam sobie, ten krzyż Pański znoszę. A do tego jeszcze taką cierpiał *żelozie*, że kiedy raz powróciwszy z polowania znalazł pana vice-regenta gościem u mnie i grającego ze mną *w paszyka*, to porwał go za kark, wyniósł za drzwi i rzucił z ganku, tak, że ten nieboraczek ledwo powstał, a do mnie wpadłszy krzyknął — *Babo! kiedy kochasz, kochaj stale, a nie kochasz, w łeb zapalę!* — A święta Urszulo z towarzyszkami! Aż mnie strach teraz, jak na to przypomnę.—Skoosztujem po kropelce.

— Dziękuję, dobrodziko! Wolej zażyjem jeszcze tabaczki, ale mojej, bo imościna kaducznie mocna.

— Dobrze. Mój nieboszczyczek drugi mąż zażywał tabaczkę, a od niego i ja nauczyłam się; a ten trzeci bisurmanin, to palił fajkę. Nie mogłam z nim dać rady. Wypustoszył mnie dom, zrabował gospodarkę, rozhajdamaczył i rozpoił mnie dwór cały, a ja *pijaństwa cierpieć nie mogę*. Przecież niedźwiedź przyszedł mnie na ratunek. Na obławie strzelił on do niedźwiedzia i spudłował, a niedźwiedź na niego; nim dobiegli ratować, zdarł mu skórę od głowy do pięt, pogruchotał mu kości, i tak umierającego do mnie przywieźli, ot temu jak raz piąty miesiąc. Ach! co ja napłakałam się! Nie było czasu i doktora

sprowadzić. Umarł, ale po swojemu: bo choć i wypowiadał się i za grzechy żałował, a jednak przywoławszy mnie do łóżka i postawiwszy na mnie oczy słupem, krzyknął — Słuchaj babo! (choć Jegomość dobrodziej widzisz sam, że ja jeszcze nie baba) słuchaj, babo! ty pójdziesz zaraz zamaż za tego *jura*, któremu że do reszty kości nie połamam, wielce żałuję, i pokrzywdzisz biedną Teresię, (co to do jego należało?) ale pamiętaj, że na pierwszym nowiu po waszym szluby ja zostanę upiorem, przyjdę do was o północy i obójgu głowy poskręcę. — Czy to może być, mości dobrodzieju, gdyby on został upiorem? Jegomość taki lepiej o tem wiedzieć możesz. Czy upiory chodzą po świecie? Czy nie widział Jegomość dobrodziej choć raz upiora?

— Nie widziałem, dobrodziko! ale przecież ludzie powiadają, że to zdarza się. Jednakże bez woli Boskiej nic się nie stanie. Są sposoby w modlitwach za duszę.

— A są sposoby, przerwała mi imość mowę; wiem i ja o tem, mój dobrodzieju! i pan vice-regent powiada, że trzeba tak zrobić, żeby kochaninki leżał sobie spokojnie w ziemi, i nie hajdamaczył tak po śmierci, jak za życia. Trzeba odkopać trupa, uciąć jemu głowę rydłem i położyć w nogach, żeby rękami nie mógł dostać. To

będzie mocował się, mocował się, silił się, ale jak nie dostanie rękami głowy, to i nie wstanie. A jeżeliby dostał, to weźmie głowę pod pachę i pomaszkuje. Już ja raz tak jego i śniłam z oczami wytrzeszczonemi z pod pachy. Mogiła wiadoma. Więc jak jegomość dobrodziej radzisz?

—Ja dobrodziejce zupełnie inny poradzę sposób, i pewnie skuteczniejszy.

—Słucham, mój dobrodzieju, słucham.

—Oto, daj naprzód dobrodziko na msze święte, na exekwie, i na ubogich za jego duszę; a ponieważ przed śmiercią on sam powiedział, że wtenczas zostanie upiorem, gdy Imość przez nowe z jurystą poszlubienie się ukrzywdzisz córkę, to radzę jak najprędzej ją za mąż wydać i regularnie wyposażyć.

—A co to księdzu kwestarzowi do tego? Waspan dobrodziej, jako osoba duchowna, nie powinienś w to mieszać się, co do jego nie należy.

Otoż i po moich baranach, pomyślałem.

—Ja-bo tylko chciałbym ochronić dobrodzikę, aby pan porucznik na pierwszym nowiu z pod pachy na nią nie spojrzeł.

—Już my sobie damy rady bez Jegomościa, a exorcistów nie potrzebujemy.

Rozsierdziła się babuła, i uciekłaby pewnie ode

mnie, gdyby mogła powstać, ale zaprobowałszy
razy kilka, osiadła znowu.

—Wiesz co? dobrodziko! rzekłem, zapijem tę
sprawę!

—Niechaj sobie i tak.— Udobruchała się wnet
i wychyliła do kropki kieliszek.— Niechaj sobie i
tak! A do tego widzisz wasan dobrodziej, że pan
vice-regent, to mądra głowa; on wszystkie statu-
ta na palcach liczy, a powiada, że niedawno po-
stanowiła Rzeczpospolita takie prawo; że kiedy
gdzie jest matka i córka, a obiedwie chcą iść za-
mąż, to córka nie może wyjść pierwiej od matki,
i musi czekać, aż póki matka nie wyjdzie.

Stojąca córeczka za krzesłem matuli, mknęła
z cicha —Oho! ho!

—Co to waspanna mikasz? krzyknęła imość,
co to waspanna mikasz? Mikaj waspanna nie mi-
kaj, tak będzie, jak Rzeczpospolita przykazała.
Co to? bunty?...

—No, dobrodziko, ja nie prawnik; ze mną rzecz
o barany; do tego więc przystąpmy. Za trzech
mężów, trzech baranów, a na sukces z czwar-
tym, czwartego.

—Na sukces z czwartym!... at niechaj sobie!
Coś mnie trochę słabo.... kołtun ten przekłety....

Ostatni kieliszek dogodził widać dobrodzice, bo
drzémać zaczęła.

—Koltun ten przeklęty.... i głowę i nogi odbiera, i tak coś morzy.... morzy.... Na sukces z czwartym.... czwartego.... panna Teresa.... i Rzeczpospolita.... Upiorem zostanie....

Bredząc tak i mrucząc baba, założyła ręce na stole, opuściła głowę na ręce i zachrapała jak w trąbę. A panna Teresa, podziękowawszy mnie za dobre serce i prosząc o modlitewkę na jej intencję, czterech baranów wydać kazała.

—No, rzekł stary Marcin, gdyśmy za bramę wyjechali, daj Boże po wiek mieć do czynienia ze staremi wdowami.— A gdy mu rozpowiadać zaczął całą historję tej kwesty —Wiem o wszystkim, przerwał mi, i więcej wiem, niżeli Jegość i niżeli sama pani, bo ona tego nie wie, że palestrancik, którego ona dla siebie kaptuje, jutro, gdy ona zaśnie po obiedzie, wywiezie panienkę i szlub z nią weźmie. Już ma indult gotowy, i wszyscy we dworze wiedzą o tem, ale nikt jej tego nie powie, bo nienawidzą baby. Góra z górą nie zejdzie się, a człowiek z człowiekiem zejdzie się; otoż i ja znalazłem tu ochmistrzynię, dawną moje kumę, która wszystko mnie to powiedziała i króbkę naszą podróżną napakowała wiedlinką.



u Pana Starosty.
U P A N A S T A R O S T Y.

XVIII.

W PÓŻNY wieczór przywlekliśmy się do dworu pana starosty, i lubo z pałacowych okien świeciło jeszcze jak z kościoła, wolałem jednak zająć na noc do ekonomii, a nazajutrz rano pokłonić panu.

Obaczmy jutro, pomyślałem sobie, jaka to komparacya między państwem pana starosty a państwem pana wojewody. Jakoż przenocowałem wygodnie u pana dyspozytora, który mnie przyjął pocziwie, a nawet i kordyalnie, gdy mu powiedziałem jeszcze, że przybywam na rozkaz starosty.

Nazajutrz rano, nim jeszcze w pałacu okienice otworzono, już ja ze dwie godziny *kwerendowałem* po całym dworze, przypatrując się wszystkiemu, nie w celu, broń Boże, jakiegokolwiek cenzury, ale że to odezwało się w człowieku życie nie-

dawne dworskie. Bo to nie tak łatwo, jak się komu zdawać może, wyrugować z głowy dawne nałogi i obyczaje. Za każdą okazją odnawia się pokusa, jak recydywa po chorobie, przeciw której jedyna *salva* w łasce Boskiej, utwierdzającej człowieka w dobrém postanowieniu. To też, Bogu dzięki, nie na długo mnie zachwyciła ta chętka, a ciekawość bez złych myśli i zamiarów nie jest, zdaje mi się, grzechem, tém bardziej, że we dworze tym zbudować się, i za każdym krokiem za dobry przykład Bogu dziękować trzeba było.

Ludzi tu jak mrówia, ale wszędzie ład, dostatek, wygoda. U pana wojewody szumno, huczno, bunczuczno, po pańsku nawet, bo hojnie i wspaniale, ale we dworze rygor i nie zawsze ład i spokojność. Tu wszystko jak w zegarku, każdy swego pilnuje z ochoty nie z bojaźni, u każdego na twarzy wesołość, zgoda między wszystkimi; a u nas bywało na dworze pana wojewody, ja marszałek musiałem codziennie rano rozsądzać nocne sprawy liberyi, i boćkowskim hamować procedera.

To, pomyślałem sobie, dom staropolskiej cnoty i poczciwości. — A tu kto mieszka? — pytałem się stojąc przy stajni u masztalerza, wskazując na jedną oficynę.

— Tu sami gracyaliści pańscy, starzy słudzy,

albo i nie służy; ot byle biedny a pocziwy, to i ma chleb.

—A w téj drugiej oficynie?

—Oho! tam panowie rezydenci godnej kondycji; oni zawsze na pokojach pańskich, i do pańskiego stołu siadają, i koniki swoje pańskim obrokiem karmią. Są tam jeszcze pokoje gościnne, nigdy chwała Bogu, nie próżne.

—A w téj trzeciej, najdłuższej?

—A w téj trzeciej, to grunt. Widzisz Jegomość, że już z komina się kurzy. Tam mieszka nasz pan marszałek i nasz chlebowodawca pan szafarz; tam kuchnia i służba wszelka pokojowa, tam i kapelia. My stajenni mamy masztarnię. A w czwartej oficynie téj najbliższej od pałacu, bo już pewnie Jegomość zapytasz, same babstwo, Panie odpuść ciężkie grzechy, faworyty imościne, stare szkulepy. Jak zacznem w niedzielę wozić je do kościoła, to i koni nie staje. Nic nie robią, tylko z księdzem kapelanem, który mieszka w pałacu, do różańca i godzinek stają codzien w kaplicy, regularnie z okularami na nosach. Są tam i młode; uczą się czegoś, kto ich tam wie?

—A może Jegomość dobrodziej naszą stajnię opatrzy? Ale oto i pan na ganku.

—*Hospes venit, CHRYSUS venit!* wykrzyknął pan starosta, postrzegłszy mnie podchodzącego do ganku. Dziękuję wam, księżo kwestarzu, żeś moję obligacyę tak rychło i ochoczo spełnił.

Sentencyę na sentencyę odkładając, rzekłem: —*Hospes non invitatus recedit, saepe ingratus;* lecz ja, stawając tu na rozkazy JW. pana, mam nadzieję i łaskawego przyjęcia.

—Brawo! erudyty! Marszałka do mnie! a gdy ten wnet się okazał, mamy gościa, rzekł doń starosta, którego sam wczora zaprosiłem. Do południa jestem zatrudniony, proszę więc tymczasem księdza kwestarza ugościć i zabawić; a na obiady zapraszam go do siebie.

—Co dwór to marszałek, a wszyscy jednego kroju: każdy powinien mieć głowę nie dla proporcji, nosić się nietylko chędogo, ale i z pańska, dla honoru pryncypała swojego, być rezolutnym, ale razem poważnym i statystą, a nie fircykiem ani świszczypałą, nie dać się skonfundować nikomu, mieć animusz i figurę, ale też znać się dobrze *cui quod debet*, na *preeminencyach*, *stallach* i urzędach, aby, gdy u obiadu pańskiego z łaską chodzisz koło stołu, hajduk nie podał półmiska pierwój panu skarbnikowi, niżeli panu stolnikowi lub wojskiemu, bo za taki *feller* i miejsce i konsyderaacyą utracić można na zawsze. Umiąłem ja to

wszystko.... ale cóż? *Sic fata tulerunt!* to jest, *dziej się wola Boska!*

Pan marszałek dworu pana starosty, ma, zdaje mi się, wszystkie takowe *kwalifikacye* i jest *peritus rei* w swoich *officyach*; posłał zaraz do pałacu po kawę dla mnie, dla siebie i dla panów rezydentów, których dwóch przyszło doń na śniadanie.

Jeden młodzieniaszek, widać niedawno z pod *feruły preceptor skięj*, bo nieśmiały i nie nabrał jeszcze dworskiego *szyrmu* ani *lustru*; ale drugi całą gębą *homo*, bo i *persona* i *eloquentia* i krotofilność subtelna, właśnie jak potrzeba do ozdoby dworu wielkiego pana. Z panem marszałkiem w dobrej widać żyją komitywie. Żartowali z siebie wzajemnie, jeden drugiemu czyniąc *alluzye* do dworskich panien, a obadwa biednemu podstolicowi o *inklinacyę* jego do panny horodniczanki, *favoryty* i wychowanki pani starościny.

Czerwienił się biedny chłopak, ale widać trafili mu w sedno, bo nie umiał im odciąć się.

—Dziecko-bo jesteś, mój kochany podstolicu, mówił starszy pan rezydent, chorąży z tytułu; męczysz się codzien i suszysz sobie głowę, smażąc do niej wierszami jakieś *fabuły*, jakieś *dyalogi*, w których, wszystkich bożków pogańskich wzywasz na sukurs, w których co słowo, to *Cerery*

i *Wenery* i wszystkie *olimpijskie dziardyny* stawiasz w paradę. To bardzo pięknie i rozumnie; widać, żeś niedawno poezymę przeszedł; ale cóż, kiedy piękna *Franusia* o Bożym świecie tego nie rozumie? A kiedy jesteś razem z nią na pokojach, to stoisz z daleka, jakbyś trzech zliczyć nie umiał; w tańcu z nią, to jakby ci kto ołowiu do kieszeni nakładł. Idziemy całym dworem na spacer, znowu toż samo: panienki śpiewają, biegają, swawolą, ja starszy a pomagam im i śpiewać i biegać, a wasan, *Jezu mój Panie!* idziesz wyprostowany i zamyślony, jak pan dyrektor za żakami, a zachmurzony i krzywy poglądasz na *Franusię*, jak na kwaśne jabłko; a to słodzińka gruszciczka, mój podstolicu! Przecieżeś chłopiec jak malina. Kiedy cię widzę na polowaniu rzeźwym i ochoczym, harcującego na koniu, a wesołość i swoboda z oczu ci pryska, to aż miło drugiemu! Czemuż tak nie polujesz i na serduszek horodniczanki? Wyskocz! doskocz! raptem do niej! i twoja będzie. Nie prawdaż? panie *Sebastyanie!* rzekł do marszałka. Tak po naszymu!

—Bywało— odpowiedział kłaniając się marszałek. —Wiele masz lat? panie chorąży!

—*Inutilis quaestio solvitur silentio!* — odpowiedział ten kłaniając się wzajemnie, i obadwa

rozśmieli się, a ja z niemi trzeci. Pan podstolic tylko spokojnie popijał kawkę.

—Cóż? szanowny nasz gościu! odezwał się znowu do mnie pan chorąży, wieleż już nazbierałeś baranów?

—Będzie z tuzin, licząc z tym, którego dobrodziej darujesz.

—Brawo! po kwestarsku! Ale ja gospodarki nie mam; wszakże baran a talar, to na jedno wychodzi, tego więc chętnie ci ofiaruję. Za moim przykładem ręczę, że wszyscy nasi dworscy pójdą, nie licząc kontrybucyi, którą ci nasz babski regiment z tamtej oficyny złoży. Nie mówię o JW. staroście. Opowiadał on nam wczora twoję dowcipną *dividendę* jarząbków, i hojnie cię zapewne obdarzy. Zabawisz tu z nami, księżę kwestarzu, dni kilka, bo cię starosta nie wypuści. Chwała Bogu u nas jak w raju; nie zatęsknisz ani po swojej celi, ani po nabożeństwie; kaplica w ogrodzie, codzień msza święta, na którą oto i dzwonią.

—A więc pójdziemy, rzekłem; może jeszcze trafię posłużyć księdzu kapelanowi— i trafiliśmy wcześniej.

Na podziękowanie Bogu za szczęśliwie odbytą podróż państwa, msza śpiewana odprawiać się miała, więc i kapelia była na chorze: bo to nie kaplica, ale kościółek prawdziwy, murowany, pię-

kny, ozdobny, a ludu jak w niedzielę w jakiej parafii. Prawdę mówił masztalerz: kilka babulek okularowych, każda własnym dyszkantem ciągnęła *Zdrowaś Marya*. Kiedy to ja huknę *insperate* za niemi basem po bernardyńsku, aż przychyliły się babulki w ławkach i obróciły na mnie zdziwione okulary, a wszyscy uśmiechali się potrosze.

Skończyliśmy różaniec, zadzwoniono raz drugi; weszli państwo z dziećmi do kościoła i zasiedli ławkę w *prezbiterium*. Ubrałem w zakrystyi księdza kapelana, który mnie na zaznajomienie się pobłogosławił, i wyszedł ze mszą, a ja z jednym *gracyalistą* za *serwitorów*.

Daj Boże na najdłuższy wiek pobożnym państwu, a na zasługę u pana Boga wszystkim, jako się pięknie i przykładowie odbyło nabożeństwo. Po supplikacyi, do patyny przystąpili naprzód JWW. starostowie oboje, przy nich dzieci, a potem cały dwór, jak kto docisnął się. Natenczas postrzegłem jakąś figurę *generis masculini*, stojącą przy ławkach pańskich, po niemiecku ubraną, twarzy chudej i żółtej, z głową pudrowaną, z włosami w tył zebranymi, z harcapikiem na potylicy, w trzewikach i pończochach, a z kapeluszykiem składanym pod pachą. Z oczu biegających na wszystkie strony, coś mu kociego czy szatańskiego wyglądało, do czego i ubiór jego wielce się akko-

modował. Pomyślałem, że to musi być doktor niemiecki, a jak zwyczajnie Niemiec, widać że luter, dla tego J. ks. *celebrant* nie dał mu patyny, i on sam nie cisnął się do niej. Pokręciłem głową, myśląc, po co on tutaj?

Po nabożeństwie starościna powitała mnie łaskawie, i panięta mile się ukloniły, a Niemiec zmarszczył się; ale i ja na niego spojrzałem tak, że mu aż w pięty pójść musiało, i poszedłem za księdzem kapelanem, który mię do siebie zaprosił.

U księdza kapelana także jak w kaplicy: relikwiarzami całe ściany zawieszono, a przy każdym kwiaty bardzo misternej roboty, rąk, jak mi powiadał ksiądz kapelan, fraucymeru pani starościnej. Pokoiki dwa małe na skrzydle pałacowem, a w nich czysto i cicho, jak w celi.

Gdy on się posilał śniadaniem, ja rozpatrywałem się w tych wszystkich świętościach; ale że mnie ten Niemiec wbił się w głowę, więc zapytałem:

—Dla czego, *reverendissime*, nie dałeś patyny temu Niemcowi, który stał przy ławce starościńskiej? Musi on być jakiś szołdra dyssydent, a zapewne doktor nadworny tutejszy?

—Oj, ani luter, ani kalwin, ale gorszy od nich

wszystkich, odpowiedział ksiądz Joachim, bo to przeklęty heretyk, bezbożnik, ateusz, farmazon bodaj, a chrzci siebie filozofem i bardzo mądrym człowiekiem. To nie Niemiec, ale Francuz, i nie doktor wcale; mamy tu doktora pocziwego Węgra; a ten bezbożnik nie leczy, ale truje, i to nie ciało, ale duszę! a co najgorzej, młode i niewinne dusze, dzieci pańskie! bo to jest *per modum* nauczyciel ich do języka francuzkiego.

—A dla czegoż, *reverendissime*, nie ostrzeżesz tych zacnych i pobożnych państwa o takich bezbożnych jego i szkaradnych naukach? Nacóż go wpuszczacie do domu Bożego.

—Czyż rozumiesz, kochany księże kwestarzu, że ja obojętnie patrzę na to zgorszenie? Fulminuję, upominam, błagam oboje państwo i zaklinam na zbawienie duszy, aby tego niegodnego człowieka oddalili od dziatek swoich; ale na nieszczęście, bies ma swoich na tym świecie apostołów, a temi są ludzie zgorszenie czyniący, pełni szatańskiej przewrotności i światowego rozumu, przez który bałamuca pocziwe i łatwowierne głowy.

Oh! takich już wielu jest w naszym kraju. Wyrzutki z własnego, znajdują u nas, szczególnie w domach pańskich, nie tylko przytułek i wygodę, ale nawet i konsyderację wyższą od naszych własnych, mądrych i uczonych a bogobojnych mę-

zów, na których, chwała Bogu, krajowi naszemu nie zbywa.

—Bóg gdy chce kogo ukarać, to rozum odbierze— powiada dawne przysłowie, otoż i my spodziewamy się kary Bożej, bo nam Bóg własny staroświecki pocziwy rozum odebrał, a przypuścił na nas wiarę w mowę i rozum francuzki terażniejszy, bo dawniejszy rozum i francuzki nie był takim. Terażniejszy bezbożny, niecnotliwy, niechrześcijański, pragnący wywrócić wiarę świętą, obyczaje, zwyczaje, i wszystko, co dotąd ludzie czcili i szanowali. I to jest dzisiejsza filozofia z piekła rodem, która się u nas z językiem francuzkim, z ludźmi francuzkimi, a najbardziej z książkami francuzkimi rozszerzać poczyną, między panami naszymi najpierw, a przejdzie potem i do małpującej ich szlachty.

Na wielkim świecie, w Warszawie naprzykład, ani stąpić bez francuzczyzny; sam tego byłem świadkiem, gdyśmy tam przeszłego roku byli. Ztamtąd właśnie przywieźliśmy i tego filozofa; ale zażyłem go tu nieźle!

Po długich jegomościa rozmowach, po sprzeczkach ze starostą i z samą panią, którzy umieją po francuzku, którzy, jako pobożni katolicy, nie mogli słuchać spokojnie jego bluźnierstwa, a przez delikatność i respekt dla takiego mędrca zawiazać

mu gęby nie śmieli, po nieuważnem jego znajdowaniu się w kościele i innych okolicznościach, wieząc zwłaszcza o powszechnym duchu jego braci, poznałem co się święci. A więc wezwawszy Ducha św. na pomoc, który od razu nauczył apostołów wszystkich języków, wziąłem się, nie nikomu nie mówiąc, i owszem tając się z mojem postanowieniem do francuzczyzny.

Umiejąc dobrze po łacinie, nie tak bardzo i trudno mi przychodziło. Znalazłem dykcyonarze i książki w bibliotece tutejszej pańskiej, przysłuchiwałem się niby to od niechcienia lekcjom jego samego dzieciom dawanym, a nocami i rankami pracowałem bez ustanku; tak za trzy miesiące rozumiałem cały skład języka tego i mowę filozofa; milczałem jednak, czekając pory, a doskonaląc się codziennie, i rozmawiając nawet sam z sobą.

Jednego razu u obiadu, przy wielu gościach, rozperorował się francuzisko w swojej ulubionej materyi, jak on nazywa, filozoficznej. Wielu było panów umiejących po francuzku, a przysłuchujących się pilnie jego zuchwałym *exklamacyom*. Dowodził, że duchowienstwo jest ciężarem niepotrzebnym dla kraju, bo wszyscy księża próżniacy.

—Kłamiesz! bezczelnie kłamiesz! odezwałem się. Ciężarem dla naszego kraju są włóczęgi, którzy we własnym nie umiejąc na chleb zarabiać,

nasz zjadać przychodzą, i za ten chleb nasz przynoszą nam zepsucie i potępienie!

Nie umiem opowiedzieć jegomościu zdumienia powszechnego, samegoż francuza, moich państwa i całej kompanii. Francuz oniemiał, patrzył na mnie osłupiałym wzrokiem, jak złodziej na uczynku złapany, nakoniec pan starosta rzekł — Książę Joachimie! czy cię Duch święty darem języków nawiedził? Co to się ma znaczyć? Od lat pięciu mieszkamy razem. Czyś swoje naukę ukrywał? i dla czego?

—Nie tałem się z nauką JW. panie, odpowiedziałem, bom jej nie miał, ale w rzeczy samej wezwałem pomocy Ducha świętego, abym się mógł nauczyć języka, w którym ten fałszywy filozof rozpowiada bluźnierstwa.

Trzy miesiące temu, jakem i słowa nie rozumiał po francuzku; dziś oto rozumiem, i mogę śledzić tego węża kusiciela, starć mu głowę jego własnym orężem, a zasłonić przynajmniej dziatki pańskie od zarazy i zepsucia.

Powszechny dano mi *applauz*. Starosta wstał od stołu i uścisnął mnie. *Konfuzya* francuza była wielka, i tem większa, gdy mu opowiedział, jakim sposobem i w jakim celu nauczyłem się po francuzku, a oraz gdy pan starosta dodał — Od-tąd ksiądz Joachim będzie obecnym każdej lekcyi,

bo nie chcę moich dzieci na niedowiarków spsobić.

Skromniejszym więc jest teraz, i w obecności mojej cyt! książki tylko swoje przede mną zamyka, ale i do tych dobiore się kiedyś.

Przy tém rozpowiadaniu przypomniałem sobie słowa mojego księdza gwardyana, które mi na wyjeździe w tej materji powiedział, powtórzyłem je księdzu kapelanowi.

—Tak, tak, rzekł on, miał rację twój ksiądz gwardyan; widać, że to jest mądry i przenikliwy kapłan. Jest *zło* między nami, jest! Waszeć tu jedną tylko małą widzisz próbkę, ale *non derogando* twemu rozumowi, nie kwestarskim rozmysłem ani kwestarzowi zdarzyć się mogą zrzeczności dójść tego i pojąć, jak *ono* obejmuje najpięrsze w kraju naszym głowy, jak ostudza gorliwość kapłanów nawet, jak z chciwością chwytają dziś książki francuzkie, napojone jadem niedowiarstwa, i naczytawszy się ich, żartują ze wszystkiego co dotąd jest u nas świętém i nietykalném. O biada, biada krajowi, w którym tak się dzieje, jak w naszym! upadnie on, niezawodnie upadnie, bo go odstąpi opieka Boska, gdy bojaźń Boska odstępuje; mamy jeszcze zapas cnót domowych, ale i te wygasają powoli, a natomiast szerzy się bezwstydną rozwiązłość i samolubstwo: lecim więc

na oślep do upadku doczesnego i do zguby wiecznej.

—Dla Boga! rzekłem, ratujcież ichmość teologowie, ratujcie!

—A cóż mogą nasze poziome rozумы i sposoby przeciw woli Boskiej? Za nasze to grzechy karze nas Bóg i przypuszcza obłąkanie. Ale czyż rozumiesz, że dla tego wiara nasza święta chrześcijańska upadnie? O, nie, wcale nie! bramy piekielne nie poruszają jęj! gdy się zdaje chwiać, to się tylko mocuje!...

Ksiądz kapelan porzucił śniadanie i szerokim krokiem przechadzał się po pokoju, a oczy mu ogniem pałały; wiele jeszcze w tym sensie napowiadał mi *sentencyów*; któż je spamięta? słuchałem go, jakby kaznodzieję na ambonie, i tak przeszedł nam czas aż do obiadu, przed którym wyszliśmy trochę do ogrodu, a potem na ganek.

Odjeżdżał właśnie do stajni wózek saski zielony, parą końmi zaprzężony, a gość na nim przybyły już był w pokoju. Poznał ks. kapelan powóz, i powiedział mi, że to przyjechał pan *Kwetko*, mecenas trybunalski a plenipotent starosty w jego procedurach, którychby nie było, gdyby on starosty nie podwodził do kłótni.

Weszliśmy więc do sali, gdzie już pan marszałek około nakrytego stołu uwijał się, do którego za wejściem państwa z dziećmi i panem filozofem za niemi, po benedykcyi, zasiedliśmy.

— To tedy jesteśmy *jure victi*, panie budownicz! — odezwał się starosta do pana Kwetki.

— Niezupełnie, odpowiedział on, niezupełnie, bo *remissa* nie znaczy przegraną. Rozumiałem ja wprawdzie, że od razu w trybunale pokonamy szlachcica; ale co się przewlecze, to nie uciecze, a tymczasem *beatus qui tenet!* więc niech szlachcic prawuje się, a wioseczka przy nas!

— Nie *beatus*, ale *maledictus qui tenet injuste!* — odezwał się ksiądz kapelan.

— Nie wdawaj się w nieswoje, księżu teologu, odezwał się pan Kwetko. *Teologia* i *jurisprudencia*, to dwie osobne *sciencye*, które trudno czasem pogodzić.

— A wszelak, odezwał się starosta, ja jestem zdania księdza Joachima, i dla tego niżeli nawo w subseliach prawować się rozpoczniemy, poradzić się muszę przyjaciół, i prosić o prawdę, choćby nie po mojej stronie, a potem wolę oddać wioskę memu *adwersarzowi*, jeżeli ona mu słusznie należy.

Ale o tém potem, a teraz, księżu kwestarzu,

ponieważ twój *dywidendy* tu potrzebować nie będziemy przy obfitości darów Bożych, więc twojego dowcipu i wesołości pragniemy, którą, panie marszałku, podbudź lampeczką.

Sadzając mnie jeszcze do obiadu pan marszałek, pokazał miejsce samo jedne na samym końcu stołu długiego naprzeciw pani starościnej, która także sama jedna najpierwsze miejsce zasiadała.

— Tu, rzekł, *miejsce kwestarza*, a to twoja *porcyja* — dodał, wskazując na sporą lampeczkę.

— *Deo gratias!* — odpowiedziałem, i rozsia-
dłem się wygodnie, a poznałem, że marszałek, zna swoje rzemiosło, bo gdyby mnie gdzie indziej posadził, chybiłby zwyczajnej reguły.

Nalał mi więc wina, które z zapachu i smaku na wojewodziński *chleb powszedni* zakrawało; smakując zatem powoli, odpowiedziałem staroście:

— Na dworze JW pana tak wszyscy z łaski pańskiej weseli i szczęśliwi, że obejdzie się bez mojego mizernego dowcipu, którego nie miałem jeszcze zręczności i *wyexercytować*, bo pierwszy raz jestem kwestarem, a bardzo niedawno w zakonie.

— To źle, odezwał się pan Kwetko. Kwestarz powinien być *jowialista* i *konceptista*; takimi są *praeter propter* wszyscy koczujący *fratres* jegomości; a jeżeli jegomościu na tém brak, to

przyjeżdżaj do nas na trybunał, ale miej z sobą kalitę talarów: bo u nas na ustępie, kiedy Najjaśniejszy trybunał w namowie, to prześwietna palestra odbywa wojnę na języki, a za każdy dobry koncept lub zart z kolegi, płaci przegrany po dwa złote do puli, za którą potem śniadanie dla wszystkich (*). Otoż małym kosztem nauczysz się u nas rozumu.

— Taniż to rozum, rzekłem, którego za dwa złote można się nauczyć; gdyby tylko nie był on tyle wart, co i tanie mięso?

— A czy nie warta i ta odpowiedź dwa złote? panie budowniczy! rzekł starosta. I ostrzegam, nie zaczepiaj skromnego na pozór kwestarza, bo przegrać możesz sowiciej jak w ustępnej.

Ale zaufany w swojej mądrości pan budowniczy kiwnął głową, i po chwili milczenia, zapytał mnie:

— Jak to, mój dobrodzieju, nazywają po klasztorach braci młodych niemshalnych; posługaczów, *et id genus*, którym jednakowo głowy już wygolono?

Nie mogłem domyślić się, o co idzie panu budowniczemu. — Nie wiem, rzekłem, żadnego oso-

(*) Zwyczaj to był dawniej palestry trybunalskiej, i wiele ztąd zostało anegdot, krążących dziś pomiędzy nami, a przyswajanych częstokroć niesłusznie. — *N. w.*

bnego nazwania. Pospolicie zowią nas podług *officyów*, do jakich kto przeznaczony: *brat kwe-starz*, *brat serwitor*, *brat zakrystyan* i tym podobnie.

— Nie, nie; jest jeszcze osobna a ogólna *denominacya* dla wszystkich takich braci.

— Nie wiem, dobrodzieju! — rzekłem, a już przewidywałem, że mnie zatnie, tylko nie wiedziałem jak?

— Oj, wiesz, wiesz, tylko powiedzieć nie chcesz, bo nie podobna, abyś w klasztorze ze zwyczajnem swoim imieniem nie spotkał się.

— Nie rozumiem jegomością, a kłamać nie umiem.

— No to więc powiem już, kiedyś tak uparty. Każdy taki brat zowie się *pałkuć*, od głowy wygolonej jak pałka. A co? nie prawdaż?

— Prawda, rzekłem, tylko że to nazwanie nie w klasztorze, ale za klasztorem częstokroć słyszeć się daje.

— Ale kiedy jegomość tak biegły w *denominacyach*, to powiedz nam z łaski swojej, jak to w prześwieatnej palestrze nazywają patrona, który sprawy przegrywa, tak, jak naprzykład dobrodziej sprawę JW. starosty? Jest i dla takich osobna a ogólna *denominacya*, z którą się nieraz pewnie zdarzyło jegomościu spotkać.

— Zdarza się wygrywać i przegrywać sprawy — rzekł zbity od razu z humoru pan budowniczy, na którego teraz wszyscy oczy obrócili, przewidując, że mu oddam za swoje; ale to wcale opinii nie dotyka i żadnego przezwiska nie nadaje.

— Oj, nadaje, dobrodzieju, nadaje, tylko jegomość nie chcesz onego wymówić, bo trochę za twarde.

— Więc już sam, ks. kwestarzu, powiedz nam to zakłète słowo, którego pan budowniczy wymówić nie chce — rzekł śmiejąc się pan starosta.

— E, da się uprosić, rzekłem; mój przydomek pamiętał, jakżeby własnego zapomniał? Pomyśl tylko, dobrodzieju!

— Ale powiadam, że nie wiem.

— Na, to cóż już robić? to ja muszę jegomościu przypomnieć. Takiego tedy jurystę, który sprawy przegrywa, nazywają *kauzyperdą*, mości dobrodzieju! To z łacińskiego, jak pewnie dobrodziej rozumiesz, *perdere causam*. I téj wielmożności *kauzyperdy* jegomościu winszuję — dodałem powstawszy i kłaniając się mu uniżenie.

Śmiech powszechny skonfundował do reszty pana budowniczego. — Płać dwa złote, płać! — wołał nań starosta.

— To więcej warto, odezwał się pan chorąży, bo ja w tém, że przydomek ten zostanie panu

Kwetce do śmierci. A za zuchwałość, z jaką wyzywał księdza kwestarza, *cum duplici* powinien zapłacić.

— Nie mam drobnych — odezwał się budowni-
czy, zdobywając się na humor.

— Dawaj całego talara, dobrodzieju! rzekłem;
poznawszy teraz *subjectum* pańskie, wola Pana
Boga! zdam resztę tąż samą monetą.

— Brawo! brawo! krzyknęli wszyscy. Już
kwita! Musi po obiedzie zapłacić. — A starosta
dodał — Mówiłem ci: nie zaczepiaj kwestarza.

Po obiedzie chciałem pożegnać starostę, ale
nie pozwolił mnie mówić o odjeździe. Pan Kwetko
volens nolens zapłacił mi talara, bo go chorąży
obsedował bez ustanku; i poszliśmy z ks. kapela-
nem do jego kwatery na zwyczajny *requies*.

Requies tedy trwał aż do nieszporniej godziny,
a potem pod *manudukeyą* kochanego chorążego,
poszedłem na kwestę po dworze. U babulek na-
podziw nam się udało; wprawdzie obdzieliłem je
sowito bernardynką, ale jak zaczął pan Atanazy
prawić do każdej dykteryjki i przypominać różne
intencye, tak wszystkie, to ze skrzyneczek, to
z pod poduszek, to z jakichciś węzełków, doby-
wały złotówki i koronczyki a mnie do rąk kładły.
Żaden też z dworskich nie puścił mnie bez jał-

mużny, tak, że spory mieszek się nappełnił, który chorąży talarem bitym przypieczętował.

Nazajutrz rano przywołał mnie starosta i rzekł, dając mi papier w rękę — Jeśli ci pilno, kochany ks. kwestarzu, to cię i nie zatrzymuję. Trzodkę twoję kazałem podwoić, a zatem idź do ekonomii. *Vale, Frater!* i póki będziesz kwestarzem, nie mijaj nas nigdy.

— A tobym, JWpanie, krzywdził nasz klasztor, gdybym minął tak dobroczynnego i wspaniałego dygnitarza. *Dat bene, dat multum, qui dat cum munere vultum*, (sentencya mi się dobrze przydała), a właśnie JWpan i hojną dajesz jałmużnę, i łaskawie przyjmujesz kwestarza. Niechże Bóg wszechmogący nagradza cnoty i hojność pańską, a błogostawi panu w dziatkach, wnukach i prawnukach.

Poszedłem zatem pożegnać księdza kapelana; tam przy kawie rozwinąłem papier przez pana starostę dany; znalazłem w nim assygnacyę do ekonomii, aby odesłano do klasztoru Nieświzkiego: „Żyta beczek pięć, N. 5. Słodu jęczmiennego na piwo beczek trzy, N. 3. i wołów karmnych dwa, N. 2., a to na jałmużnę ks. Ławrynowiczowi kwestarzowi klasztoru Nieświzkiego.

Chciałem biedz znowu do starosty a pokornie dziękować mu za takie dobrodziejstwa, ale zatrzymał mnie ks. Joachim.

— Nie idź, *charissime!* rzekł on. To nie cud, że pan tak możny, jak starosta, jest hojnym i wspaniałym; powiadam waści, że to nie cud: bo niemasz u nas panów skąpych na chwałę Bożą, i tym przynajmniej okupują oni swe grzechy marnotrawstwa i zbytków. Starosta zwłaszcza jest nad innych dobroczynny i wspaniały, i nie dla próżności tylko lub chluby, ale z prawdziwej chrześcijańskiej miłości bliźniego. Cnoty te jego i sentymenta rozpościerają się na cały jego dwór, jak o tém przekonać się mogłeś.

Sama też pani pobożna i dobroczynna matrona, prawdziwa matka biednych, jak przystało na wielką panią. Wieleż to przez moje ręce przechodzi jej darów do kościołów i do szpitalów! a do tego wieleż to u nas jest i panien i dziatwy, staruszków i staruszek, i tu i po folwarkach, których ona karmi, hoduje, młode zamaż wydaje i wyposaża, a starym do śmierci chleb i kąt ciepły zapewnia! Miło, prawdziwie miło patrzeć na takie użycie dóbr, na takie nasze starodawne cnoty, które bodajby się w potomkach odrodziły. Ale, niestety! i tu nam francuzczyzna broi. Widziałem w Warszawie przykłady, że pan z dawnego imienia i możny z dóbr, powróciwszy z wojażu, przywiozł z sobą *kamerdynera* francuza, odprawił cały swój dwór i braci szlachty, którzy u jego

ojca i dziada chleb mieli, a służyli im wiernie; a samotny z nowym sługą i konsyliarzem nowej mody, oddawał się cichemu próżnowaniu lub skrytej rozpuście.

— Musiałeś, dobrodzieju, przerwałem, być kaznodzieją.

Uśmiechnął się ks. Joachim, rad widać memu domysłowi. — No, rzekł, dość tego. Musisz, *charrissime*, jeszcze jedną odbyć kwestę. Chodź ze mną do paniat. Starościna kazała, abym cię do nich zaprowadził, bo prosiły u matki pozwolenia obdarzenia cię także. Niewinne i anielskie serca, kiedy ich ten zły duch nie zepsuje.

Jakoż poszliśmy do pokoju panicza, gdzie znajdował się i pan filozof, a nawet przybiegła i pannenka, a za nią dziewczyna z węzełkiem.

— Mama, mówił ten aniołek, ofiaruje ks. kwestarzowi do kościoła Nieświzkiego całe ubranie na mszę świętą, a ja od siebie ten relikwiarzyk, i proszę modlić się za zdrowie mamy i papy.

— I ja na tę samą intencją ofiaruję wiele mam — rzekł chłopczyk i podał mi dukata.

Odbierając to wszystko i dziękując dziatkom, aż łzy mi w oczach stanęły, i księdzu kapelanowi także. A wtém francuz, uśmiechając się ironicznie, dobył ze stolika kilka złotych i niedbale mi podawał.

Patrząc na jego faryzeuszowską minę i postać judaszową, krew we mnie zawrzała; umknąłem rękę, i jakby mi kto podszeptał, palnąłem mu z Wirgiliusza:

— *Timeo Danaos et dona ferentes.*

— *Kes? kes? kes?* — zaszwargotał on, obracając się do księdza kapelana.

— On po łacinie nie umie — rzekł ten śmiejąc się.

— A więc wytłómacz mu, *reverendissime*, na-przód moje podziwienie, że taki mędrzec po łacinie nie umie, a potem powiedz mu, że to, com powiedział, znaczy:

Boję się darów z ręki nieczystej!

Francuz na to, uśmiechając się znowu, okazał mi swoje rączki wychuchane i białe, jak z wosku jarzącego.

A ja na to rzekłem, obligując zawsze ks. kapelana, aby mu wytłómaczył *peryodami*, że ręka nieczysta znaczy taką, która się nigdy krzyżem świętym nie żegna, ręka niedowiarka i ateusza, ręka, której pocziwy chrześcijanin dotykać się nie powinien, aby się bezbożnością, jak krostą nie zaraził.

Wytłómaczywszy mu moję *allokucyę verbum de verbo* ks. Joachim — brawo! — rzekł i uściśnął mnie w jego oczach. Francuz się uśmiechał

wprawdzie, jednak poczerwieniał i wyszedł do drugiego pokoju, dziatki nań z bojaźnią i podziwieniem obróciły oczki.

Pożegnałem ich nakoniec; uścisnąłem i pożegnałem ks. kapelana, i wszystkich a wszystkich, których napotykałem mieszkańców tego bogobojnego domu. Na dziedzińcu czatował na mnie marszałek i gwałtem zaciągnął do siebie. Tam znalazłem panów rezydentów i wielu innych dworskich, i uraczywszy się nie tylko wyborném śniadaniem, ale i trojniaczkim wysmienitym, po kordialném pożegnaniu, przyrzekłszy, że za drugim wyjazdem na kwestę znowu tu zawitam, poszedłem na ekonomię, niosąc pod pachą węzełek starościnej, a relikwiarzyk starościanki na piersiach.

— No, jedźmy, Marcinie! — rzekłem ujrzawszy go przed folwarkiem.

— A w jakież to ordery jegomość się ubrał? Podobno trochę zapruszył się jegomość? No, to nic nie szkodzi. Nieboszczyk ks. Jacek to i często bywało sobie podpije, ale wtenczas jeszcze gładziej do baranów domawia się. A to jakiś relikwiarz, nie order, chwała Bogu!

Wyłómaczyłem mu wszystko, rozwinąłem zawiniątko, i znalazłem piękny aparat na mszę, a jednak Marcin kiwał głową i nie cieszył się ze mną.

—A cóż u licha! rzekłem, czy i to jeszcze tobie zamało?

—A cóż to do jegomości należy zbierać ornaty i relikwiarze? Nie po to nas wysłali. Zakrystya nasza, chwała Bogu, nie uboga, a *dyspensa*, jak baranów nie zbierzem, będzie pusta.

—Alboż ci baranów nie wydano jeszcze?

—Ani jednego jagnięcia.

—No to pójdźmy do ekonomii.

Tam dopiero rozmarszczył łeb stary mruk, gdy posłyszał treść assygnaty i zapytanie pana *dyspozytora*, wiele mamy baranów? gdyż pan mu kazał dodać tyle drugie.

—Mamy dwadzieścia cztery sztuki—odpowiedział on.

—I dziesięciu jeszcze nie mamy—rzekłem.

—Ja mówiłem, że jegomość napruszył się, bo i lik stracił.

Uśmiechnął się pan podstarości.

—Niechże sobie będzie jakbyście mieli dziesięć, bo i sam widziałem, że więcej niema, drugi więc dziesiątek złaczy się wraz z waszemi, a zboże i woły jutro do Nieświeża wyprawię. Pan Marcin przypomniatł mnie o waszych zapasach podróżnych, napełniłem więc puzderko i krobę, a to, księżu kwestarzu, przyjm za jałmużnę ode mnie.

Napisałem listek do mojego księdza gwardyana,

oddałem apparata i relikwiarz dla odesłania razem ze zbożem, i na koniec wyjechałem z tego raj ziemskiego, żałując, że wąż kusiciela nie wypędził.



C A S U S F A T A L I S.

XIX.

Już ze trzy tygodnie włóczyłem się po świecie, i trzodka moja do kopy dochodziła, a chociaż nie zdarzyło mi się nic do zapisywania w moim raptularzu, jednak nie nudziłem się moją włóczęgą.

Jadę po kraju żyznym i wesołym. Chłopki na polach koszą sianko, albo żną żytko czy pszeniczkę: bo coś tego roku roboty gospodarskie zbiegły się. Jak odezwę się: *Boże dopomóż!* to odpowiadają mi rzeźwo i wdzięczną twarzą: *Na zdrowie jegomościu!* Czasami Marcin stanie na popaskę przy gromadzie żniwiarzy lub kościołów; natenczas radzi oni z tego bardzo, i my radzi; częstujemy się co Bóg dał nawzajem; a że z łaski rupliwości Marcina zapasy moje podróżne, a szczególnie puzderko zawsze pełne, więc za trakta-

ment podrzucają i sianka świeżego i snopków owsa moim baranom i koniom. A zatem idzie rozmowa prosta i nie mądra, ale szczerą i życzliwą. Czasami staniemy i przy dworném polu, to już tam pan ekonom réj wodzi. Chłopki natenczas nie tak śmiałe, ale przecież nie widziałem, chwała bądź Bogu, ani wielkiego rygoru, ani kańczukowania, ani przypędzanek. Ekonomy po większej części staruszkowie, a przynajmniej podżyli; nie jednego z koronką na szyi, trzepiącego różaniec postrzegłem, a szkaplerze na wszystkich piersiach, i nieraz sobie pomyślałem, że choćby zepsucie i niedowiarstwo objęło wszystkich wielkich panów, a nawet i mniejszych półpanków, nie dojdzie jednak do poczciwych chłopków i do drobnej braci szlachty, bo oni czytać nie umieją, a z ambony niedowiarstwa ogłaszać nikt nie będzie, a tak chwała Boska nie ustanie.

Otoż tak wlekąc się zawczora spokojnie i powoli, wypatrywaliśmy z Marcinem sposobnego miejsca na popas, i upatrzawszy przy drodze piękny gaik brzozowy, a za nim rzeczkę, zwłaszcza że słońce dopiekało, roztassowaliśmy się z naszym obozem, nie przewidując, że tu miał nas spotkać *casus fatalis*, który mnie omal wszystkich baranów nie pozabawił. Rozbiegły się one po gaiku i zaczęły skubać trawkę. Ja z Marcinem odprzęgliśmy konie i

nasypaliśmy im owsa na derbach; przekąsiwszy potem nieco i zdawszy wartę owiec na Marcina, rozciągnąłem się pod drzewem i zasnąłem.

Marcin łyknął bodaj zanadto z flaszki, i zdawszy wartę na Panfila, toż samo co i ja uczynił, a trzodka tymczasem przebiegła lasek, napiła się w rzeczulce, a obaczywszy za nią piękną osieliczkę i nie mogąc oprzeć się pokusie, przebrnęła rzeczkę....

Wielkie hałasy i krzyki przebudziły mnie. Zerwałem się z ziemi, a nie widząc baranów, krzyknąłem —Marcinie! a ty śpiochu przekłety! gdzie barany?

Porwał się Marcin, i oglądając się na wszystkie strony —Panfil! krzyknął, Panfil! a ty śpiochu przekłety! gdzie barany?

Panfil pobiegł tropem czy wiatrem i zaczął ujażdżać nad rzeczką, a Elias i Barabasz odezwali się do nas żałośnie. Więc przebiegliśmy także brzezinkę i ujrzelśmy na drugiej stronie rzeczki nasze owce i jakiegoś jegomościa w białej płóciennej kapocie, w szerokim słomianym kapeluszu, z wielkim kijem w rękę; komenderował on kilku chłopami, zapędzającymi naszą trzodę z łąki na drogę do blizkiego dworku, którego za brzezinką nie dostrzegłem.

—A to ty! popie! proszę uniżenie! wrzasnął

ujrzawszy mnie ten jegomość. A to ty? popie! przywędrowałeś tu spasać moje łąki! proszę uniżenie!

—Przepraszam dobrodzieja, przepraszam sto-krotnie i pokornie; winien jestem! *mea culpa*, dobrodzieju! Zasnąłem trochę, widzi jegomość; toż samo uczynił mój stary furman i mój stary pies, i nie pilnowali baranów.

—Piękna *komparacya*!— pomruknął Marcin.

—Ale jegomość nie każ tak pędzać owiec, bo jeszcze bardziej łąkę podepczą, a czasami wbiegną i do zboża; my zawołamy przewodyrów, to i powrócą na tę stronę.

—A cóż to myślisz? proszę uniżenie, że cię na sucho wypuszczę po takiej szkodzie? Grabię twoje owieczki i kwita!

Jakoż chłopcy jego pędzili nasze stadko ku dworowi.

—Jakto? mój dobrodzieju! Jegomość chyba żartujesz, albo chcesz mnie takim konceptem do siebie zawokować. Byłbym i sam zajechał, ale nie obaczyłem dworu pańskiego za brzezinką.

Tymczasem Marcin krzyknął razy kilka po swojemu. Elias i Barabasz, usłyszawszy głos jego, rzucili się ku nam, trzoda za niemi; chłopcy zabiegli im drogę, ale dostawszy tęgie *bukisz*, wyrócili koziołka. Jegomość stanął naprzeciw z ki-

jem, a Marcin przebrnął rzeczkę w sukurs naszym walecznym *prewodyrom*. *Panfil* wył i ujadł, barany beczeli, my krzyczeli, wcale jakby sprawa na dyferencyi, lub zajazd.

—A to jeszcze, popie, wodzisz z sobą dwóch rozbojników! pokaleczyli mnie chłopców! Wara! proszę uniżenie, stary grzybie! — wrzasnął na Marcina, który z biczem około chłopców zawijał się —wara! bo cię opłażę na wszystkie boki. Sto bizunów! proszę uniżenie.

Odwołałem Marcina; za nim Eliasza i Barabasza z kilką baranami przeskoczyli do nas, a resztę popędzono do dworu.

—Kiedy tak, to wołaż pana BOGA! Ten mnie nagrodzi, rzekłem podnosząc z piersi i całując krzyż. Pojadę nazad po moich dobrodziejach, opowiem im moję krzywdę; wspomogą mnie znowu, a klasztor z głodu nie umrze. Marcinie zaprzęgaj i zawracaj.

A jegomość zabieraj moje owce, ale pamiętaj, że pożałujesz tego: bo krzywda każda o pomstę BOGA woła, i sumienie własne spać ci nie da. Zechcesz może potem odpędzać własnymi nogami aż do klasztoru, ale już to będzie po czasie.... *Bo Bóg widzi— Czas ucieka— Śmierć goni— a wieczność czeka.*

—Cóż to? proszę uniżenie, przeklinasz mnie?

—A broń Boże! owszem, niech jegomości Pan Bóg nie pamięta! ja tylko ostrzegam.

—A z jakiego waszec konwentu?

—A na co dobrodziejowi wiadomość ta potrzebna?

—Na co potrzebna? proszę uniżenie! musi być potrzebna, kiedy się pytam.

—Daj mi już jegomość pokój, i bądź zdrow. Marcinie! dobądź puzderko; napijemy się na ten frasunek i powlecziemy się do łaskawszych, czy litościwszych ludzi.

Marcin podniósł flaszeczkę. —Do ciebie— rzekłem nalewając.

—A czemuż waszec do mnie nie przepijesz? proszę uniżenie. Interes interesem, a przyjaźń przyjaźnią.

—Jakto? zabrałeś mi barany i jeszcze mam cię częstować?... Ale, prawda, Bóg kazał przebaczać nieprzyjaciołom. W ręce więc pańskie.

—Dziękuję. Jakże to będzie przez rzeczkę? proszę uniżenie.

Marcin postawił kieliszek pełny na czapce i po-brnął w wodę.

A wtém ujrzałem wracające ze dworu moje barany; pędzili je też same chłopaki, a za niemi postrzegłem imość, i nawet po minie jegomościnej poznałem, że to żona jego, bo zupełnie opuścił

uszy, a wychyliwszy kieliszek — Pogodzimy się, księżę kwestarzu! proszę uniżenie.

— I ja widzę, że się pogodzimy, bo barany moje wracają z przybytkiem. Nie było czarnego, a teraz jest.

— Co waspanu stało się? mój jegomosteczek! odezwała się seryo nadchodząca pani.

— Moje serce... proszę uniżenie...

— Da daj waspan pokój, wiem o wszystkim. Proszę darować tę mitręgę, księżę kwestarzu dobrodzieju! Mój jegomostek często sam nie wie co robi. — Cobyś miał zaprosić do domu i obdarzyć, to grabisz i krzywdzisz. Zły duch waspana opętał, czy co?

— Bo widzisz, moje serce, szkoda znaczna, i chłopcy, proszę uniżenie, pokaleczeni.

— Da co waspan bałamucisz? gdzie tam pokaleczeni? gdzie ta szkoda?

— Szkodę, rzekłem, Pan Bóg nagrodzi, trawa odrośnie, a imości dobrodziejce także Bóg pobłogowi za dobry uczynek.

— Ot widzisz waspan, aż miło słuchać! ksiądz kwestarz rozumniejszy od waspana. Jegomosteczek głupi jesteś, więc zawsze głupstwa i robisz.

— Ja, wątpiąc, czy po takim *certamencie* jegomości dobrodziej zechcesz do nas zawitać, dołączyłam i mego czarnego barana, a to, aby on,

jako inny od wszystkich, przypominał jegomości, że co gospodarz nabroił, to gospodyni naprawiła.

—Mybyśmy już i tak, moje serce, proszę uniżenie, pogodzili się z księdzem kwestarzem.

—Da milcz jegomosteczek, zmiłuj się milcz! Ja taki waspanu tego nie daruję; we środę pójdziesz do spowiedzi, a ja sama z księdzem proboszczem o pokucie pogadam. Czy to pięknie? czy to po chrześcijańsku? Aż mnie wstyd za waspana!

—Jeżeli jegomość dobrodziej nie masz rankoru, to proszę do nas na filiżankę kawy.

—Proszę uniżenie... po staremu...

—A milczże waspan! już mówiłam, milcz! ot wolęj pomóż księdzu kwestarzowi przeprawić się do dworu przez mostek; bo choć tyle razy i kazałam i krzyczałam, dotąd nie naprawiony.

—Widzisz, moje serce.... ekonom, proszę uniżenie....

—A znowu gadasz. Leniuch jesteś, na ekonomu zdajesz co potrzeba, a co nie potrzeba, sam robisz. Spowiadaj się waspan i po wszystkiem.

—Mamże oczekiwać księdza kwestarza dobrodzieja?—zapytała imość, a jegomostek stojąc za nią z tyłu, klaniał mi się pokornie i na migi zapraszał do dworu.

—Dziękuję dobrodzice za łaskawe serce. Czar-

nego baranka nie dam zarznąć, i hodować będę na *prewodyra*, aby mnie drugim razem zaprowadził do tak bogobojnej pani, a teraz żegnam moich dobrodziejów, bo mi pilno przed Porcynkułą wracać do klasztoru i sukurs na fest przypędzić.

— Ot widzisz waspan, aż miło słuchać! To niechże Bóg szczęśliwie prowadzi, a proszę nas nie mijać. Mój jegomosteczek drugi raz takiego głupstwa nie zrobi.

— Moje serce! nie alteruj się, proszę uniżenie; dalsibóg wypowiadam się we środe.

— Da milcz waspan! — Odeszli.

Patrząc za niemi i pokręcając głową — *Hic mulier!* — rzekłem.

A Marcin obok mnie kręcąc także głową — *Szwed haba!* — rzekł.

Wyłtomaczył więc regularnie moję łacinę, i ruszyliśmy dalej.

U KSIĘDZA PLEBANA.

XX.

PRZEBYŁEM już napowrót *Niemen*, zawracając się ku Nieświżowi. (*Tu kart kilka wydartych, a po-*

tęm jak następuje).... Przed plebanią na ławeczce pod starą brzozą, a przed nami stolik i na nim dzban cienkusz, do którego ani ja w klasztorze, ani widać ksiądz prałat w swojej bogatej plebanii nie przywykł. Marszczył się więc *reverendissimus* popijając, ale pił jednak, bo nie było lepszego, a upał choć pod zachód słońca, dokuczał jeszcze.

—Jesteś bez wątpienia, rzekł ksiądz prałat, prowadząc dalej zaczęta w plebanii rozmowę i napominki, których pleban, staruszek cierpliwy, w milczeniu słuchał dotąd, jesteś kapłan gorliwy i pobożny, służba Boża w kościółku twoim idzie przykładnie, ależ sprawa sprawy nie tamuje. *Et haec facienda, et illa non omittenda*. Mógłbyś przytem pomyśleć staranniej i o doczesnym żywocie. Plebanijka to wprawdzie maleńka, ale ziemia dobra, chłopki ciepłe, a gospodarstwo pożał się Boże! Wstydz się! U mnie inaczej. Przyjedź tylko do mnie, nauczę cię rozumu. Pochodzim po polach; obaczysz jak u mnie wyorano, jak wybronowano, jak zasiano, i jak chwala Bogu, rodzi. Nauczę cię i pieniążki zbierać, i lepsze piwo robić, bo tą lura i gardło i humor skwasim.

Staruszek uchylił osiwiatą głowę, jakby dziękował za ofiarowaną naukę, a potem zcicha, pozwoli i nieśmiało, modląc się raczej, niżeli odpowiadając księdzu prałatowi, mówił:

„Albowiem królestwo Boże nie jest ci pokarm, ani picie, ale sprawiedliwość i pokój i wesele, w Duchu świętym! Przetoż tedy starajmy się o rzeczy, które pokojowi należą, i tego, co jest ku zbudowaniu, społecznie strzeżmy.”

—A toż znowu co? rzekł ksiądz prałat kręcąc palcem nad łbem, a toż znowu co?

—*Słowa świętego Pawła do Rzymian, reverendissime!*— odpowiedział staruszek.

—Prawda, ale cóż to ma wspólnego z twojem gospodarstwem i podpiwką?

—„Dla pokarmu nie psuj sprawy Bożej!” *ibidem, reverendissime.*

—Porzuć waść te cytacye. Kto cię nawraca do obżarstwa? chyba by kwestarz, jako nawykły do bernardyńskich porcyj.

—Pomierzmy brzuchy, dobrodzieju, odezwałem się na tę zaczepkę, bo widziałem, że *periferya* księdza kanonika dwa razy większa od mojej. Bodaj pasek mój nie zejdzie się na jegomościa.

—Pleciesz, rzekł ksiądz prałat. A waść, księżulu, nie w czas wyjechałeś z świętym Pawłem: bo co się mówi o gospodarstwie, to się nie tycze obowiązków naszego stanu; jedno drugiemu nie przeszkadza.

Ksiądz pleban pokręcił głową.

—Pięknie, gdybym ja, mając porządne *bene-*

ficium, gospodarzył jak ty, bracie! A toćbym marnował dar Boży!

— „Są różnice darów, lecz tenże sam duch być „ma!” mówi święty Paweł do Koryntyan, *reuerendissime*.

— Znowu wyzywasz mnie na teologiczną dysputę, a ja po prostu chcę ci dowieść, że opuszczenie się w twoich domowych sprawach doprowadzi cię do ubóstwa, tak, że nie będziesz mógł potem ani łaknącego nakarmić, ani pragnącego napoić.

— Dam łaknącemu kawałek suchego chleba, który sam pożywać będę, odpowiedział starzec tym samym pobożnym i dobrotliwym głosem, a pragnącemu kubek wody, albo i tego podpiwku, w którym bogaty prałat nie smakuje, a który ochłodzi pragnącego.

„Aż Bóg nie obrał ubogich na tym świecie, „aby byli bogatemi w wierze, i dziedzicami królestwa, które Bóg obiecał tym, którzy go miłują?” *Tak pisze święty Jakób w Liście powszechnym.*

Prostota i łagodność, z jaką te słowa wymawiał ksiądz pleban, a bodaj i same słowa, dotknęły prałata. Skąsił usta, zmarszczył brew, i rzekł: — Prawda to, ojczy, prawda! Umiesz Ojców Kościoła na pamięć, a naśladujesz ich twojem świątobliwem życiem; lecz też pamiętać należy, że

mamy obowiązki na świecie nietylko duchowne, ale niejako i doczesne. Jesteśmy szafarzami darów Kościoła, powinniśmy się więc starać, aby ich nie zabrakło dla biednych w ogólności, a wolno też pomyśleć i w szczególności o potrzebujących częstokroć powinowatych naszych i krewnych, którym wsparcie za życia, a pamiątka po śmierci od nas się godzi.

— „Bez ojca, bez matki, bez rodu; nie mają ani „początku dniów, ani końca żywota; ale przypodobany synowi Bożemu, trwa kapłanem na wieki!” *Tak pisze święty Paweł.*

— Róbże sobie jak chcesz, rzekł powstając zniecierpliwiony prałat. Jakbyś nie miał słów własnych, konfundować mnie chcesz słowami Apostołów.

— Nie gniewaj się, *reverendissime!* rzekł ksiądz pleban. Nie miałem zamiaru ubliżać wyższemu ode mnie w Kościele Bożym; ale w różności naszego przekonania, słowa moje własne naprzeciw słów i powagi twojej, *reverendissime*, nie obroniłyby mnie. „Nie śpierzaj się słowy, bo się to na „nie nie przygodzi, jedno na skazę słuchających, „a świeckich rzeczy i próżnomówności strzeż się!” *naucza także święty Paweł.* Wolałem więc nieudolność moję wesprzeć tém, na czém i codzienne moje życie, i niedostatki, i kłopoty opieram; to

jest, słowami, które codzien czytając, rozważając i przepisując, wraziłem sobie w pamięć i w serce. W nich, mości księżu prałacie dobrodzieju, moja obrona naprzeciw światu i jego pokusom; w nich moja pociecha w samotności i utrapieniach, od których któż wolny na tym padole płaczu? z nich moc ducha niewątlącego się wiekiem moim zgrzybiałym. „A owoc ducha (jako powiada *Paweł święty*) „jest miłość, wesele, pokój, cierpliwość, dobrotliwość, cichość, wiara, mierność, sprawiedliwość, „czystość.”

—Nie przeto, abym te wszystkie dary i cnoty posiadał; uchowaj mnie Boże od takiej pychy; ale myśl moja tak nawykła w każdym zastanowieniu zawracać się na tę drogę, że wprzód, nim własne wynajdę zdanie, natrafiam na gotowe święte prawidło, za którym idę bez namysłu, i nigdy nie zbłądziłem; dla tego dusza moja i sumienie wolne, chwała Bogu, od wszelkiego ciężaru. Nie zapędzam się w gospodarstwie, ani kłopotam się o pomnożenie dóbraków lub zbieranie pieniędzy. „Obyczaje twoje niech będą bez łakomstwa, przestawając na tem, co teraz jest. Boć sam powiedział: nie zaniecham cię ani cię opuszczę.” *Słowa świętego Pawła, reverendissime.*

Starania około zbawienia duszy własnej, około dobra a zbudowania trzodki mojej, utrzymania ubo-

giego tego domku Bożego i w nim chwały Boskiej, oto, *reverendissime*, wszystko, nad czem codziennie myślę i pracuję. Resztę i całą przyszłość oddaję woli i opiece Boskiej: bo „Nie waszać, rzecz, nie waszać, znać czasy i chwile, które Ojciec w swęj władzy położył” powiedział CHRYSTUS.

A jednak Boże uchwaj, abym sądził innych podług siebie, i mniemał, żem doskonalszy od braci moich. „*Każdy z nas za się da liczbę Bogu*” — *mówi święty Paweł*. Gotując się więc do tego ciężkiego rachunku, na który przyjsć wkrótce mi wypadnie, do miłosierdzia Boskiego, nie do zasług i wartości mojej uciekam się.

Zatém przebach mi, *reverendissime*, jeżeli cię nie chcąc obraził — i tu chciał staruszek ucałować rękę prałatowi. Umknął ten ją z pośpiechem i zamyślił się głęboko. Ksiądz pleban milczał, i ja także, rozważając świątobliwość i pokorę jego. A wtém zadzwoniono na nieszpor.

P O W R Ó T.

XXI.

Już nam zdaleka orzeł Radziwiłłowski ukazał się na wieży zamkowej i kręcił się od wiatru na

wszystkie strony, gdy Marcin rzekł do mnie —Wiele jegomość zebrałeś gotówki?

— Nie liczyłem. Oddam cały worek księdzu gwardyanowi; niech sobie sam i policzy.

— Daj mnie jegomość talara.

— A to na co?

— Już to taki obyczaj. Ja od każdego kwestara biorę po talarze, niby na boty; ale, prawdę mówiąc, idzie on na konsolację ze stajennemi zamkowemi, mojami wielkimi przyjaciółkami. Na boty zbiorę, przyprowadzając tabakę dla całego klasztoru, bo mam na to sekret nieboszczyka księdza Rafała, trzeciego kwestara przed jegomościem. I nikt tak definitorskim nosom nie dogodzi jak ja.

Dobylem więc kieskę i dałem mu talara.

— Chwałaż Bogu nie z próżnemi rękami wracamy, rzekł on, postrzegłszy pieniądze; jest co i do karbony oddać, i sobie zostawić. A wieleż jegomość sobie schowasz?

— Bałamucisz! Jak ci do głowy przyjść mogło, że choć grosz dla siebie ukryję? Jeżeli tobie daję talara, to dla tego, że zasłużyłeś, jak mi się zdaje, na to, pilnując przez kilka tygodni koni, wozów i baranów.

— To tylko dla tego? Jegomościę bałamucisz, ale nie ja, odpowiedział z gniewem Marcin. To jegomość płacisz mnie tylko jak furmanowi i pa-

stuchowi! Kłaniam uniżenie! Weźże jegomość sobie nazad swego talara, i kwita z przyjaźnią!

To jegomość rozumiesz, że byle jakiś furman, to i kwesta uda się? Przepraszam jegomościa. A ja mówię, że byle jaki kwestarz, aby tylko furman dobry i wiedział gdzie zawracać, to i kwesta pójdzie wyśmienicie. A nawet gdyby puścić dropiatego naprzód i dać jemu przewodyrów naszych, a Panfila za stróża od wilków, to i tak bez kwestarzów i furmanów, jak on zna wszystkie drogi, nazbierałby baranów.

Onegdaj, pamiętasz jegomość, ja nie chciałem zawracać do tego sknery, co się schował przed nami za dziurawy parawan, a chłopcowi kazał powiedzieć, że wyjechał. Prawda, że jegomość, postrzegłszy łysinę za parawanem, po kwestarsku jemu dociąłeś, odpowiadając chłopcowi, że pokłoni się panu jak powróci, i powiedz, żeby drugi raz wyjeżdżając z domu, łysiny swojej nie zostawiał za parawanami. No, gdybym ja był w pokoju, tobym ja jego ztamtąd wyciągnął, ale jegomość wielki nadto polityk.

I wszędzie, gdzie ja zajeżdzać nie chciałem, skończyło się na z *Panem* BOGIEM! a gdzie dropiaty zwrócił się, to i baran przybył. To nic nie znaczy u jegomościa? a że kroba i puzderko

zawsze pełne były, to także nic? Oj, ludzie! ludzie! pożal się Boże!

Głową kiwał Marcin, trząsał z rożka tabakę i wdychał, ale talara schował do kieszeni.

— Zgoda, panie Marcinie! rzekłem. Prawda, żeś ty stary ćwik i doświadczony na kwestę. Pojedziemy znowu z sobą, kiedy Bóg pozwoli.

— A zwyczajnie, że pojedziem, bo i ja przed całym klasztorem inaczej nie powiem, jak tylko, że jegomość całą gębą kwestarz; umiesz sobie i u panów i u chudopachołków poradzić.

Co do pieniędzy, któż jegomościu radzi schować? *Per modum...* — Zamilkł Marcin, szukał grzecznego wyrazu.

— *Per modum* ukraść — dopomogłem mu.

— Nie... tego... ale... bo jegomość nowicyusz; nie wiesz tego, że kwestarz powinien sam starać się o wszystko do drogi i w drodze: wozy naprawiać, konie kuć, odziać furmana i siebie: bo, prócz habitu, jegomościu, jako kwestarzowi, nic więcej z klasztoru nie dadzą, a za to rachunku z nazbieranych pieniędzy żaden kwestarz nie zdaje. Już to na jego sumieniu. Nieboszczyk ks. Jacek umierając, sto talarów bitych oddał do karbony bractwa różańcowego. Za toż codzien dziady i baby śpiewają za jego duszę *Anioł Pański*. Czy to źle?

Pod wieczór wjechaliśmy tryumfalnie na dziedziniec klasztorny. Dropiaty zarżał, zwiastując nasze przybycie a poznając swoją stajnię.

— *Salve Frater amantissime!* Ot co jest! — wykrzyknął ks. gwardyan, witając mnie na ganku; a uściskając po przyjacielsku.

I wszyscy ojcowie pozdrowili mnie chorem.

— Czekałem cię jak kania deszczu, rzekł ksiądz gwardyan; rozumiałem, żeś gdzie znowu za marszałka przystał, zwłaszcza, żeś się z panami pobratał. Odebraliśmy z wielką pociechą dary z *municipality* starosty, przez ciebie wyjednane. Niech mu dobroczynność jego idzie na pożytek duchowny, tak, jak nas cielesnym zasilił. Baranów jak gwiazd! Ot co jest! Widzisz, mówiłem ci na wyjeździe, że jeszcze ludzkość, pobożność i dobroczynność żyje na Litwie! Ot co jest!

— Prawda, *reverendissime*, prawda! wszystko prawda! nawet i coś namieniał o niedowiarstwie i zgorszeniu gdzieś wytykającym głowę, i na tom napadł; nawet na samego apostoła złościwości...

— *Caetera ad coram*, przerwał mi ks. gwardyan, bracie Michale, a teraz idź wypocznij po drodze.

Post silentium zawołał mnie ksiądz gwardyan do siebie; widać nie chciał mieć świadków naszej

poufałej rozmowy. Przyniosłem mu pieniądze. Odliczyliśmy złotych dwieście kilkadziesiąt w różnej monecie.

— Bóg zapłać, rzekł on, i waści, bracie Michale, i dobrodziejom naszym. Ot co jest!

Cóż tam powiesz mi o swoich obserwacyach światowych, o których namieniłeś?

Więc mu opowiedziałem cały progres bytności naszej u starosty i moję poniewierkę dla francuza i jego pieniędzy.

— *Bene!* Ot co jest! *Bene! valde bene!* Znalazłeś się, jakbym sam lepiej nie potrafił, a powracasz do klasztoru rozumniejszym, jak wyjechałeś, bo nauczyłeś się wojować z nieprzyjacielem, z niedowiarstwem, które z obowiązku twojego stanu gromić zawsze powinienes.

Gdym mu zaś powiadał o pobożności ludu pospolitego, chłopków i drobniejszej szlachty. — I to prawda, odpowiedział mi; do nich zaraza nie dochodzi i nie dojdzie nigdy, choćby się między panami chrześcijańskimi najszerzej rozlała. Prostaczkowie przyjęli przychodzącego Jezusa na ten świat, prostaczkowie i zachowają go w sercach, gdy bezbożni zawziętość swą wywierać nań będą. Ot co jest! Ale Bóg, w czasie koniec złemu położy: zaślepienie przejdzie! A natenczas monarchowie i mędrce świata tego, jak owi trzej niegdyś

ze Wschodu, przyjdą za gwiazdą prawdziwej chrześcijańskiej mądrości, a z pokorą i skrucą uderzą Mu czołem nanowo. Ot co jest! i co daj Boże! Amen.

R O K 1 8 1 2 t y.

XXII.

Od powietrza, głodu, ognia i wojny, wybaw nas Panie! śpiewamy codziennie w supplikacyi. Pierwszych dwóch plag Boskich za moich czasów Bóg na nas nie dopuścił; ogień — co bez czego? ale ostatniej doznaliśmy już pierwój, i doznajemy teraz, ze wszystkiemi jej okropnościami, rabunkiem, zniszczeniem i gwałtami wszelkiego rodzaju.

Co potem nastąpi, Bogu wiedzieć. Nie obejdzie się zapewne i bez dalszych nieszczęśliwych konsekwencyj, to jest, moru i głodu. Co zaś najbardziej trwoży nas i boleścią przeszywa, to profanacya świątyń Pańskich i ostatnia pogarda dla sług Bożych, a poniewierka dla świętej naszej wiary. O Boże! Boże! czegoż doczekaliśmy? Widać blizkie skończenie świata!!!

Mieszkałem ja od lat dwóch w klasztorze naszym w Wilnie, gdy zaraz z wiosny rozchodzić się poczęły wieści o wojnie, o zbliżaniu się Francuzów, i nareszcie, że stoją nad Niemnem, a rychło i do nas zawitają.

W Wilnie publika wielka! jakiej to miasto dawno nie widziało i widzieć pono nie będzie. Cesarz bowiem Alexander, którego wszyscy czczą i aniołem dobroci nazywają, założył tu swoją rezydencję.

Kiedy on konno wjeżdżał do miasta przez Antokol, to od huków harmat i wszystkich dzwonów aż miasto się trzęsło.

Kto tylko potem chciał — a któż nie chciał? — mógł go codziennie widywać, czy to przejeżdżającego się także konno po pięknych okolicach Wilna, czy to musztrującego wojsko, którego było w mieście i za miastem moc nieprzeliczona. Sama gwardya cesarska kiedy wystąpiła na rewię za Wileńską bramę, to okryła całe pole i bory od miasta aż pod Zakret.

A jakaż to assystencya! jaka parada przy cesarzu! wiele to tam generałów! książąt! orderowych panów! a wszystko precz od złota! Było nawet kilku posłów od zagranicznych nacyj. Sam widziałem na téj rewii posła Szwedzkiego. Znaczny był zdaleka, bo w granatowym bogato sza-

merowanym mundurze, z żółtym piórem na kapeluszu i złotą szarfą, kiedy wszyscy mieli szarfy srebrne. Tłumy ludu wysypały się za miasto; a między tłumem i nas kilku ciekawszych dla przypatrzenia się tej niby to wojnie; a za górą była już i prawdziwa.

Do klasztoru do nas hurmem szły nowiny; bo z miasta znajomi i przyjaciele przychodzili codziennie wieczorem na wymienione nasze piwko do ogrodu, i pod cieniem drzew gwarzyli o wszystkim, co słyhać było. W mieście zaś był ruch nadzwyczajny. Nakoniec jednego ranku, gdym był u księdza kustosza dla klasztornych dyspozycyj, wpadł nagle do celi pan budowniczy Orzechowski, nasz tercyarz i sąsiad od klasztoru, i krzyknął: —Tatulenku! już przeszli Niemen!

—Co wasan mówisz? czy pewnie?

—A najpewniej! Wczora moje chłopcy, to jest, akademicy mieszkający w mojej kamienicy, byli na balu w Zakrecie, i na swoje oczy widzieli kuryera, który wpadł tam na bal nawet, z doniesieniem tej nowiny. Dziś już całe miasto wie o tem, i niema sekretu.

—Więc tu będzie wojna?

—Jakie to *futurum*? kiedy tu już *tempus prae-*

sens. Jest już wojna, tatulenku! jest! tylko nie tu, nie koło Wilna, i u nas, jak powiadają, jej i nie będzie. Bo widzisz, *ut fert fama*, Rossyanie mają się rejterować w głąb kraju i wprowadzić za sobą Francuzów w łyka. Każ dać wódki, tatulenku! bo to jest *materia gravis*, podług mojej *ekwanimii*.

Napiliśmy się po raz. —Cóż teraz robić?— zapytał ks. kustosz.

—A cóż robić? jedno z drugim *nic*. Podług mojej *ekwanimii*, siedzieć cicho w klasztorze, modlić się Panu Bogu! i przychowac dla wszystkiego ważniejsze *preciosa* kościelne. Ja nawet mój kuferek przyniosę dziś w nocy do Ichmościów.

—A to dla czego?

—Dla czego?... dla czego? ot mówiłem jego-mościu, *dla wszystkiego*... a kiedy mam otwarcie powiedzieć— dodał ciszej i jękając się — bo powiadają, tatulenku... że Francuzi rabują, a nawet... kościoły odzierają!..

—Jak to być może? Fałsz! To naród chrześcijański, mospanie!

—Już to, podług mojej *ekwanimii*, chrześcijaństwo u nich wątpliwe, tatulenku! Wiiesz, że Napoleon Bonaparte papieża z Rzymu wypędził. a syna królem rzymskim ogłosił; więc *signum pro re signata*. Zresztą, rób jak chcesz, tatulen-

ku. Ja wieczorem podejdę, a teraz biegnę na miasto. Nie usiedzieć w domu, gdy co godzina to nowina.

Gdy wyszedł pan budowniczy, ksiądz kustosz zebrał ojców na *consilium*. Przyszedł, opierając się na kiju, staruszek ksiądz definitór, mój najpierwszy gwardyan miński i dobrodziej, z którym po większej części wiek mój zakonny strawiłem, i którego kocham i szanuję jak ojca. Szanują go też i słuchają we wszystkiem i w tutejszym klasztorze, bo znają jego wielkie *merita* w zakonie, i mądrą głowę, a która i wiekiem się nie osłabiła; w ważniejszych więc sprawach do niego idą po radę. Był on razy kilka już prowincyałem, i wtenczas naszą wspólną peregrynacyę po klasztorach opisałem akuratnie w moich raptularzach; na starość obrał sobie rezydencyę w Wilnie, jako *emeritus*. Za jego to naleganiem, po kilkoletniem rozłączeniu naszym, które ja niewolą babilońską uważałem, przeniesiono i mnie do Wilna. Nazywają nas *inseparabiles*. Oh! śmierć nakoniec zadała fałsz temu nazwaniu!... Rozdzieliła nas swoją kosą okrutna *Libityna*!... Com ucierpiał i cierpię, Bogu tylko wiadomo!... do którego codziennie modlę się za jego duszę. Ale o tem potem.

Zebrany *Patrom* opowiedział ks. kustosz nowinę, i podał do *konkluzji* kwestyę: cóż robić?

Wszyscy milczeli, i takby się rada skończyła; ale ksiądz kustosz obrócił się do ks. definitora i rzekł: — *Reverendissime!* czekamy twojego mądrego zdania.

— Francuzi, powiadacie, rabują kościoły? — odpowiedział on — być to może, bo dożyliśmy wieku rozuzdania wszelkich zapędów ludzkich. Ot co jest! Wątpię jednak, aby w mieście, pod okiem wodzów, a może i samego cesarza, do rabunków i swawoli żołnierskiej przyjść miało. A gdyby i przyszło, nie zrabują nas tak, aby choć drewniany krzyż w kościele nie został; to i przed nim Pana Boga chwalić będziemy. Ot co jest! Dajcie więc pokój wszystkim zabiegom lub trwogom. Ufajmy w Bogu; a Jego woli i miłosierdziu oddając się, módlmy się raczej za pokój i zgodę panów chrześcijańskich. Ot co jest!

Słowa te ojca definitora uspokoiły wszystkich i rozweseliły twarze. — *Fiat voluntas Dei!* Bóg przez ciebie przemówił, ojcze! — zawołali, i rada się rozeszła.

To było we środę dnia 12 Junii.

We czwartek ruch wielki! Półki coraz nowe przechodziły przez miasto, za Zielony most niektóre, a drugie i najwięcej przez Antokol na Nie-

menczyn za Wilję. Wieść o zbliżaniu się Francuzów coraz to głośniej szerzyła się. Do klasztoru naznaszano kuferków i na luftach lokowano.

W piątek, to jest, 14 Junii, Cesarz Alexander opuścił miasto.... kochany i błogostawiony od wszystkich.... niech go Anioł-stróż ma w swojej opiece!

Mianował on pana *Lachnickiego* prezydentem miasta, a ochraniając ono od ruiny i zguby, rozkazał poddać bez oporu nieprzyjacielowi. To znowu wielkie jego dobrodziejstwo dla Wilna.

W sobotę rozkazano, aby wszystkie bramy w kamienicach zatarassowano, okienice od ulicy w oknach zamknięto, a nikt się po ulicach nie szastał. Jakoż wszyscy siedzieli jak szczury w norach. Kiedy niekiedy ktoś wylażł na szpiegi; ale daleko nie uszedł, bo miasto zavalone wojskiem i harmatami; a żołnierz, zwyczajnie jak w rejteradzie, samém spójrzeniem przestraszał.

Mnie ks. kustosz wypchnął na wzwiady. Podobno habit mój jednał mi łatwiejsze przejście. Dobrałem się więc aż na koniec Skopówki, pod pałac Szozzelowski (*), w którym mieszkał *genera-lissimus jenerał Barklay de Tolli*, i dowiedziałem się, że on jeszcze na miejscu. Konkludowaliśmy

(*) Dziś Pomarnackich.

więc w klasztorze, że nie tak blisko nieprzyjacieli, gdy sam wódz nie opuszcza miasta. Ale konkluzya nasza była prawdziwie bernardyńska. Ojciec defnitor znowu dowiódł, że rozumniejszy od nas wszystkich.

—Gdzież miejsce wodza w czasie wojny?— zapytał on.

—A jużćie nie z tyłu armii, jeżeli nie na czołe— odpowiedział ks. kustosz.

—A gdzież czoło armii, kiedy się armija rejteruje?

—Nie rozumiem— rzekł ks. kustosz.

—A ot co jest! gdzie najbliżej nieprzyjacieli, tam czoło armii, i tam wódz. *Subintelligitur* więc, dla czego pan *Barklay de Tolli* jeszcze w Wilnie, choć za górą Francuzi. Ot co jest.

Wieczorem tegoż dnia kazano, aby straż miejska zajęła wszędzie warty. Piękneż to berdyszowe rycerstwo! w kapotach, w kurtkach, sami z siebie śmieli się, a wszyscy z nich. Stanęli po bramach, przy kordygardach i turmach. Noc całą wojsko płynęło, jak woda.

Nadeszła nakoniec niedziela św. Trójcy v. s., dzień $\frac{16}{28}$ Junii, którego nigdy nie zapomnę.... w którym ujrzałem razem z całym Wilnem *Potentata* Napoleona Bonapartego, na czele wojska z roz-

maitych nacyj złożonego, wchodzącego do naszego miasta.

Ale poczynam od początku.



XXIII.

Mój ksiądz definitor miał sobie wygodne dwie cele; więc i ja z nim mieszcilem się, abym mógł w starości jego służyć mu i doglądać. Całe życie czytał on prawie codziennie gazety, i tłómaczył mi bywało wszystko, co tam stało, choć ja, nie wielki *politykus*, słuchałem tego piąte przez dziesiąte. Jedno a jedno w nich pisało: zawsze o wielkich zwycięztwach, o wielkich czynach, i o wielkiej mądrości Bonapartego. Na całej Litwie, ba! owszem i po całym świecie, o nim tylko gadano i pisano. Kwestując po dobrodziejach, około różnych naszych klasztorów, w których przebywałem, w każdym szlacheckim czy pańskim domu o niczem innem nie posłyszysz bywało, i śniło się podobno wszystkim o *Bonaparcie*; to i nie dziw, że nieboszczyk ks. definitor, przez całe życie myśląc tylko o nim, ciekawy był wielce oglądania go nakoniec. — Nie umrę, bracie Michale — mówił on — nim go nie obaczę. Ot co jest! I zgadł, jak prorok: obaczył go i umarł.



Wysyłali oni z księdzem kustoszem mnie, jakem to wyżej napisał, na szpiegi do miasta; i tego więc ranku, ledwo jeszcze szarzało na dzień, wyszedłem za furtę. Zdziwiła mnie cichość i spokojność w mieście. Kozacy tylko przeszmygiwali się po ulicach; a na placu pod ratuszem, stał złożony broń w kozły, półk grenadyerski (*), co to mają kaszkiety w kształcie głów cukru i szerokie na nich blachy mosiężne. Żołnierze gotowali sobie kaszę w kociołkach; inni drzemali, leżąc na ziemi. Oficerowie siedzieli na ławkach, lub przechadzali się po placu, rozmawiając cicho i ostróżnie. Liczniejsza ich kupka otaczała półkownika, którego po sutych szlifach poznałem. Od tej kupki odłączył się oficer, i przejął mię pod Imbarami. — Dokąd, księżu? i po co tak rano? — spytał mię po polsku.

— Do chorego, panie kapitanie! — rzekłem zakłopotany.

— Podwójnie kłamiesz, — odpowiedział on uśmiechając się — i ty nie spowiednik, boś bez kapłura, i ja nie kapitan; a może trzecie kłamstwo, i najgorsze, jest w twoim habicie? Gadaj! — dodał surowiej. Mam rozkaz cię wybadać.

Ale ja przyszedłem już do siebie, i pomyślałem

(*) Pawłowski.

w duchu: skłamałem, ot i bieda! Mówiny prawdę.... cóż mi się stanie?

—Dobrodzieju!— odpowiedziałem zatém— że jestem bernardynem z tutejszego klasztoru, to tak mi Panie Jezu dopomóż! *Mea culpa*, że m skłamał. Stchórzyłem, a strach najgorszy konsyliarz.

—Więc mów, po co tak rano się włączysz?

—Ciekawość, dobrodzieju! prosta, szczerą ciekawość, i nie więcej; a nie tak moja własna, jak moich starszych, którzy, chcąc wiedzieć co się dzieje w mieście, wysłali mnie na wzwiady.

—Więc jesteś szpiegiem? bracie! A wiesz, czem to pachnie? No, ale nie lękaj się; szpieg od armii bernardyńskiej nie straszny; wracaj wszelako wnet do klasztoru, i ciekawym ojcom zanieś nowinę, że przed południem będziecie mieli gości. — Odchodził potém, lecz się zawrócił. —Czekaj księżu!— rzekł— masz oto ubogą moję ofiarę,— a dawał mi rubla— oddaj to na mszę na intencję ojca błagającego Boga, aby kula żony i dziątek nie osierociła...— Westchnął głęboko pocziwiec....

—Dziś zaraz będzie msza na twoję intencję— rzekłem, i przeżegnałem go serdecznie. —Dziękuję ci, bracie!— rzekł, ścisnął za rękę, i wbiegł na plac; a ja korzystając z przestrogi, *retro* do klasztoru. Tam opowiedziałem moję przygodę,

oddałem ofiarę oficera, i wnet sam ksiądz kustosz wyszedł ze mszą, po której ja znowu za fortę.

Na ulicach więcej cokolwiek było ludzi, ale bojaźliwie przemykających się zaułkami, lub czających się po bramach. Dniało już. Zwróciłem pod pałac Biskupi, do którego po wyjeździe Cesarza przeniósł się pan *Barklay de Tolly*. Na dziedzińcu stała karéta ośmią końmi zaprzężona; około niej kilkadziesiąt kozaków siedziało na koniach.

Pędem lecący konno oficer od Pohulanki, biały od kurzu, przypadł do bramy.

—Czy jest jeszcze feldmarszał?— zapytał.

—Jest— odpowiedziano mu.

Wleciał na dziedzińiec, zsiadł z konia i pobiegł na wschody.

—A więc to karéta pana *Barklay de Tolly*,— pomyślałem sobie.— Niema co mówić, dotrzymuje do końca! Obaczym, co z tego będzie? postoję tu w bramie Święto-Jańskiej.

Pojednemu, po jednemu, zebrała się koło mnie kupka ciekawych, i znalazł się między niemi pan budowniczy Orzechowski. Ranny to ptaszek, gdy idzie o nowinki. Opowiedziałem mu, co się święci.

—A więc podług mojej *ekwanimii*— rzekł on— tu jest przyzwoite *locum standi*; i jeżeli nas nie rozpędzą, dopilnujemy wszystkiego.

Już też i dzień zajaśniał. Wleciał drugi kurier. Ludu się na ulicach pomnażało. Ten to, ten owo plótt; ten straszył, ten cieszył; a każdy pytał się razem: co słyszać? Gwar jakiś powiększał się coraz. My cierpliwie staliśmy na miejscu, a wkrótce i trzeci takież latawiec wpadł na spienionym koniu.

Wnet wyleciał oficer z pałacu i pobiegł pędem ku placowi. Ja i kilku ze mną, bocznemi uliczkami za nim. Ledwo dopadł placu, zagrzmiały bębny, żołnierze porzucili niedojedzoną kaszę, w mgnieniu oka już w szyku, i marsz krokiem podwójnym za Zamkową bramę, na Antokol.

Ja znowu do bramy Święto-Jańskiej, a raczej, prawdę mówiąc, do ferty: bo to te podwoje, które się otwierają z murów Sto-Jańskich naprzeciw bramy biskupiego pałacu, tak, że z nich widać część dziedzińca i wschody. Tam pan budowniczy stał jak wryty.

—Ostatni półk— rzekłem mu— wyruszył nagle na *Niemenczyn*.

—A zatem podług mojej *ekwanimii*...— Nie dookończył, bo ruch wielki zrobił się na dziedzińcu: kilku konnych wyleciało w różne strony, i okazał się na ganku pan feldmarszałek, za nim pan *Ławński* nasz były dotąd gubernator wileński, i kil-

ku adjutantów. Widać nam było, jak rozmawiali wesoło. Pan *Barklay de Tolli* uśmiechał się.

—A to mi gracz! proszę uniżenie!— rzekł pan budowniczy— Bonaparte za górą, a on ani dba.— Obejrzał się on jeszcze na wszystkie strony, jakby na *waletę* miastu, dobył zegarka, spójrzał nań i siadł do karéty; z nim pan Ławiński tylko; reszta wszyscy na koń, których kilka powodnych a osiodłanych tuż przy karécie bieгло; i ruszył powóz tęgim kłusem także na Antokół, otoczony strażą z kozaków i dragonów.

—No, teraz, podług mojej *ekwantmii*, u nas *interregnum*— rzekł budowniczy.

Jeszcze karéta nie była za miastem, gdy huk ogromny rozległ się, że aż okna się zatrzęsły; gromady ludu na ulicach *obstupuerunt*; w kilka minut drugi jeszcze mocniejszy!

Serce mnie jakoś mocniej kołatać zaczęło, i uważałem, że tłum przerażony miał się ku rejteradzie, gdy doszedł głos i rozleciał się wszędzie: —Most Zielony wysadzono na powietrze! magazyny na Łukiszkach wyleciały w górę i osypały mąką całe przedmieście.— Ochłonęło się więc z trwogi, ale nie na długo, bo znowu trzy uderzenia z harmat zagrzmiały w krótkich pauzach jedno po drugim i ogłuszyły wszystkich. —Strzelają do miasta! — krzyknął jakiś tchórz. Boże!

cóż to za zamieszanie powstało między tłuszcą! Ulica na ulicę się pchnęła. Uciekali i wrzeszczeli: —Gwałtu!

—Stójmy! — rzekł znowu do mnie pan budowniczy — to bałamuctwo. Za co mają strzelać do spokojnego miasta? Głupia tłuszcza pozaciska się tylko. Podług mojej *ekwanimii*; strzały te z har-mat, są to ostatnie sygnały, aby się wszystko, co wojskowe, rejterowało z miasta, i że nieprzyjaciół blisko.

I nie zawiodła *ekwanimia* pana budowniczego: przeszedł popłoch, lud się ustatkował; tylko ciekawość przeganiała gromady, jak fale, z jednego końca miasta na drugi. Ja znowu poszedłem uspokoić klasztor, i objawić ojcom to kilka-godzinne, jak pan budowniczy mówił, bezkrólewie.

Niecierpliwie tam mię oczekiwano. Opowiedziawszy więc wszystko *summatim* i posiliwszy się nieco, wybiegłem znowu za furtę, mając już kilku socyuszów z ciekawszych i śmielszych *patrów* i *fratrów*.

Nawał pospólstwa i wszelkiego stanu ludzi znaleźliśmy na ulicach. Jedni biegli na górę Zamkową i Bekieszową, w nadziei, że obaczą co się dzieje około miasta; inni leżli na wieże i dzwonnice, w takiejże samej *sperandzie*; inni znowu

biegli na Pohulankę, bo ztamtąd od Kowna przybywali Francuzi; a wszyscy latali i krzyczeli, jak w odmęcie.

Pan Lachnicki, jako prezydent miasta, siedział spokojnie na ratuszu, a przed nim na pięknej srebrnej tacy leżały złote, a może i pozłacane tylko dwa klucze; jakoby to od bram miasta, których dawno już w Wilnie niema: bo chociaż *Ostra* i *Zamkowa* zostały, lecz obie stoją otworem i wrót nie mają. Pierwsza najlepszą ma tarczę, bo Przenajświętszą Bogarodnicę, Przczystą *MARYĘ* Pannę, która Wilno od Szwedów obroniła, jak to wszystkim dobrze wiadome.

W takim gwarze i zmięszaniu przeszło godzin z parę. Byłem przy Kardynalii i posuwałem się z tłumem ku ratuszowi, gdy nagle krzyk potężny rozległ się około ratusza, i pospólstwo hurmem uciekające przejęło naszą partyę. — Kolą!... kolą!... — wrzeszczeli.

— Kto i kogo kole? — pytałem. Nikt mi nie odpowiedział, a tylko jedno a jedno: — Kolą!... — Głupia gawiedz, pomyślałem, znowu tchórz ich obleciał. Jakoż inne huczne odgłosy doszły nas.... Więc w mgnieniu oka byliśmy pod ratuszem. Aż tu wszystkiemi uliczkami prowadzącemi na plac: *Rudnicką*, *Żmudzką*, *Suboczem*, sypią się pędem

ułani z dzidami na przód, jak do boju (zład przestach w pospólstwie) i objęli odwacht.

Pan Lachnicki zszedł natychmiast na ganek ratuszowy, rozmówił się z oficerem, i wnet ze swoją tacą i kluczami, w assystencyi kilku miejskich obywateli, pojechał na Pohulanke złożyć je cesarzowi Napoleonowi. A tymczasem konnica płynąc do miasta poczęła; naprzód ułani, a potem strzelcy konni, z huzarska ubrani, na czele których jechał na pysznym karym rumaku rycerz w węgieńce gęsto złotem szamerowanej, w kołpaku aksamitnym, *per modum* tureckiego zawoju na głowie, na którym strusie pióra się rozwiewały, wywijając szablą i krzycząc: — *Wiwat Napoleon!* — a był to szwagier cesarza, król Neapolitański *Miurat*. (*)

Przypatrywaliśmy się ciekawie temu wojsku, a wszyscy upatrywali samego *Bonapartego*... Wtem rozbiegła się o południu wieść, a wieści natenczas jak błyskawice latały, że cesarz przy Zielonym moście nad Wilją.

Dalejże ja w tamtą stronę podchyliwszy habitu, aby nie dać się uprzedzić ludowi tam lecącemu.

(*) Naoczni żyjący świadkowie znaleźli opisanie to ks. kvestarza wejścia Francuzów do Wilna, zupełnie prawdziwem.

i wyprzedziłem prawie wszystkich; ale cóż, kiedy tam już była ciżba? Jednak przebiłem się na front, tak, że o kroków dziesiątek napatrzyć się mogłem na tego najślawniejszego mocarza! Nigdy nie zapomnę tej chwili!...

Nadrzeką, po lewej stronie od mostu, siedział na prostym stołku ten człowiek, na którego skienienie miliony ludów drży, a krocie brną na koniec świata! Figura dalibóg niepoczesna; jubila-ta dobrego nie odstoi; ależ za to *caput!*... znakomite! a oko czarne, pełne, i spójrzzenie nie wiem jak opisać?.... Kiedy poprowadził po nas.... aż dreszcz przeszedł.

Most był rozdarty na środku, ale cała rzeka pokryta była płytami; więc je wkrótce linami spięto, i stanął most pływający. Nim się jednak ta fabryka ukończyła, Bonaparte siedział nad brzegiem i rozmawiał z księdzem Głogowskim pijarem, któremu kazał podejść do siebie, gdy go w tłumie obaczył. I trafił wyśmienicie, bo ksiądz Głogowski mądry człek i po francuzku *expedite* umie. Dziwiło się pospólstwo, że tak śmiało z cesarzem rozmawia, ale jam się nie dziwił, i gdyby mnie był zawołał, takbym mu się po łacinie pięknie explikował, jak nie lepiej pijar po francuzku. Lazłem też wcale na przód — a nuż!... ale wkrótce most ukończono. Bonaparte siadł na ko-

nia mierzyna, (co za komparacya konika tego do rumaka *Miuratowego!*) i przejechawszy rzekę, otoczony liczną wojskową kalwakatą, pojechał brzegiem ku Antokolowi. Stał naprzeciw góry Zamkowej i po razy kilka wskazywał na nią ręką. Uważaliśmy i liczyliśmy wszystkie jego skinienia, biegnąc drugą stroną rzeki, póki go dojrzyć mogliśmy; nakoniec wróciliśmy się do mostu, gdzie go nazad wracającego ujrzeć mieliśmy nadzieję. Jakż i ujrzeliśmy, bo wkrótce wrócił i pojechał na pałac biskupi. Tłumy biegły obok, krzycząc, wrzeszcząc: — *Wiwat!* — a on kłaniał się poważnie lekkim skinieniem ręki lub głowy, witającemu go ludowi.



XXIV.

— **B**racie Michale! — rzekł do mnie ojciec definitor, gdym zmordowany i jak uduszony wrócił do klasztoru, a opowiadał mu wszystko, com widział — Bracie Michale! musisz mię tam zaprowadzić, abym go obaczył. Powiadałem ci, i teraz powtarzam: nie umrę, nim go nie ujrzę. Ot co jest! Ale śpiesz się, śpiesz się, bracie! — dodał — bo codzień słabiej... a nie umrę... — mruczał dalej jakby sam

sobie starzec— nim go nie obaczę.— Przyrzekłem więc memu kochanemu ojcu dopilnować momentu, kiedy cesarz wyjeżdżać będzie z pałacu, i zaprowadzić go do fortu S-to Jańskiej.

Co to za przewrócenie raptowne rzeczy! co to za nieład! natłok! zamieszanie! zawrót!... Jakies wytrącenie wszystkich z codziennych kolei i porządków. Każdy w obłąkaniu... W klasztorze nawet zeszedliśmy z codziennego trybu, jakbyś regułę zakonną od roku zwolnił, forte odemknął, i *obedyencyę* zniósł. Ledwo stare definitywy i jubilaty siedzą po celach, nie opuszczając klasztoru i służby Bożej. Młodzi włączają się po ulicach, sami nie wiedząc czego. Na obiedzie nawet często połowa przystawek próżna. Na noc tylko zbierają się wszyscy, i gwarzą nowiny i cudactwa, jakim się przez cały dzień napatrzali.

Bo i jest na co patrzeć, prawdę mówiąc! Jak woda płynie codzien wojsko z rozmaitych narodów i rozmaitego *moderunku*. Pancerni, których kirysy błyszczą od słońca jakby złote, na ogromnych koniach, chłopcy jak olbrzymy, a jeszcze sute ogony końskie spadające im od szyszaków po ramionach, straszniejszemi ich wydają; kupy jakichciś brodyaszów z szerokimi berdyszami na ramionach, i z fartuchami skórczanemi, jak kowale; nakoniec cały konny regiment diabłów, Pa-

nie odpuść ciężkie grzechy, czy Turków, bo to na jedno bodaj wychodzi, w zawojach; u każdego kindzał za pasem, a krzywy jak duha pałasz u boku. Powiadają, że to Mameluki od Czerwonego morza, w którym niegdyś król Faraon utonął.

W mieście wszelakoż *horrendum*! Ulice pozawalane zdechłemi końmi, bo te secinami giną od zielonego żyta, które żołnierstwo w okolicach kosi, i w niedostatku siana nawozi do miasta. Stada bydła rogatego i baranów wchodzą często za półkami, i wnet na rynku albo na ulicy, gdzie półk stanął, jatki i kuchnia; więc ztąd przy upałach zgnilizna i zaraza.

Po traktach i wsiach toż samo. *Ut fert fama*, rabują z kretesu; a nawet i tu w mieście niedowiarki i niegodziwce niektórzy wpadli do kościółka Pana Jezusa księży Trynitarzów na Antokolu, i zaczęli przybierać wota srebrne i złote z ołtarza, i zdierać szaty z obrazów. Takie jednak świętokradztwo i swawola nie uszły im na sucho! bo we dwadzieścia cztery godziny sądzeni, jak to dawniej powiadano, *kryzrechtem*, tamże na Antokolu kulą w łeb dostali. Dwóch ich było hersztów, ale zakamieniali heretycy!... ani księdza, ani spowiedzi, ani jakiegokolwiek przygotowania *in extremis* przyjąć nie chcieli. Idąc na plac śmierci, jeden jadł obwarzanki, drugi fajeczkę palił; a oba

wesoło rozmawiali z tymi, którzy do nich za chwilę wypalić mieli. O Boże, Boże! okropnie to było widzieć taką obojętność około zbawienia duszy! a toć to dwóch potępieńców szło prosto do piekła... Nie wierzyłbym, gdybym własnymi oczami na to nie patrzył.

Patrząc na to wszystko co się działo, pan budowniczy Orzechowski kiwał głową i mówił: —Podług mojej *ekwanimii*, z takim niezliczonym ludem Bonaparte świat przejdzie, ale z takim nieładem kto wie, czy się wróci? Bogu to wiedzieć!

Codzień mi przypominał mój ks. definitor obietnicę upatrzenia mu sposobności widzenia Napoleona. Nie było to i trudno, bo codzień wyjeżdżał on z pałacu konno na lustrowanie wojsk przechodzących przez miasto; lecz że na to nie było godziny stałej, więc tłumy ludu chcącego widzieć go, zalegały od rana Biskupią ulicę, oczekując po kilka godzin na ukazanie się cesarza.— Choćby mnie przyszło cały dzień przesiedzieć na bruku—odpowiedział *pater*, gdym mu tę trudność objawił—prowadź mię, bracie! bo nie umrę nim go nie obaczę, ot co jest! — Prowadziłem więc go dnia jednego. Zdawało się, że mu sił przybyło na tę chwilę. W klasztorze ledwo przez kurytarz do

kościół mógł się przewlekać, i to za pomocą mojego ramienia; teraz przez ulicę po nierównym bruku szedł rzeźwo i żwawo. Posadziłem go na wschodach naprzeciw samej bramy Biskupiej.

— Jakże go poznam? *charissime!* — zapytał on.

— Oto tak, *reverendissime!* Naprzód wyskoczy kilku, jak oni nazywają przewodników (*), z których jeden tylko na przedzie, a wszyscy w szafirowych ze srebrnym haftem mundurach; potem dwie pary strzelców konnych gwardyi, z nabita i podniesioną bronią; potem, na siwym lub myszatym koniu, w ciemnym werdedragonowym mundurze z ponsowym kołnierzem (**), bez żadnych haftów, z gwiazdą orderową (***) na piersiach, w kapeluszu niemieckim trzy-rożnym *On*; potem generałów i różnych assystentów, całych we złocie i srebrze tłuszcza; na koniec znowu kilkadziesiąt strzelców konnych gwardyi, i tyluż ułanów, którzy zwyczajnie zamykają kalwakatę.

Jak na szczęście nasze, ledwom dokończył mówić, huknęły bębny; a to był znak, że cesarz siada na konia. Tłumy skupiać się poczęły. Ledwom

(*) *Guides.* *N. w.*

(**) Mundur pułkownika strzelców konnych gwardyi. Długie jego poły, na końcu wyłogów, ozdobione były dwiema trąbkami, złotem wyszytymi, jako symbolem sławy. *N. w.*

(***) Wielka gwiazda orderu Legii honorowej. *N. w.*

mógł zrobić *rum* na przedzie starcowi. Wysypał się orszak z za bramy.... Chwycił on mię za rękę... i trzęsąc się jak osina, rzekł z przyciskiem: —To *On!* Ot co jest! To *On!!!*

Przed nami o kilka kroków stał żołnierz z niedźwiedzim wysokim kołpakiem na głowie. Nie mogliśmy zgadnąć, dla czego on tu stoi? Wszyscy zdecydowali, że *musi być tak potrzeba*. Ale gdy Bonaparte go mijał, on postąpił krok na przód i *sprezentował broń*. Cesarz się zatrzymał... co już zupełnie poszło na rękę mojemu *patrowi*, bo prawie oko w oko mógł nań się napatrzeć. Przemówił *on* do żołnierza, zapewne pytając się: jaki ma *interes*? Żołnierz podał mu papier jakiś zatknięty na bagnecie — zapewne *suplikę*. Czytał *Bonaparte*; było we środku jeszcze kilka innych papierów, i te przeglądał; mówił znowu z żołnierzem; na koniec skinął na jednego ze swoich generałów, ten się podbliżył; wziął odeń krzyż z piersi, a nachyliwszy się z konia, sam go przypiął żołnierzowi... i ruszył galopem.

Kiedyż to krzyknie na całe gardło ów żołnierz: —*Wiwlamperer!* — a to znaczy: *wiwał cesarz!* jak mi ksiądz definitór wytłómaczył; i nauczyłem się tej eksklamacyi, bo codzień o uszy obijała się. Ujrzelśmy tego węsala z kresą przez łeb i twarz, który nie przestawał wrzeszczeć jak waryat, cało-

wał krzyż swój, a łązy przecież ocierał, i śmiał się i ściskał zgromadzonych około niego kamratów, i nareszcie kogo napadł.

—No, idźmy nazad, *reverendissime!* — rzekłem. Ale on stał jak osłupiały, aż się przeląkłem. — Widziałem go więc! widziałem — szeptał sobie pod nosem, ani zważając na mnie — widziałem go! Ot co jest! *Nunc dimittis, Domine! nunc dimittis...* — Idźmy — powtórzyłem. — Ha! idźmy — odezwał się na koniec, opamiętywając się; ale ledwo nogami mógł sunąć, i z półgodziny wlekliśmy się do klasztoru.

—Cóż myślisz? *reverendissime!* — zapytałem, dawszy mu nieco odpocząć i widząc go zadumanego.

—Co ja myślę? bracie mój! co ja myślę?... oh! tego i nie wymówić!!! Przeżyłem lat tyle! patrzałem na tylu ludzi! na tyle rzeczy i spraw ludzkich! w ostatniej mojej godzinie ujrzałem potęgę ludzką w najwyższym stopniu i w jednym człowieku!!! Ot co jest! Dość więc życia dla świata!...

—Ależ ojcze! prosimy Boga — rzekłem — aby nam życia przedłużył, abyśmy obaczyli przynajmniej, jak się to wszystko zakończy?

—Jak się zakończy?... jak się zakończy?... — mówił dalej rozmyślając ojciec definitór — rzeczy nadzwyczajne nadzwyczajnie i kończyć się muszą...

Świat się oczyszcza przez ogień, jak żelazo w hucie.... Ludzkość wre, kipi, topi się, mussuje.... Ot co jest!... Żużle rewolucyjne niedowiarstwa, bezbożności i błędów, spływają na wierzch, w brudnych, czarnych, nieczystych fuzach.... Szumują one, wyrzucają precz i do reszty wyrzucają... Tak przewarzona różnorodna masa myśli i wyobrażeń ludzkich wyklaruje się, zleje się w jeden czysty metal... i spływać będzie w formę starego Chrystusowego krzyża. Ot co jest!

—Niewiele ja z tego zrozumieć, ojczy! — rzekłem — ale cóż to ma wspólnego z Bonapartem?

—O ty głowo do pozłoty! co wspólnego? co wspólnego?... Toż wielki *hutnik*, który warzy tę rudę, mięsza ją, szumuje... wichrami poddyma i podżega płomień.... i chcąc czy nie chcąc, ulepia materiały na krzyżową formę, w której czysty metal ma zastygnąć... Ot co jest! Zresztą *digitus Dei hic est...* a więc wszystko może się zakończyć jawnym dowodem.... że Bóg tylko jest Wszechmocnym i Wszechmogącym... a człowiek choćby najpotężniejszy... Ale w głowie mi się płacze... Ot co jest! Daj mi bracie pokój z pytaniami... *Fiat voluntas Tua Domine!* — rzekł, podnosząc oczy w górę, i modlić się zaczął. Przerywać mu nie śmiałem, choć ciekawy końca tego proroctwa.



TESTAMENT KS. DEFINITORA.

XXV.

Oh! przyszedł nakoniec bolesny dla mnie moment, gdy się rozstać musiałem na zawsze z kochanym moim i czcigodnym ojcem w zakonie, z którym kilkadziesiąt lat wieku mego przeżyłem, i któremu winienem wytrwanie w powołaniu mojem. Mądry człek, a przecież *re et nomine* zakonnik! nie tak, jak niektórzy, Boże im odpuść! lizną tam nieco łaciny i *Teologii*, i już *jubilaty*, już *doktory*, na biednych braci kwestarzy ani patrzą, choć z ich łaski i tłustą baraninę jedzą, i piją piwko *de puro grano*. Niech w Bogu spoczywa! Ale ja, po jego śmierci, sierota.

Na trzeci dzień po owém naszym oglądaniu cesarza Bonapartego, rzekł staruszek do mnie: —Bracie Michale! codzień słabieję, i bodaj dziś umrę. Ot co jest! Schodź wasze i poproś do mnie ojca spowiednika.

Stałem jak wryty i patrzałem mu w oczy, nakoniec łzy mi popłynęły potokiem.

—Ot co jest! bięda mi z tobą!— rzekł on, ocierając także powieki. —Prawda, wyznaję, żal mi cię, bracie Michale! przyjacielu mój wierny! Pójdź, uściśniemy się raz ostatni. Ot co jest!

Rzuciłem się wotwarte ręce jego, a wnet upadłem na kolana i nogi jego całowałem...

—Błogosławię cię, synu mój!— rzekł on.—Mnie to niegdyś niegodnego sługę swego, obrał Bóg za narzędzie ku powołaniu cię na drogę zakonnego żywota, który potem razem przebywaliśmy. Jeżeli mi Bóg dozwoli widzieć Najświętsze Oblicze swoje, błagać Go będę, aby ci dał w pokoju i cnocie, jak dotąd, dotrwać do końca. A tymczasem znieś mężnie i z pokorą ten nasz rozdział do czasu.... Ufam w Jego miłosierdziu: On nas połączy... Ot co jest! Idź bracie po spowiednika.

Dzień cały przebywszy na modlitwach i opatrzywszy się w Sakramentach zapasem podróży, jak sam powiadał, na drogę do wieczności, wieczorem zaprosił do siebie księdza kustosza, i za jego dozwoleńiem rozdysponował swoje ruchomości, dając i w tém przykład uległości zakonnej. Bo choć sam nie raz był prowincyałem, i chudoba jego najwięcej z podarunków przyjaciół była złożoną, a zatem najmniej do klasztoru nie należała,

wszelak i tą rozrządzać bez woli zakonnej zwierzchności nie chciał.

—Rób co chcesz, *reverendissime!*— rzekł ks. kustosz. Ja i słuchać tego nie chcę, żebyś miał tak rychło umrzeć.

—Stanie się jak Bóg chce, kochany ks. kustosz! ot co jest! a tymczasem, za twojem pozwoleniem, niech tak będzie:

—Krzyż mój z koronką, który noszę na piersiach, odkazuję bratu Michałowi. Niech on po mojej śmierci zdejmie go z moich, a włoży na swoje piersi, a własny niech mi w zamian da do trumny.

—Ależ, *reverendissime*, to krzyż złoty— ozwał się ks. kustosz— a ziarna koronki ze słoniowej kości. Warto, aby ozdabiał pierś zasłużniejszego w zakonie, równego naprzykład w powadze tobie samemu, ojczy!

—Prawda— odpowiedział starzec— krzyż to złoty, a zawiera w sobie rzecz droższą nad złoto i klejnoty, bo *partykułę* drzewa Krzyża świętego. Ot co jest! Darował mi go razem z koronką ś. p. książę Karol Radziwiłł, ordynat nieświzki, na pamiątkę, że byłem jego spowiednikiem lat sześć, za mego gwardyaństwa w Nieświżu.

—Panie kochanku!— rzekł on, wkładając na mnie tę koronkę— daję waszeci ten krzyż z mojego skarbcu na to, abyś został kardynałem: bo

to krzyż kardynała Radziwiłła, który zostałby pewnie i papieżem, ale w czasie sejmików tam w Rzymie, jakiś włoch kondemnatę jemu zarzucił.

—Ojcie!— rzekłem— ksiądz kustosz słusznie mówi, że krzyż tak drogi, i ze świętości i z pamiątki i z wartości, nie może być na moich piersiach. Zawieśmy go na ołtarzu, jako *votum* za zdrowie twoje, ojcie, i za przedłużenie życia twego.

—Ot co jest! księżę kustoszu!... Ot co jest!— rzekł starzec, a ks. kustosz spuścił oczy.

—Zresztą—dodałem—zapomniałeś może ojcie, że i ten krzyż, który noszę, jest darem twoim?

—Nie, nie zapominałem. Jam włożył na ciebie ten prosty krzyż bernardyński, jam teraz chciał go z tobą zamienić na złoty. Ot co jest! Ale twój projekt jeszcze lepszy. Nie prawdaż ks. kustoszu!

Ksiądz kustosz zarumienił się mocno... co postrzegłszy definitór — *Mea culpa!* — zawołał — *mea culpa!* — zgrzeszyłem! daruj mi, ojcie! daruj konającemu dla miłości Boga! Czyliż mi to czas teraz urągać ze słabości ludzkich, gdy z własnych grzechów mam zdać rachunek?— Chciał starzec całować rękę kustosza; ale skrucha ta jego i pokora tak wzruszyła kustosza, że wyrывая rękę, sam upadł do nóg starca, i — Ojcie świętobliwy!— zawołał rzewnym głosem—mnie błogosław, mnie odpuść i rozgrzesz z winy i zgorsze-

szenia, które pożądaniem krzyża tego, dla złota nie dla świętości jego, popełniłem. *Mea culpa! mea maxima culpa!* Naznacz pokutę, naznacz dyscyplinę, a daruj! to i Bóg miłosierny darować raczy.

Popłakali się ojcowie, ja z nimi trzeci; pokłękaliśmy potem i zmówili *Sub Tuum praesidium*.

— Oto jeszcze mój pektoralik, także w podarunku mnie dany od księcia Macieja Radziwiłła kasztelana, za assystencyę i mowę przy szlubie jego z Chodkiewiczówną. Zaczny to i bogobojny pan. On także poszedł już za księciem Karolem... Oh! wkrótce się z nimi obaczę. Regularny bardzo zegarek, oddaję go tobie, ks. kustoszu!

Ks. kustosz aż odskoczył.

— Nie lękaj się, *reverendissime!* — oddaję ci go jako depozyt, i w obecności oto brata Michała obowiązuje cię, albo żebyś go sprzedał, albo zatrzymując dla własnej wygody, wartość onego rozdał na ubogich za moję duszę. — Nauczyłem cię, bracie Michale, zażywać tabaki; tobie więc, *bona fide*, należą się moje dwie tabakierki i puszka z tabaką. Ot co jest! A także ten kałamarzyk podróżny wygodnym dla ciebie będzie w twoich kwestarskich peregrynacyach, na skład twych raptularzów i dyaryuszów. Szafę z książ-

kami odnieście do biblioteki klasztornej. Jest ich ze dwieście. Niech służą na pożytek duchowny braciom. Reszta ubogich rupieci jest *secundum regulam nostram* własnością klasztorną. Ot co jest! i po wszystkim.

ŚMIERĆ KS. DEFINITORA.

XXVI.

WIECZOREM zasnął mocno nieborak; w nocy wszakże zdawał się zasypiać. Siedziałem w pierwszej celi, pilnując go. O północy wstał i wyszedł nagle ku mnie, aż się przeląkałem.

— A cóż to? bracie! rozumiesz, żem upior?
— rzekł, widząc moje zdziwienie. — Chodź ze mną do kościoła. Zebrałem ostatki sił, aby ostatni raz polecić duszę Bogu w Jego przybytku. Zaprowadź mnie, bo sam nie dojdę. Ot co jest!

— Ależ mój ojcie! kościół zamknięty o tej porze. — Myślałem, że się zapomniął.

— Prawda; ale po drodze zastukamy do brata zakrystyana, obudzim go. Pójdzie z nami i otworzy nam kościół przez zakrystę.

Więc prowadziłem starca przez ciemne kury-

tarze; ale że dobrze wiadome, a mieszkaliśmy na dole, więc stało się, jak żądał.

Brat Hilary, choć zdziwiony i nieco kwaśny z przesenia, otworzył nam jednak kościół.

Zostaliśmy sami jedni; lampa tylko na środku wisząca migała się bladym światłem, a cały kościół był ciemny.

Starzec zdjął z siebie krzyż swój złoty z koronką, ucałował go, mnie dał do ucałowania, i złożył na ołtarzu.— Dzięki tobie, bracie! — rzekł potem do mnie — za myśl zbawienną ofiarowania Bogu tego *votum*. Pamiętasz tę chwilę w Mińsku, gdy w nocy w kościele modlił się z tobą, prosząc Boga, aby duszę twą odjawszy marnościom światowym, skłonił ku służbie swojej; a toż taż sama chwila północna, chwila po kilkudziesięciu latach!... Módl się teraz za mną, prosząc Boga, aby moją duszę, wyzwalając ze świata, przyjął do służby swej wiekuistej. Ot co jest.

Ukląkł starzec na stopniach wielkiego ołtarza; ale nie mogąc się utrzymać na kolanach, krzyżem się położył.... Nie słyszałem modlitw jego, sam leżąc za nim krzyżem na podłodze kościelnej i modląc się serdecznie, słyszałem tylko westchnienia i łkania....

Tymczasem brat zakrystyan oznajmił o nas ks. kustoszowi. Nadszedł on cicho i ukląkł za nami

tak, żeśmy go nie posłyszeli. Powoli i więcej ojców zbierać się poczęło, bo wszyscy kochali i wielbili starego swego definitora, i poklękali obok ks. kustosza. Posłyszawszy szmer niejaki, obróciłem głowę, i postrzegłem ich w cieniu, jak mary klęczące, które lampa kiedy niekiedy migając oświecała.... Mrówie mię jakieś przebiegło.... Po dość długim czasie, gdy nie słyszał ani westchnień, ani modłów starca, bojąc się, aby mu tak długie leżenie krzyżem nie uszkodziło, powstałem, i biorąc go pod ręce, rzekłem: — Wstań, ojcze!...

O Boże! już on nie żył! Przerażony krzyknąłem.

Ks. kustosz i wszyscy bracia przypadli do mnie, zdjęto lampę, oglądaliśmy zmarłego. Oczy zawarte... zimny... ale twarz spokojna, blada, jakby uspiona, a nie zamarła. Bo też i usnął on w Bogu przed jego ołtarzem. Płakałem, oh! płakałem, jak nigdy w życiu nie płakał!!! Położyliśmy trupa na ziemi, zakryliśmy go całunem, i wszyscy znowu poklękli. *Requiem aeternam dona ei Domine!* rozległo się trzykrotnie po ciemnym kościele. Bracia się wysuwali potem w milczeniu i nikli za filarami... ja tylko, klęczący przy zwłokach mojego dobroczyńcy, modliłem się za jego duszę, i dogorywająca lampa migłała po całunie.



XXVII.

Tylko z nałogu już, mój dyałyusz kontynować zaczynam. Cóż mi po nim? Poszarpany, podarty, poszedł w największej części na ogień, pod garnuszki francuzkie. Ledwo tylko kilka sexterników najpierwszych, i ten ostatni potrafiłem wymknąć z rąk tych ludojedów. Wprawdzie niema czego żałować, jednakowoż miło mnie czasami było odczytywać moje własne dzieje. Przez tyle latek zebrało się różnych historyj, różnych ciekawych ewentów, na które *suis oculis* patrzałem; różnych perskrypcyj doktorskich, za które nieraz baranów dostawałem; a dziś tego wszystkiego *pasz!* i nawet kałamarzyk piękny nieboszczyka ks. definitora, *fiat pax* duszy jego, skórą obity, zamykany na wewnętrzny zameczek, potrzaskany i rozłupiony, wała się za piecem. Podobno Bóg za to na mnie to spustoszenie dopuścił, żem sercem mojem nadto był przylgnął do tej mojej pracy, żem często mędrszym się sądził od braci moich, dla tego, że pisałem te raptularze. *Vanitas* to była. Dziękuję więc Bogu i za to zmartwienie, bo ono mię w grzechu poprawia. Odtąd więc choć pisać będę, lecz

nie rojąc ztąd żadnej sobie chluby lub zasługi, i tyle tylko, ile mi czasu zbędzie od klasztornych posług i obowiązków, których, Bogiem a prawdą mówiąc, nieraz się dla raptularzów zaniedbało.

Po śmierci mego benefaktora, jeszcze kilka tygodni przebyłem w Wilnie, ale samotny i chory: bo spać i jeść nie mogłem z wielkiego po nim żalu. Ksiądz kustosz pocieszał mnie łaskawie i nie obarczał mię żadnemi prawie obowiązkami, aż dnia jednego wszedł on do mnie i rzekł:

— Bracie Michale! grzech jest tak srodcze poddawać się żalowi. Jest to sarkać przeciw wyrokowi Boskim. Nie mówię ja, abys zapomniał o swoim ojcu duchownym i serdecznym przyjacielu. Módl się za jego duszę. Tak mu najlepiej odwdzięczysz jego miłość dla ciebie. Ale ponieważ w Wilnie trudnoby ci było uspokoić się, gdy ceta twoja własna przypomina ci w każdym momencie twoję stratę, a zatem postanowiłem wyprawić cię ztąd dla twego własnego dobra. W klasztorze naszym Bienickim (*) potrzebują kwestarza. Ks. prowincyał (a właśnie przybył on przed dwoma dniami) naznacza tam ciebie. Oto masz i obe-

(*) Bienica — miasteczko i klasztor księży Bernardynów w powiecie Oszmiańskim.

diencię. Obowiązek znajomy i upodobany tobie, do którego przez tyle lat nawykłeś, rozerwie cię, a doskonałość w tem twoja wesprze tamtejszą niebogatą naszą kongregacyę. Sęć tylko w tem, jak się tam dostaniesz? Dać ci konia klasztornego, to na pewną stratę; bobyś i miasta nie dojechał, a miałbyś już towarzyszków na kałamaszce, a raczej nie miałbyś i kałamaszki.

— Niema nad czem i myśleć, *reverendissime!* — odpowiedziałem. — Nieraz, jako i powinienem, wyprawowałem się piechotą z klasztoru do klasztoru, a przecież, za łaską Bożą a dobrodziejstwem pocziwych ludzi, na porządnym brykach dojeżdżałem na miejsce. Więc jutro wyjdę, *reverendissime!* Dziś dozwól mi jeszcze pomodlić się na grobie ojca definitora.

— Nic nie nagli, *charissime!* Wybieraj sobie dzień najdogodniejszy. Prócz tego, pomówię z ks. prowincyałem, przełożę mu trudność dostania się do Bienicy, bo i piechotą niełatwo tam dojdziesz, gdy po wszystkich drogach wleką się marodery za armią i rabują a odzierają.

— Nie, ojcze! — odpowiedziałem. — Słusznie osądziłeś, że mi Wilno porzucić trzeba, bo tu darmobym chleb klasztorny zjadał a na żadne zatrudnienie zdobyćbym się nie mógł; a w oddaleniu od tego feralnego dla mnie miejsca, lżej mi

będzie na sercu, w wypełnieniu zaś obowiązków moich znajdę może pociechę. A tak jutro rano, przyjawszy na drogę twoje, *reverendissime*, błogostawieństwo, wyjadę. Maroderów nie lękam się, bo cóż u mnie zrabują? habitu przecież nie zdejmą, bo i ten łątany.

Nazajutrz więc wybrałem się w podróż. Po mszy świętej dał mi benedykcyę ks. kustosz, który od owego krzyżowego wieczora łaskawszym był na mnie widocznie; dawał mi nawet francuzkiego talara na drogę, ale ja podziękowałem, bo nie byłem bez zapasu, z którego wziętem tylko jednego dukata, i tego wkopałem głęboko aż na same dno do tabaki; resztę zdałem w *kustodyę*, pocziwego brata zakrystyana, jemu także zostawując w depozycie do spokojniejszych czasów puszkę piękną cynową z tabaką nieboszczyka ks. definitora, i jedną jego tabakierkę *per modum* srebrną; a drugą prostą drewnianą, ale którą jakby ze złota ulaną szacuję, bo i to jego pamiątka, wziętem z sobą. Oh! czemużem i moich raptularzów nie zostawił? ale nie mogłem jakoś z niemi się rozstać. Spakowałem więc do kałamarzyka, kałamarzyk zawiązałem na plecach, kij w rękę, i w Imie Bożem, pomaluczku, *per pedes Apostolorum!* marsz!



WĘDRÓWKA DO BIENICY.

XXVIII.

CESARZ Napoleon Bonaparte już wyjechał z Wilna, puszczając się za swoim wojskiem, które jak powódź popłynęło ku Dźwinie; ale po wszystkich traktach wlekło się żołdactwo, i pomimo srogich zakazów, rabowało bez miłosierdzia, tak, że wszystkie dwory około traktów, a nawet i kilka mil wgłąb kraju, splądrowane pustkami stoją. Bóg dał tego roku nadzwyczajnie obfity urodzaj. Aż miło patrzeć na pola zbożami okryte! Koszą to wprawdzie zielone zamiast siana, ale gdy i skoszone odrasta, więc zostanie dosyć.

Ledwom wyszedł z miasta, napędziło mnie czterech francuzów. Idą obok mnie. Poglądamy na siebie. Idziem aż pod Niemieże. Nakoniec zaszwargotał jeden do mnie.

Myślę sobie, że to naród oświecony, jak powiadają; między czterma, choć jeden może umie po łacinie? rzekłem więc:

— *Non intelligo linguam gallicam, dic mihi latine vestra dominatio.*

Spójrzeli po sobie, i znowu do mnie po francuzku.

Odpowiadam na los szczęścia: — *Ego sum ex conventu Vilnensi Fratrum Minorum, alias Bernardinorum; Bienitiam proficiscor.*

— *Bon, bon, se bon* — odezwali się; a potem bez ceremonii, dwóch mnie za ręce przytrzymało, a dwóch odwiązali mój kałamarzyk, usiedli na ziemi, i pałaszem około zamku majstrować poczęli.

— Stójcie! — krzyknąłem po polsku już — pieniędzy tu niema — i podałem kluczyk.

— *Bon, bon, se bon* — poklaskali mnie po ramieniu, odemknęli, przebrali papiery, a nic więcej nie znalazłszy, rzucili skrzynkę na ziemię, i poszli dalej. Pozbierałem więc papiery, uwiązałem znowu kałamarzyk na plecach, i rozumiałem, że już między nami *kwita*.

Ale o kilkanaście kroków znowu mnie zatrzymali, zdjęli z siebie dwie cielećinki, to jest, tłómkoki swoje wojenne, i na mnie je gwałtem włożyli. Szamotałem się wprawdzie, krzyczałem i po polsku i po łacinie: — *Non possum, senex et debilis sum!* — A oni swoje: — *Bon, bon, se bon!* Maszyr kamrat, maszyr! — I przy tej perswazyi,

pokazując mi argument *ad hominem*, to jest, bagniet, skonwinkowali mnie zupełnie, tak, że dzwigając dwie cielęcinki, szedłem spokojnie pod ich konwojem.

Co mila luzowali na moim grzbiecie swoje tłómkoki, aby każdy z nich równą miał ulgę, i za każdym takim popasem traktowali mnie wódeczką ze swoich manierek. Dobręj gdzieś Judasze dopadli staruszki. Łyknałem z biedy, choć od gorąca i ciężaru pot ze mnie lał się kroplami; a oni śmieli się jeszcze, szwargocąc między sobą, i znowu: — *Maszyr kamrat!*

Tak wędrowaliśmy aż do Miednik. Nieraz zatrzymałem się, aby odpocząć. No, to niebronno było. Usiadłem sobie na kamieniu i oni koło mnie; dobyłem tabakierki, potraktuję ich tabaczką, zażyją; a jak poczną czchać, to ja krzyczę: — *Vivat!* — a oni w śmiech, i — *Bon kamrat!* — I ja też sobie drwię z nich w duchu. — Oho! mądrzy wy jesteście — myślę — ale zgadnijcież! oto dukat wam pod nosem, a nie zwąchacie! nie! Więc i ja się śmieję. Słowem, w dobrej maszerujemy *komitywie*, ale cóż, kiedy cielęcinek nie zdejmują?

W Miednikach pustki. Dwór, wieś, karczma, plebania, bez okien; kościół stoi otworem i spuszczone; sklepy nawet otwarte i trumny powy-

wracane. Ani żywego ducha nigdzie, prócz kilkunastu kamratów, podobnych moim, a gospodarujących po tej ruinie. Kilka psów wyło na śmietniskach, i kilka kogutów, przelatując ze strzechy na strzechę, piało, jakby urągając rabusiom.

Niedługi jednak był ich tryumf. *Cel, pał*, i kogut na ziemi. Pobili wszystkich. Prosię jakieś wybrnęło na ulicę, i temu w łeb. Garnków po chatach się znalazło, a zatem postanowiono gotować obiad.

Jam się położył na ziemi. Wszyscy pozdejmowali tłómoki, więc i ja odpiąłem moje. Ale też oni i skrzynkę moje odpięli i złożyli razem. Poznałem, że to, abym nie uciekł. — Trudno — pomyślałem — uciekać od takich ichmościów, którzy kulą cię dopędzić mogą.

Rozłożono więc ogień w ogródku wiszniowym jakiegoś chłopka, a do mnie odwrócili się wrzeszcząc: — Kleba! kleba!

— A zkad ja wezmę? — krzyknąłem wzajemnie. — *Nie ma kleba!*

— Nie ma kleba! — powtórzyli załośnie, i pokazali na dwór, do którego iść z nimi musiałem.

Cóż z tego? Próżno tam szukać, gdzie tysiące podobnych mistrzów przed nami szukało. Kręcili

tylko głowami, rozbijając i niszcząc wszystko do reszty, a za całą zdobycz, wynieśli tylko szczypce złamane i pół talerza. Każdy podchodził do mnie i powtarzał: — Nie ma kleba! — Aha, *nie ma kleba!* — odpowiadałem.

Powróciliśmy. Ale jakaż moja była rozpacz, gdy m postrzegł, że kałamarzyk mój rozłupiony, a jeden z tych herodów drze moje raptularze i pod drewka podkłada, aby się lepiej paliły! Wy-rwałem mu ten, który w rękę trzymał, i po-rwałem skrzynkę, w której jeszcze z parę się zostało.

Patrzył mi on w oczy z zadziwieniem i złością, nareście porwał się do mnie z pałaszem, ale moi kamraci podróżni stanęli w mojej obronie. Zaczęła się zwada. Moi także dobyli pałaszów, inni chwycili za karabiny. Więc ja widząc, że przyjdzie do krwi rozlania za moje szpargały, wpadłem między nich i machnąłem ręką, aby się uspokoili. Stanęli zadziwieni.... a ja moję skrzynkę oddałem w ręce podpalaczowi.

Spójrzał on znowu po mnie, postawił skrzynkę na ziemi, a mruczając, odszedł spokojnie i usiadł przy ogniu.

Wszyscy inni rzucili się do mnie, zaczęli mnie ścisnąć, całować, ledwo mię nie udusili; klaskali po ramieniu. — Bon, bon, se bon! Vivat

kamrat! — wrzeszczeli. — Ha! — pomyślałem sobie — ci ludzie rozumieją jednak i znają szlachetność; jakże to dziwno, że rabują i palą! jaka dziwna mieszanina złego i dobrego!

Zakaty smacznyż był nasz rosół, a jak oni nazywali sup, znaczy się *zupa*, którą zgotowali; mieli jednak w swoich blaszankach ryż i sól; a że jeść się chciało bardzo, więc uszła i mnie nawet za najwyśmienitszą. Szanowali już mię teraz, posadzili na pierwszém miejscu, i dali srebrną łyżkę z herbem *Kościusza*, widać u jakiegoś szlachcica zrabowaną.

Gdyśmy po posiłku zabierali się w dalszą podróż, postrzegłem, że każdy z moich pierwszych towarzyszy kładł na siebie swoje tłómoki, a moje pobitą skrzyneczkę, którą ja paskiem moim związałem, podpalacz wziął na siebie. Rozumiałem, że ma ją przywłaszczyć, i już nie chciałem się upominać, aby znowu do batalii nie dać powodu. Poznawszy moję wątpliwość, obrócił się on do kamratów i perorował coś do nich. Wysłuchawszy, uścisnęli go, a mnie na migi dali poznać, że on przez wdzięczność chce mi tę ulgę uczynić. A więc także ścisnąłem go za rękę, i nie chciałem na to przyzwolić; ale on nie uważał na moje protestacye, i poniósł kałamarzyk na siebie.

Pod wieczór weszliśmy do Oszmiany, w której nie można było rabować, bo był komendant placu i niejaki porządek.

Dano żołnierzom kwatery, a ja przed rozejściem się naszym zebrałem ich wszystkich około siebie w kupę, dobyłem tabakierkę i potraktowałem wszystkich, a potem w ich oczach wykopałem z pod tabaki dukata, i okazałem każdemu w oczy... Spójrzeli po sobie, pokręcili głowami, i rozśmieli się do rozpuku. Rozmieniłem i za całego pół rubla kupiłem obwarzanków i rozdzieliłem między kamratów. — Bon! bon kamrat! — krzyczeli; a ja, odebrawszy mój kałamarzyk, udałem się do ojców Dominikanów, którzy mię przyjęli *benevole*; a nazajutrz z blizkim sąsiadem od Bienicy, panem Szczepanowiczem pisarzem, bezpiecznie i wygodnie tu zdążyłem.



NIEBOSZCZYK KOCIELŁ.

XXIX.

PAN pisarz, wielki *gadativus*, prawił mi w drodze rozmaite historye; ale między niemi rozpowiedział ciekawą rzecz o saméjże Bienicy, do

której dążyłem; co, wedle mego zwyczaju, zapisuję tutaj.

— Czy już mieszkałeś kiedy w tej rezydencji? — zapytał on mnie.

— Nie. Pierwszy raz tam będę.

— To nie wiesz zapewne, z jakiej pamiątki założony tam wasz kościół.

— Nie wiem, dobrodzieju!

— To ja ci powiem.

— Proszę najuniżeniej i słucham.

— Oto tak było (*). Dobra te należą oddawna do możnej i bogatej w Litwie familii *Kociellów*. Jeden tedy z ich *antenatów* powracał z jakiejś podróży do domu, a mieszkał pono w *Mołodecznie*, bo i *Mołodeczno quondam* do Kociellów należało, i niedawno jeszcze *per exdotationem* przeszło do imienia *Ogińskich*. Przełęknięte czegoś tam na drodze konie jego uniosły, wzięły na kieł i leciały jak szalone, cugle pękły, stangret spadł z koeł, a pan *Kociell* bez żadnej *salwy*, widząc widoczną swą zgubę, polecał się tylko Bogu. Nagle przyszła jemu myśl, od Boga widać natchnięta, uczynić jakie pobożne *votum*. Postanawia więc wymurować kościół i uczynić fundusz na tém miejscu, gdzieby konie stanęły.

(*) Podanie. — *N. w.*

Ledwo myśl ta jak błyskawica mknęła mu po głowie, gdy konie, jakby najsilniejszą ręką w tył targnięte, zaryły się i stanęły.

Pan Kocięł wysiadł z karocy, ukląkł na ziemi, zmówił pacierz, czy jakąś tam *pitumannę* modlitewkę swoją, ponowił *rotum*, i we dwa lata na tém samém miejscu słuchał mszy świętej, gdzie mu Bóg życie zachował.

Mało na tém, mości dobrodzieju! — podkościółem zmurował on dla siebie w ziemi sklepik osobny, i przeżywszy matuzalowe lata, tam się i położył. Lecz gdy czuł się słabym, kazał odmalować swój portret w całej postaci, przy nim stolik, pod stolikiem szkatułę otworzoną, a w szkatule kilka worków z pieniędzmi jakoby; nawet na każdym worku ponaznaczał malarz z rozkazu jego liczbami sumę, którą on podyktował; i portret ten obok swego łóżka na ścianie zawiesił.

Dziwili się wszyscy i odgadywali, co by to miało znaczyć? aż gdy wkrótce pan Kocięł oddał duszę Bogu, znaleziono rozporządzenie jego własnoręczne pod głowami, że obraz ten przenieść on rozkazuje do kościoła, i umieścić na ścianie nad jego sklepikiem; że summy na workach oznaczone, są zakopane w jego grobie i przeznaczone na podźwignienie kościoła Bienickiego, jeżeli kiedy uległ zupełnej *konflagracie*; lecz aby bez

takiej tylko ostatecznej potrzeby dobyte mi nie były, sam zatem ich strzedz postanowił, i dla tego w grobie własnym one zakopał, i świętokradzkim lub chciwym rękom nie da.

Otoż tedy przed laty kilkadziesiąt spalił się dach na klasztorze Bienickim; a był natenczas gwardyanem świątobliwy i przykładny kapłan, którego sam dobrze pamiętam, bom był potem na jego powtórnej *prymicyi*, ksiądz *Czapkowski*, i umarł on w Bienicy, przeżywszy lat sto z górą. On tedy osądził, że właśnie stał się *casus* naznaczony przez fundatora, i że może poruszyć strzeżonych przez niego worków.

A więc po solennych exekwiach za duszę jego, przystapiono do odwalenia wielkiej i ciężkiej plity marmurowej, pokrywającej grób pana Kocięła.

Że nie chciano publikacyi téj roboty, więc wzięto się do niej w nocy, przy lampach, i w zamkniętym kościele, a kilku tylko *patrów* i przy nich kilku zaprzysięgłych braciszków pracować zaczęło.

Mrówie wszystkim po skórze przechodziło, i robota szła niesporo. Ks. Czapkowski modlił się bez przestanku i kroił pracujących, ośmielając ich i tłumacząc, że pieniądze te pójda właśnie podług woli pana Kocięła, i że tyle tylko z nich weźmie, ile konieczna potrzeba wymaga. Nakoniec podwa-

żono kamień i podjęto na dragi... Grób otwarty... Pokropił go i schylił się doń ks. gwardyan, chcąc zajrzeć w głąb...

Wtém lampa, jakby z rąk mu wyrwana, wpadła do sklepu i rozprysła się tam z brzękiem i dźwiękiem, a razem kamień runął z łoskotem na swoje dawne miejsce i rozrysował się na kilka części.... i na dobitkę, w tym samym momencie, ogromny a okropny trzask, jakby łamiącego się muru, ogłuszył wszystkich, i wszystkie lampy pogasły...

Ojcowie i bracia padli na ziemię, jak nieżywi, a każdy posłyszał jakby ponuro szepnięte sobie nad uchem: *Requiescat in pace!*

—Więc pan Kocięłł nie dał pieniędzy?

—A oczewiście nie dał, i miał rację: bo klasztor, to nie kościół, mospanie! a nawet zawarował sobie pokój przez to *requiescat in pace!*

Otoż jak przyjdiesz do Bienicy, możesz i obaczyć ten portret, który i teraz znajduje się na swoim miejscu; kamień nad grobem porysowany na kilka części i szczelinę wielką na ścianie kościelnej, którą nazajutrz postrzeżono, i którą chociaż zaprawiają, znaczną jest jednak i do dziś dnia.

Jakoż, przybywszy tu, wszystko własnemi oczami obejrzałem.



P R Z E D K W E S T ą.

XXX.

„**I** komuż zbiegło kiedy na myśl pytać się kwe-
 „starza o jego przeszłość i rodzinę? Zapytują ich
 „tylko, gdzie nocowali przeszłej nocy? i czy już
 „po śniadaniu? Po czém nie czekając ani twier-
 „dzącej, ani odmownej odpowiedzi, (bo też na to
 „zimne pytanie porywa jakaś taka złość człowie-
 „ka, że nawet po gwardyańskim śniadaniu go-
 „tówby był odpowiedzieć, że nie szkodziłaby *jaka*
 „*taka przekąska*), rozkazują służącemu przynieść
 „wódeczki dla *jegomości dobrodzieja*, dają napręd-
 „ce znak ekonomowi, aby wybrał tam jakiegokol-
 „wiek pół-żywego barana, i zostawują cię przy
 „stoliku nad darem Bożym, nie pytając się już o
 „nic więcej. Tym świeckim ludziom zdaje się nie-
 „mal, że kwestarz bernardyn musiał się urodzić
 „bernardynem. I jak, pytam, po takiej czułości

„ze strony ludzi, zakonnik niema nabrać wstrętu
 „do świata, i nie zamiłować swojego konwentu? (*)”
 Tak mi się skarżył brat *Placyd*, mój poprzednik,
 kwestarz w téjże Bienicy, a który, zniechęcony tą
receptą ludzką, nie chciał już więcej kontynuo-
 wać swęj peregrynacyi, i przyjął kanaparstwo po
 zmarłym bracie. Dla tego mię i sprowadzono
 z Wilna.

Niestety! prawdę on powiadał. Sam nie raz by-
 wam tak przyjęty; i tém bardziej mnie to mar-
 twi, że przypominam czasy, gdy wcale inaczej by-
 ło; gdy wyprawując mię raz pierwszy na kwestę
 nieboszczyk ksiądz *Ot co jest*, upewniał mię, „że
 „jest jakaś powszechna domowa skłonność dla Ber-
 „nardynów; że pobożność, dobroczynność i ludz-
 „kość żyją na Litwie; że kwestarzy z gotowym
 „baranem oczekują jak bocianów na wiosnę; i prze-
 „powiadał, że źle będzie na świecie, gdy cnoty te
 „wygasać będą; gdy szczerość, prostota i pokora
 „nie będą już trafiały do serca: bo wtenczas jad
 „niedowiarstwa i pogardy naszej świętej religii
 „rozszerzy się, jak plaga egipska między naro-
 „dem. (**)”

Otoż i zgadł. Patrzył on nawet na to zgorsze-

(*) Of. d. c.

(**) Patrz wyżej, wyjazd na kwestę.

nie, martwił się, *fulminował* z ambony, i przypominał mi swoje prorocstwo. A jednakowoż przed śmiercią nie raz mi powiadał: „Nie bójcie się, kupcie się tylko około krzyża z gorliwą wiarą i nadzieją. *Et crux triumphabit super aspidem et basiliscum!* Bo Bóg, nie opuści sług swoich, i nie poda na poniewierkę niebożnym swojej świętej „nauki!” Dajże Boże, aby i to drugie prorocstwo jego sprawdziło się czem prędzej.

Oziębłość więc ta dla nas biednych kwestarzy, na którą tak się zawziął ksiądz Placyd, jest to mała gadzinka, biorąca jad swój z wielkiej kałuży niedowiarstwa po świecie rozlanej: bo to mało na tem, że nawpółżywego dadzą barana, że potraktują wódeczką, od której człowiek trzy dni kotłem swędzi, ale jeszcze w domu szlachcica, którego ojciec poczciewie Boga chwalił i ludzi szanował, posłyszysz nie raz wyrazy i zdania, o których ani mu się śniło nawet. Religia, to *fanatyzm*; zakonnicy, to *popi*; artykuły wiary, to *zabobon*. W piekło jegomość nie wierzy, czysca nie lubi, na niebo nie zasługuje, i sam nie wie, gdzie podzieje się po śmierci. Filozofia! filozofia! to u niego grunt, której że ja nie znam i znać nie chcę, to rzecz naturalna; ale że i oni nie znają, to tak mi Panie Boże dopomóż!

Nie raz, a co mówię nie raz? nie sto razy uszy

mi wiedły, słuchając takich bredni; a zawsze wołałem się odrzec barana, jak potakiwać bluźnierstwu. Opisywałem ja takie wszystkie zdarzenia w moich raptularzach, i jak mi udało się nie raz i niejednego niedowiarka *skonfundować* po kwestarsku, jak niegdyś owego francuza u starosty; ale to wszystko z dymem poszło pod francuzką zupą w Miednikach. _____

Gwardyan nasz w Bienicy, *simplex Dei amicus*, był niegdyś professorem *Infimy* w Cytowianach, na co niewiele potrzeba *sapientii*. Ledwom wysiadł z wozu, ucieszył się mocno, i mówił szybko, cieżko, jakby lekcyce recytując:

—*Salve* bracie! bratuniu! bratunieczku! *salve!* Jedź, jedź, jedź zaraz, kwestuj, zbieraj, proś, bracie! bratuniu! bratunieczku! bo z głodu poumieramy. Objedli nas Francuzi. Na trakcie żyjemy. Gwałtu! Kiedym był professorem *Infimy* w Cytowianach, zjadałem pirogi i łakocie od mamuniek mnie nasyłane, a teraz *panem nostrum quotidianum careo*. Jedź, bierz, co dawać będą. Ziarnko do ziarnka, zrobi się miarka. Ratuuj, bracie! bratuniu! bratunieczku! Konie wszystkie pozabierali. Jedź!

—A na czemże pojedę, kiedy wszystkie pozabierali?

—Zostawili jednego swego herharę. Osedniony i chudy, ale pod konno dobrze chodzi. Smaruj go łożem i jedź, bracie! bratuniu! bratunieczku!

—Jest jeszcze jedno *impedimentum grave* — rzekłem.

—*Impedimentum* — przerwał mi staruszek — *est generis neutrius. Gravis, grava, gravum, vel grave*, dobrze zgodziłeś. *Latine scis, bene et valde bene*: bo teraz łaciny nie usłyszysz ani za grosz, *amantissime fratercule!* to jest, bracie! bratunieczku! Kiedym był professorem *Infimy* w Cytowianach, to żaki moje, pilnując *notalingwy*, lepiej gadali po łacinie, jak dzisiejszy pan jaki marszałek lub podkomorzy. A co do zgodzenia *generis masculini cum foeminini...*

—Ale *reverendissime!* nie o to idzie — przerwałem mu niecierpliwie. — *Impedimentum grave* jest w tem, że jak kwestować, gdy marodery wszędzie się włączą? Gdybym i dostał baranów, lub jakichkolwiek wiktuałów, to odbiorą pewnie. Daj Boże, abym sam przynajmniej na sucho uszedł.

—Manowcami, bracie! bratuniu! bratunieczku! lasami, błotami, jedź, dojeżdżaj, gdzie można.... *Prewodyra* schowałem w lesie, zajedziesz po niego. Ratuj! jedź!

Widziałem, że nic nie pocznę z moim głodnym

gwardyanem, poszedłem więc przygotować jakkolwiek wyprawę, choć źle bardzo o niej tuszyłem.

Nazajutrz urządziwszy jak mogąc kałamaszkę, i założywszy owego wielkiego kusego konia, zjechałem przed klasztor.

—Jedź! jedź! bratuniu! bratunieczku!— wołał na mnie z okna pocziwy professor *Infimy*.

—Właśnie przyszedłem po benedykcyę twoję, *reverendissime*, na drogę.

—*Adde: reverendissime pater!* bracie! bratuniu! bracie! bratuniu! bratunieczku! bo kiedy byłem professorem *Infimy* w Cytowianach, inaczej mnie nie nazywano. A zresztą *benedykuję, benedykuję*; ale spraw tylko, abyśmy mieli co *benedykować* na stole.

—Przynajmniej-że daj mi innego woźnicę. Cóż pocznę z tym małym chłopczykiem? Jemu do mszy służyć, ale nie kwestarza wozic. Któż dopilnuje wozu, konia i baranów, jeśli ich Bóg zdarzy?

—A zkądże wziąć inszego? Ten co był i wozził brata Placyda, za młodu traktował żołnierkę. Postrzelany jak sito i pokiereszowany, przywłókł się tu nie wiem zkąd, i ufundował się w klasztorze, jak mówił, przy ołtarzu do śmierci. —Bóg tam z nim— pomyślałem sobie— *restat*: bo prócz

tego, od razu pojął się do woskowni i wyśmieni-
cie stoczki ciągał. Ale potem zachciało się mu
jeździć po kweście, a nie chciał włożyć habitu;
więc na to powiedziałem: —*Nego*. Bo kiedyś był
professorem *Infimy*....

—Ależ, *reverendissime*! czas nagli.

—To nic, bracie! bratuniu! bratunieczku! Słu-
chaj tylko. Otoż uparli się oba z bratem Placy-
dem. Ja swoje, oni swoje. Skończyło się na tem,
że on *semi-socyusz*, *semi-woźnica*, ofiarował się
towarzyszyć kwestarzowi. Rzekłem tedy: —*Con-
cedo*.— I dobrze się powodziło; bo ten *peregry-
nant* zawołany, prawiąc wszędzie *mirabilia* o swo-
jem życiu, o krajach, gdzie bywał i wojował, o
bataliach i szturmach, brał za to barany jak grzy-
by. My sami słuchamy bywało jego rozziawiwszy
gęby. Kiedy byłem *professorem Infimy w Cyto-
wianach*, to jeografię na klasę pierwszą sam u-
miałem na pamięć; a bywało nigdy nie mogę roz-
gatunkować, w której części świata on bywał i
wojował.

Otoż jak tu napłynęło wojsko, jednego dnia
poznał on swoich dawnych towarzyszków; napro-
wadził tu ich do klasztoru. Nie rabowali-to oni
wprawdzie, ale objedli i opili nas do szczeru; a
nasz *semi-questarius* chwycił w rękę karabin i po-
maszerował z niemi szczęśliwie.

Ad felix videndum! bracie! bratuniu! bratunieczku! rzekłem, i po wszystkimu. Bez niego, ani brat Placyd kwestować chce, ani furmana gdzie dostać. Jednakże to nic nie szkodzi, jedź! Chłopak twój choć mały, ale szprytny. Trzymaj go tylko w *subordynacyi*; bo kiedy byłem *professorem Infimy w Cytowianach*, to to bywało *corona asinorum* na głowę i *slectat*, a wnet żaki szarf!... razu jednego....

—*Vale*— rzekłem— *reverendissime! vale!* *Ad felix videndum* — i siadłem na kałamaszkę.

—Jedź! jedź! bratuniu! bratunieczku! *benedykuję* i oczekuję! ratuj! oczekuję i *benedykuję!*



K W E S T A.

XXXI.

PAN BÓG jednostajnie co rok obdarza nas darami swemi, ale tego roku nadzwyczaj nam błogosławi w urodzajach. Jakie piękne zboża! jakie bujne kłosa! jaka obfitość daru Bożego! Ale wojna! wojna!... chociaż teraz przeszła jak wicher, i grzmi gdzieś daleko od nas, ale jeżeli powróci bron

Boże, połknie wszystko, a może i nas samych.
Bądź wola Twoja Panie!

Wyjechawszy z klasztoru, zawróciłem na manowce, bo ta jedna rada kochanego ojca profesora *Infimy* w Cytowianach, była dobrą. Już też i wypędzeni strachem i rabunkami mieszkańcy powracali do domów i krzatali się około gospodarki.

Nie tak bardzo i oziębłe mnie przyjmowano. Wszyscy ze zwyczajnego toru zbici, o niczem nie myślą i nie mówią, jak o tem, na co patrzą; a niespokojnie wyglądają, co będzie? W takiej niepewności niema czasu do filozofii. *Kiedy trwoga, to do Boga*. Wprawdzie gdzie przeszedł rabunek, trudno żądać jałmużny; ale jednakże nie jeden gospodarz, widząc na polu i ciesząc się z pięknego żytka lub pszeniczki, a niepewny, czy one szczęśliwie zwiezie do gumna, na tę *intencję* ofiarował mi assygnatę na jesień i do klasztoru odesłać obiecał; nie jedna mamunia, zaprowadziwszy mię w kątek, z płaczem wetknęła rubelka, na *intencję*, aby synek szczęśliwie z wojny wrócił; a nikt przecie do świętej *filozofii* na mszę nie dawał. Przyszło mi jednak spotkać się i z tą zarazą, a to jeszcze na tem samem miejscu, gdzie niegdyś cnoty chrześcijańskie najozdobniej kwitnęły — jako o tem niżej.

Już o mil dziesiątek oddaliłem się od klasztoru ku Niemnowi, i kilka baranów wlekło się za przewodyrem, gdym zdaleka dostrzegł dwór wielki, a we wsi dowiedziałem się nazwiska pana. Nazwisko to przypominałem wnet: dwór to był bowiem starosty, ów, w którym przed laty tak hojnie obdarzony byłem. Dowiedziałem się także z żalem, że oboje to bogobojne państwo pozmierzało; że syn ich, to miłe wtenczas paniątko, sukcedował po rodzicach, i jest we dworze. A więc choć pora była spóźniona i ciemno już, w Imię Boże zawróciłem do dworu.

Cóż mi się w duszy smutno zrobiło, gdym wjeżdżał na dziedziniec.... czy to przypomnienie lat młodszych i lepszych? czy pocziwych ludzi, których tu poznałem, a niepewny byłem, że żyją jeszcze?... Oj czas, czas! Dobrze mówił nieboszczyk mój ks. definitor: *Tempus edax rerum!* a w przysłowiacli wojewodzińskich stoi: *Contra vim mortis non est medicamentum in hortis*—przeciw srogięj libitynie *nie masz rady w medycynie!* Zawinie się ona bodaj wkrótce i koło mnie.

Tak dumając, kazałem chłopcowi poszukać stajni, i sam szedłem, gdzie się świeciło, a świeciło się tylko z okien jednego pałacowego skrzydła.

W sieniach ani żywego ducha. Dalej przesze-

dłem jeszcze kilka pokojów, kierując się na krzyki i śmiechy, które mi do uszu dochodziły.

Wszedłem nakoniec do wielkiego pokoju, i znalazłem siedzących za stołem kilku panów, jednych z żołnierska, innych z węgierska ubranych, hołdujących królowi egipskiemu i razem Bachusowi: bo przed każdym kupy złota, karty i kielichy z winem stały.

—Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

—A to co za pop?— razem wymówili.

Nie było ani z jednej, ani z drugiej strony odpowiedzi.

Znowu powtórzyłem: — *Laudetur Jesus Christus!*

I znowu zamiast chrześcijańskiego responsu—
Zkąd cię tu lichy przyniosło?

—A— pomyślałem sobie— pięknie trafiłem!

—Jestem ubogi kwestarz—rzekłem nakoniec.—
Rozumiałem, że trafiłem do chrześcijańskiego dworu; ale, jak widzę, wpadłem do jakiegoś *Pandemonium*, bo i na chrześcijańskie pozdrowienie nie odbieram zwyczajnej odpowiedzi.

—Zresztą, na wieki wieków— odezwał się jeden z nich.— Kto cię tu wpuszczał?

—Nikt nie wpuszczał, i nikt nie bronił wejścia: a niegdyś wejście do tego pańskiego pałacu nie było bronionem dla pocziwych ludzi.

— No, no, popie, nie gniewaj się. Albożes tu był kiedy?

— Byłem, i nie zapomnę tego dnia, w którym poznałem zacnego, wspaniałego a bogobojnego pana tutejszego, starostę... Niech w chwale Boskiej świeci jego dusza. Rozumiałem, że znajdę teraz podobnego ojcu syna, z którego natenczas cieszyłem się: bo w maluczkiej dziecinie już pańskie i chrześcijańskie okazywały się cnoty; ale widać, że go tu niema; a zatem na pożegnanie jeszcze raz *Laudetur Jesus Christus!*

— Stój! księżu! — rzekł powstając od stołu i rzucając karty mężczyzna w mundurze gęsto srebrem szytym. — Jam jest syn starosty.... i gospodarz tego domu....

— Tak, tak — dodał jakiś podpity sampan — to nasz półkownik, hrabia... Czołem, popie! bo cię skropię!

— Mógłbyś to i uczynić, dobrodzieju! — odpowiedziałem — bo trzymasz kielich pełny, a sam jużes się tego, jak widzę zakropił.

— Brawo! — rzekł inny. — Masz za swoje! To po kwestarsku. Skropże go za to, to jest, oddaj mu swoje szklankę.

Odsunąłem podawaną szklankę, a w milczeniu patrzyłem na starościca. On także na mnie.

— Znales mię dzieckiem powiadasz?

— Znałem, znałem cię, gdyś miał obok siebie anioła i diabła, to jest, księdza kapelana i francuza. Oh! któryż zwyciężył?

Odwrócił się starościc, przechadzał się po pokoju, przecierał czoło... to patrzył na mnie, to się odwracał; odsunął także podawany mu kielich...

— Tak — rzekł potem — tak, miałem przy sobie jakiegoś fanatyka... a może był i pocziwy człowiek. Umarł....

— Przecież za sprawą tego fanatyka — rzekłem znowu — serce twe młodziuchne skłaniało się ku dobremu. Ofiarowałaś mi natenczas dukata, który ja z płaczem i błogosławieństwem przyjmowałem, a teraz....

— A teraz rozumiesz-że mię być niehumanym? Masz oto pięć takichże samych dukatów — rzekł, biorąc je z kupy złota na stole.

— Dobrodzieju! — rzekłem — gdybyś mi i całe złoto, które widzę na stole, oddał, nie będzie ono tyle u mnie znaczyło, ile tamten dukat. Rozumiesz mię, panie, dla czego?

Starościc znowu przeszedł kilka razy salę zadumany. Goście nań poglądali i na mnie z ukosa.

Nakoniec, jakby gwałt sobie czyniąc, odwrócił się do mnie. — Kaprysisz się, księżu! — rzekł. — Co było, to było... przeszło... a dukaty zawsze jednostajne...

Wtém wszedł lokaj i zawołał: — Wieczera!

— Proszę — rzekł starościc — do kompanii i ciebie, księżu! Przypomnimy się lepiej przy półmisku i szklance.

Gdyśmy usiedli do stołu, (a było to w téjże samej sali, gdzie przed dwódziestą z górą laty obiadowałem), przypomniły mi się wszystkie osoby, z którymi wówczas zasiadałem; stanęły mi w oczach... i oczy zaszyły mi łzami. Nie jadłem: bo i prócz tego, był to piątek, a mięso na stole. Milczałem; podobno nawet na kilka kwestyj nie dałem responsu; a tymczasem cała wrzaskliwa drużyna gładko zajadała, a jeszcze gładziej piła.

Nakoniec odezwał się ten sam jegomość, który mię chciał skropić: — Cóż milczysz? popku! Zarwę cię z teologii. Powiedz mi: gdzie w człowieku dusza siedzi?

Obudziłem się jak ze snu. — A wspomóżże mię, Panie! — pomyśliłem — skonfundować tego chłystka.

— U żołnierza — odpowiedziałem — który nie broń, ale szklankę ma w ręku, dusza siedzi w piętach.

Przygryźli usta wszyscy, uśmiechnęli się niektórzy i spojrzeli po sobie, a *homo quaestionis* krzyknął:

— Słuchaj popie! ostrożnie z żartami, bo ci własną duszę wycisnę.

Pomiarkowałem, że tu za kwestę guza tylko dostać mogę, więc wstałem od stołu i wynieść się chciałem.

— Dokąd? księżu! — rzekł starościc, czy półkownik, jak go nazywano. — Nie uciekaj, bo dowiedziesz, że u ciebie dusza w piętach. Przebaczam ci żart, bo nie wiesz dla czego jeszcze tu jesteśmy. Gdy czas przyjdzie, powinności naszych do munduru przywiązanych nie zaniedbamy. Zresztą nie lękaj się: w moim domu nikt cię nie skrzywdzi. A ty — dodał, obracając się do pytającego się sampana — siedź i pij. Nie umiesz teologii, i dla tego cię zjeździł, a przy tobie i nam się dostało. Nie idzie o to, gdzie dusza siedzi, ale czy jest dusza? na tém grunt.

— Dowiedz mi, kwestarzu, że jest dusza, to ci dziesięć baranów dać każę! albo lepiej dam ci dziesięć dukatów, bo baranów podobno w całej ekonomii nie ma.

— A co? zabrakło ci konceptów?

— Dobrodzieju! — rzekłem do starościca — dziś nam wszystkim nie do dysput, a tém bardziej w takiej ważnej materji. Jutro odpowiem na kwestę pańską, a dziś wszystkim dobrodziejom życzyłbym porzucić służbę bachusa, bo to bożek

pogański, a pójść zaraz spać, abyście z duszami przynajmniej wstali.

— No, to do jutra nasz zakład — rzekł starość.

I nie mogłem inaczej zrobić, jak odłożyć, a namyślić odpowiedź: bo pierwszą nastroczyło mi przysłowie zwyczajne, że u tchórza dusza w piętach; ale na drugą, zarwany tak *insperate*, zdobyć się nie mogłem.

Wyszedłszy z sali, szukałem noclegu, bo nikt się o mnie nie frasował. Ujrzałem światelko w oficynie niegdyś marszałkowskiej, tam się więc zawróciłem.



STARY MARSZAŁEK DWORU I STARY REZYDENT.

XXXII.

— *Ave Maria gratia...* — posłyszałem jeden głos, wchodząc do izby, i drugi odpowiadający: — *Sancta Maria Mater Dei...*

— A! pomyślałem sobie — tu przecież trafię po myśli. Może to i pan marszałek dawny trzepie różaniec.

— *Laudetur Jesus Christus!*

— *In saecula saeculorum!* — odpowiedziało dwóch razem staruszków, siedzących przy stoliku i niżących ziarnka koronki. Jeden z nich w białym dymkowym żupaniku, a drugi w tabaczkowej kapotce; przy jednym stała trzcina ze srebrną gałką, przy drugim leżała klapka na muchy.

— Może dobrodzieje przyjmiecie mnie trzeciego — rzekłem — za socyusza do koronki, i trzeciego starca do kompanii?

— *Cum apertis manibus* — odezwał się staruszek biały. — Dawno już takiego gościa Bóg nam nadarzał.

— Niegdyś, a to bardzo dawno, sam byłem gościem w tych progach; i zdaje mi się — mówiłem, wpatrując się w witającego mię jegomością — że oglądam, a oglądam z pociechą prawdziwą, marszałka dworu zeszłego starosty?

— Tak, tak, *quondam* — odpowiedział, pokręcając siwego wąsa. — Radbym wiedzieć, kiedy to było?

Tymczasem tabaczkowy staruszek wpatrywał się we mnie. Poznaję, przypominam — odezwał się on. — *Anno millesimo septingentesimo....* był tu brat kwestarz, którego zapomnieć długo nie mogliśmy, którego nieboszczyk starosta co rok wyglądał, który budowniczego Kwetkę i francuza skonfundował gracko....

— Ten sam — przerwałem — ten sam — i obaj starce rzucili się mi na szyję, i obaj całowali i ściskali najkordyalniej.

— Więc dobrodziej jesteś ów pan chorąży, rezydent na dworze starosty?

— Rezydent i teraz z łaski jego, bo zapewnił on mnie aż do śmierci *victum et amictum* w swym testamencie, jako i wszystkim, którzy się jego pańskiej klamki trzymali. Daj mu Boże niebo!

— Widziałem i Jaśnie wielmożnego starościca, teraz, jak uważam, wojskowo traktującego, bo go półkownikiem nazywają, i hrabią nawet. Wiadac, że niedawno nim został, bo zeszyły starosta tak się nie *magnifikował*.

Obaj starce kiwali smutnie głowami. Nakoniec rzekł marszałek: — W pałacu *Sodoma i Gomora*.

— Nie widziałem i ja tam nic dobrego. Ale zkadże to przyszło, że syn tak zacnego i bogobojnego ojca, jak uważam, wcale inny?

— Oh! długoby gadać jegomości o naszych nieszczęściach i dniach opłakanych. Siadaj, *charissime!* Dość ci pokrótce powiedzieć, że po śmierci obojga naszych państwa, która nastąpiła niespodzianie w lat kilka po twojej tu bytności, bo starosta we trzy miesiące poszedł za swoją żoną *ad patres*, opiekunowie, bodaj z piekła nie wyszli, wywiezli panicza i panienkę na edukację

do Warszawy. Poczciwi my a życzliwi słudzy ich, błogosławiliśmy ich z płaczem, i oczekiwaliśmy potem powrotu paniąt naszych, jak wybawienia z niewoli babilońskiej; aż tu nam po długiem oczekiwaniu powiadają, że starościanka poszła za mąż, a pan starościc pojechał na wjazd do Paryża. Powrócił aż po latach pięciu. Pożal się Boże! wyjechał od nas miłym, pobożnym, ślicznym panięciem, a przyjechał... Ale *non licet mihi* mówić źle o synie mojego pana i benefaktora... Już to on, widać, pod taką *konstellacyą* urodził się.

— A u wasana wszystko *konstellacye*, same *aspekta* niebieskie i *horoskopy* w głowie — przerwał chorąży, i zwrócił do innego obiektu ciekawe dla mnie opowiadanie marszałka o starościcu.

— A jużci też pewniejsze moje *aspekta* — odpowiedział z gniewem marszałek — niż waspana *Apokalipsy*. Teraźniejszy kometa nawet nic nie znaczy u waspana? Przecież jak tylko się pokazał, wnet przepowiedziałem, że będzie wojna; a jak wsiadł na wozek niebieski, czy nie mówiłem, że przywiezie biędę na cały świat? To jeszcze będzie wielkie szczęście, kiedy nas ogonem nie muśnie, bo wtenczas zapadniem. A tymczasem czy nie prawda? czy niema wojny i biedy?

— Tak; ale waspan mówiłeś, że taki sam kometą świecił, gdy Jan III szedł na Turka pod Wiedeń, i pokazywałeś go namalowanego w Janinie; to prorokowałeś, że i teraz Turcy tu przyjdą...

— Nie prawda. Mówiłem tylko, że i Turki będą w robocie. A czy nie są? Proszę tylko spojrzeć na kometę, a najbardziej na jego ogon: w którą stronę...

— Gdy pan marszałek zwrócił się do okna, pan chorąży, pokazując nań wzrokiem, kręcił palcem po łbie, i zcicha mi powiadał: — Ma... ma...

— Marszałek wpatrywał się w kometę, a rezydent rzekł do mnie: — Co innego zupełnie, gdy ja jak na dłoni tłómaczę. że wszystko, co się dziś dzieje, stoi wyraźnie w *Apokalipsie*.

— Winszuję — przerwał śmiejąc się marszałek.

— Wolno śmiać się — mówił także obrażony chorąży — wolno śmiać się; ale czy nie mówiłem waspanu dawniej, że *Appolion*, anioł przepaści, *exterminans*, jest to *Napoleon*. Różnica o literę nic nie znaczy.

— A przecież — przerwał marszałek — *litera nocet, litera docet*.

— I uważ jegomość — mówił dalej rezydent, nie zważając na przekąsy kolegi — jak tu wszystko kwadruje się:

— Baranek otworzył jedną z siedmiu pieczęci (bo już to pewnie otworzył). „*I oto okazał się koń biały, a ten, co na nim siedział, miał łuk* (łuk czy pałasz, wszystko jedno, byle broń), *i dano mu koronę, i wyszedł zwyciężając, aby zwyciężył (*)*.” Aż dowiaduję się teraz, że i Napoleon na białym koniu jeździ.

— Prawda — rzekłem — sam go na białym koniu widziałem; a ma go, jak mi powiadano, aż z Egiptu.

— O to, to, to, to — rzekł żwawo uradowany staruszek, tupając aż nogami — o to, to, to, widzisz waspan, z Egiptu, z pod Babilonii, „*i dano mu koronę, i wyszedł zwyciężając*.” Jak nie wstyd nie wierzyć?

— A w drugim miejscu znowu co pisze?

„*I widziałem niebo otworzone, a oto koń biały* (znowu koń biały, widzisz waspan), *a siedzący na nim sądzi i walczy, a oczy jego jako płomień ogniowy*.” Wszyscy mówią, że oczy Napoleona przeraźliwe.

— Prawda — odezwałem się — sam to widziałem także i doświadczyłem: czarne, a świecą jak karbunkuły.

— O to, to, to, to, to. A mójże ty dobro-

(*) *Apocalipsis*, Rozdział VI.

dzieju! O to, to, to, masz waspan żywego świadka.

Marszałek kiwnął głową.

— Nie wierzy, dalibóg nie wierzy! Niechże cię bestya o siedmiu głowach połknie!

— Dalej tak stoi: „*A na głowie jego wiele „koron, a obleczone był szatą krwią zmoczoną.*” Chybaż waspana jaka gwiazda oślepiła! To już jak łopata w głowę. Na dobitkę jakież to wojsko tego Apoliona. Oto szarańcza: „*a podobieństwo szarańczy, koniom zgotowanym na wojnę, a twarze „ich jako twarze człowiecze, a miały pancerze, „jako pancerze żelazne, a ogony podobne nie- „dźwiadkom.*” Albo znowu: „*I takżem widział „konie, a siedzący na nich mieli pancerze ogniste.*” Cóż tu mospanie i wątpić? Francuzów jak szarańczy; chmurami idą i niszczą wszystko; a sami widzieliśmy, jak onegdaj przyjeżdżał do naszego pana *ad praesens* półkownika, zbrojny rycerz w pancerzu ognistym, i z włosistym ogonem na głowie....

— I pewnie z twarzą człowieczą — przerwał znowu marszałek. W tém tylko sęk, że, jakeś wasan wczora czytał, téj szarańczy zakazano, aby nie psowała trawy, ani wszelkiej zieloności; a wasana szarańcza żyto kosi.

— No to cóż? no to cóż? — odpowiedział za-

kłopotany nieco chorąży — kosi, ale wszystko odrasta, i trawa i żyto. Sądźże sam księżę kwestarzu, czy to nie widocznie? czy to nie jak na dłoni? Kometa! kometa! I cóż ten kometa? Przyszedł swoją drogą i pójdzie swoją drogą. Niema z nim biedy. Ale co będzie, kiedy druga pieczęć otworzy się? i trzecia, aż do siódmej? kiedy *Gog* i *Magog* (*) nadejdą....

— Nie bredź! nie bredź! — przerwał z gniewem marszałek. — To mi głowa do tłumaczenia tych *hyperbolów* i tajemnic. Tu widoczny znak na niebie, tu wraz idzie i widoczny skutek: wojna, a on mnie tu baki świeci o *Gogach* i *Magogach*. Powiadają wszakże, że i Napoleon ma swoje gwiazdę, w którą wierzy; i w *Apokalipsie* nawet czytasz wasan, że będą znaki na niebie.

— O to, to, to, to, zaraz waspanu o tém się sprawię — rzekł, biegnąc staruszek do alkierzyka po Biblię.

A tymczasem marszałek pokazał palcem za odchodzącym, a potem kręcił nim na czole i mówił z cicha: — Ma.... ma....tu....ma!...

— Obu wam biednym klepki nie dostaje — pomyślałem.

Otoż to ci dwaj rzeźwi niegdyś, strojni i przy-

(*) *Ibidem Apocalipsis.*

stojni dworacy, fantazyą piękną i animuszem dodający lustru i powagi pańskiemu dworowi, a mogący iść o *prym* na każdym innym, teraz pokurczeni, podupadli, niedołężni, niepodobni do siebie, dysputują o skończeniu świata, a nie myślą, że sami wnet się skończą. Oj starość! starość!

Wyskoczył z alkierza staruszek z Biblią; ale ja rzekłem: — Dobrodzieje, wiecie co? oto zamiast tych tajemnic apokaliptycznych i niebieskich, dokonczmy tajemnic Koronki świętej. Ja pomogę, i pochwalim Pana Boga, w którego mocy wszystkie komety i wszystkie bestye i smoki.

Spójrzeli oba na mnie. Chorąży położył spokojnie Biblię na stole. Oba ucałowali krzyżyki wiszące przy koronkach, i oba usiedli cichuténko przy stoliku, jak dzieci zgromione w swawoli.

— Na którójże tajemnicy przestaliśmy? panie chorąży! — zapytał marszałek.

— Na ósmém *Ave Maria*, tajemnicy trzeciej. Na pana marszałka kolej.

— *Ave Maria gratia plena...* — rozpoczął zatem nabożnie marszałek — *Sancta Maria Mater Dei...* odpowiedzieliśmy, i dokonczyliśmy koronki, po którój posłałem się na tapczaniku, i poszliśmy spać. Marszałek jednak, nim się układał, spójrzył przez okno na kometa, a rezydent Biblię pod głowę podłożył.



S N Y.

XXXIII.

UBUDZIŁEM się. Moi gospodarze wstali raniej i oba siedzieli już przed kominem. Jeden grzał piwo, drugi gotował sobie kawkę; i rozmawiali sobie pocichu, wrzekomo aby mnie nie rozbudzić.

—Imaginuj sobie wasan— mówił marszałek— śniłem dziś, że kometa do mnie przemówił. Zniżył się jakoś, ogon po ziemi wlekł. Głowa rychtyk jak w *Janinie* (*) wymalowana. *Horret animus!* na sam ten widok pot zimny na mnie wystąpił! Kiedy to huknie:—Za-pa-dasz! za-pa-dasz! Drgnąłem ze strachu i ocknąłem się... aż patrzę—zapadłem i siedzę na ziemi, a głowa tylko na wierz-

(*) *Janina* — opisanie wyprawy Jana III pod Wiedeń, gdzie jest i rysunek komety, który natenczas na niebie świecił. Księgę tę piękną, czytałem w klasztorze wileńskim.

Nota Autora.

chu, cały zaś *corpus* pod łóżkiem: bo płótno pękło do reszty, i ja z piernatem zapadłem. No proszę uniżenie, powiedz waspan, zkąd kometa wiedział, że u mnie łóżko dziurawe?

—*Extraordinaryjna rzecz!* panie Sebastyanie! *extraordinaryjna rzecz!*— odpowiedział rezydent; a tém bardziej, że i mój sen także dziwny i straszny. Imaginuj sobie wasan, śni mi się, że wychodzi z morza *bestya* ogromna, o siedmiu głowach, a na każdej głowie po dwadzieścia cztery rogi, i w każdej paszczy po dwadzieścia cztery trąby. Jakże zatrąbi ze wszystkich tręb, aż ziemia zatrzęsała się!.... Gwałt! Zatknałem uszy— nie nie pomaga!... Dreszcz mnie przeszedł, ocknałem się. Aż to ksiądz kwestarz, ta *bestya*, chrapie na całą izbę. No proszę uniżenie, pytam waspana, jakim to sposobem z kwestarza zrobiła się *bestya*?

—Sen mara— rzekłem powstając— a dzieńdobry dobrodziejom.

Niewspominając o snach, nieco zawstydzeni, oddali mi pozdrowienie, i — na co wola? — zapytali — na piwko? czy na kawę?

—*Et haec facienda, et illa non omittenda*— odpowiedziałem— można jedno drugiem zapić.

—Wyśmienicie! Obu nam zrobisz łaskę. Bo widzisz jegomość— mówił rezydent— obadwaj

w rannym posiłku żywimy się *de propriis*. Niema kawiarni wspólnej, jak dawniej; więc pan Sebastian, większej odemnie *substancyi*, kupuje sobie kawkę, a ja *cerevisiam* popijam.

Po śniadaniu takowém podwójném, wyszliśmy na przechadzkę po dworze.

O Boże! jakaż to ruina i pustki! jaka różnica od tego, co dawniej było!

— Musiała i tu być szarańcza francuzka — rzekłem.

— Nie. My sami tak pięknie wszystko to urządzili, a zaczęli zacni Jaśnie wielmożni opiekunowie. Poszły świdrem i dostatki i fortunki ojcowskie, a synek bogatego pana będzie mógł wkrótce powiedzieć:

Chodziłem niegdyś strojno, a teraz obdarty.

Trzy rzeczy mnie zgubiły: Venus, wino, karty. (*)

— Oh! niech go Bóg od ostatniej ruiny zachowa, bo-bym tego nie przeżył!

— I ja także — dodał rezydent, a oba z łez oczy otarli.

— Teraz — mówił dalej marszałek — do towarzysztwa Wenery, Bachusa i Faraona, przybył Mars. Nie wiem, czy on nam pomoże? chyba że panicz

(*) Dawne wierszyki z przestrogą młodym mawiane. N. w.

nasz miał go w swoim *horoskopie*: bo jeżeli ro-
dził się pod tym *planetą*, a w *Zodyaku* miał *Lwa*...

—A dajże wasan temu pokój!— przerwał nie-
cierpliwie chorąży— dajże wasan temu pokój! Nie
może być inaczej, jak jest. Czy tam nie pisze,
że gdy „*smok wielki rydzy, pozrze dziecko niewia-
„sty (*)*, *natenczas upadną wszyscy mocarze i bo-
„gacze tego świata.*” Więc i upadają bogacze, a
między niemi i starościc. Bo mogę dowieść jak
na dłoni, że *smok rydzy* znaczy....

—A niech cię kaduk porwie i z twoim *smo-
kiem rydzym!*— wrzasnął zniecierpliwiony mar-
szałek.

—Niech ciebie porwie z twemi *horoskopami* —
wrzasnął wzajemnie rezydent— bo to, prawdę mó-
wiąc, *magią* pachnie.

—Dajcie pokój dobrodzieje temu wszystkiemu—
rzekłem. — Ot wolój powiedzcie mi i pokażcie,
czyli dawna kaplica piękna stoi jeszcze? i czy nie
zrujnowana tak, jako i wszystko, co tu widzę?

—O nie, chwała Bogu, nie! — odpowiedział
marszałek— obaj my z kochanym chorążym jeste-
śmy zakrystyanami tej świątyni Pańskiej, i z osta-
tniego ważym na jej utrzymanie. Co niedziela, mo-
ich parę kuców posyłam po księdza, i mamy mszę

(*) *Ibidem, Apocalipsis.*

świętą, do której kolejką jeden z nas służy. Lu-
dek prosty i kilku starych sług, którzy nam do-
trzymują w tém życiu kroku, gromadzi się naten-
czas około nas, i razem chwalimy Boga, a modlim
się za dusze naszych panów i dobrodziejów.

— Tak, tak — dodał kolega — póki żyjem z ko-
chanym marszałkiem, nie damy upaść temu Do-
mowi Bożemu.

— Jaka przykładowa jedność około chwały Bo-
żej — rzekłem — a w innych materyach...

— Cóż robić? — przerwał marszałek — Jedni na
starość uczą się rozumu. a drudzy.... a drudzy —
mówił, patrząc z ukosa na rezydenta — a dru-
dzy, *Boże odpuść!!!*

— O to to to to to — przerwał znowu rezy-
dent — jedni na starość uczą się rozumu, a dru-
dzy — rzucając także z ukosa okiem na marszał-
ka — a drudzy.... *Jezu mój Panie!!!*

Obejrzelismy kościółek, pomodliliśmy się; a
tymczasem wstał pułkownik i wyszedł na ganek
z fajką na sążniowym cybuchu, i z bursztynem,
którego gęba objąć nie mogła; a za nim kilku
wczorajszych adherentów.

— Dzień-dobry! — zawołał on, postrzegłszy mnie.
— A chodź-no tu, księżu kwestarzu!

Podszedłem do ganku, oddałem pokłon, i postrzegłem, że starość blady, smutny, jakby niewyspany, czy chory. Jakaś mię troskliwość o nim przejęła. Staął mi on na pamięć w maluczkiej dziecinie. Pożałowałem go. Dla czegoż biedny został wcześniej sierotą? Słowem, sam nie wiem dla czego zapytałem: —Czy nie chory JW. pan?

—Dla czego?

—Bo coś mi się bladym i zmienionym wydajesz, dobrodzieju.

—W rzeczy samej — rzekł on — jestem słabym. —Nie spałem, a raczej sen mię bardziej udręczył, niżby wzmocnił. Może wino, może twoje zjawienie się tutaj, było tego przyczyną, a może to oboje razem. Ledwom zamrużył oczy, wnet jakieś marzenia napastować mię zaczęły. Widziałem potem siebie w jakiejś przepaści. Węże koło mnie, straszdyła jakieś, maryl.... Zrywałem się, odcykałem i znowu zasypiałem. Płynąłem potem po jakimś morzu. Łódź pękła—potonałem, ale się nie utopiłem. Żyłem na dnie morza jak w kryształach, widziałem daleko i szeroko... Tysiące, krocie, miliony postaci rozmaitych, białych, szarych, przezroczystych, mętnych, ogarnęły mię, snuły się koło mnie, jawiły się tłumami jak pokusy i nikły w głębinach. Z niemi i ja unosiłem się miotany na falach; pogrążałem się i wybijałem na wierzch;

chwyciłem się rąk podawanych mi jakby dla ratunku, ale te ręce były z piany. Cały świat, cały Paryż, wszyscy i wszystko, co gdziekolwiek i kiedykolwiek widziałem, zalewało mię, dusiło jak topielca, i niknąc znowu z odbiegającymi wałami, na chwilę wolnie oddychać mi dozwalało.... Ocknałem się наконец; a chociaż przez sen byłem w wodzie, na jawie jednak (i jakaż to jawa?) głowa mi pałała, a piersi jakbyś kamieniem przycisnął. Oczu otworzyć nie mogłem; i lubo ocucić się zupełnie, wstać i otrząść się z tego dręczącego marzenia chciałem, napróżno jednak. Znowu marzyć zacząłem. Jakiś kościół ogromny a ciemny. Ja w nim sam jeden... a jednak słyszałem około siebie jakieś szepty głucho, mrówiem mię przejmujące.... Dzwony potem się odezwały, kościół się blado oświecał... mogłem rozpoznawać co się działo.... organ zabrzmiał *Dies irae* czy *De profundis*, tak mi się przynajmniej natenczas wydawało, i przy każdej kolumnie kościelnej ujrzałem białe marmurowe posągi, a przy dwóch mnie najbliższych, poznałem ojca i matkę moję. Chciałem biedz ku nim, ale, jak przykuty, ruszyć się z miejsca nie mogłem; ręce tylko ku nim wyciągałem. Przy innych kolumnach stały także posągi; między niemi byłeś i ty, kwestarzu, jak *Pastor bonus*, trzymając baranka na ramionach;

był i dawny mój nauczyciel ks. Joachim. Oczy wszystkich, a szczególnie rodziców moich, ogniem pałały... Okropny był stan mój!... Nakoniec w takim martwem otrętwieniu zdawało mi się, że sam stygnę i na środku kościoła kamienieję.... Pod dzień spokojniej zasnąłem.

—Dziwny sen, panie!— rzekłem, sam nad nim rozmyślając— dziwny sen!... Któż wie, czy nie nauka?

Starościc stał zadumany.

—A nauka— odezwał się wczorajszy kropiący jegomość— nauka, że mieszać trunków nie należy. Szampańskie szumi, a węgierskie rzuca. Pan zaś wczora po odejściu kwestarza, piłeś jedno i drugie, jak gdybyś gwałtem rozum i pamięć utopić pragnął. Dla tego we śnie utopiłeś się w morzu szumiącym, a węgrzyn rzucał cię na falach. Cha! cha! cha! czy źle sny tłómaczę? Byłbym drugim Józefem, gdybym żył za Faraonów.

—A więc może dobrodziej i mój sen dzisiejszy wytłómaczysz, bo także dziwny.

—Jakto? i ty także śniłeś?— odezwał się starościc?

—Tak— rzekłem— a nawet sen mój ma niejakąś *konjunkcyę* z pańskim.

—Mów— odezwali się wszyscy.— Słuchamy!

—Oto, byłem w piekle. Jak tam się dostałem?

nie wiem; i nie będę opisywał ichmościom wszystkiego, com tam widział: bo sami z czasem tam dostaniecie się i zlustrujecie wszystko należycie,

—A zkad ta pewność, popie — przerwał tłómacz snów— że my tam będziemy?

—*Qualis vita, et mors ita.* Jaka zasługa, taka i nagroda. Ale mniejsza o to. Dość, że przeglądając kotły, w których smażą się potępiency w smołę, jak pampuszki w oleju, posłyszałem: —Bracie Michale! ratuj mnie!— Obejrzę się, kto tu mój znajomy? aż postrzegam mojego kochanego starostę, ojca pańskiego. Siedzi po szyję w smołę; a francuz, dyrektor niegdyś pański, który w piekle funkcję pieczurnika spełnia, poddmucha ogień, szumuje żelazną stągwią warzącą się smołę, jak kuchcik garnki na kuchni, i urąga się JW. staroście. —Ach dobrodzieju!— rzekłem— *ex inferno nulla redemptio!* Cóż ja tu dopomogę? Ale za jakież grzechy tak cnotliwy pan poszedłeś na potępienie?

—Za syna mojego tak pokutuję— odpowiedział mi żałośliwie.— On mię tu wsadził, za to najbardziej, że zaniechawszy rad i przestrogi poczciwych ludzi i kapłanów, dałem mu w młodych jego latach za *preceptora* tego wcielonego szatana, który mię teraz dręczy, a który zepsuł jego serce i założył w niem fundamenta złego. A oto obok

siedzą panowie opiekunowie, którym powierzyłem umierając dziecko moje, a którzy zawiedli moje zaufanie, z fortunki mojej korzystali, a syna mego zaniedbując, dozwolili mu napawać się trucizną dzisiejszej na świecie panującej bezbożności. Oj, takich opiekunów jest tu moc nieprzeliczona, i codzień przybywają. Cokolwiek więc on teraz zbroi albo zbluźni, spada to wszystko na moję i na ich głowy; a tak zamiast kropel ochłody, któreby mnie z jego cnót spływały, dolewa on mnie codzień po garncu gorącej smoły....

—Łziesz! księżu! — przerwał mi półkownik, rzucając fajkę— kłamiesz nedorzecznie! Ojciec mój tak pocziwy człowiek, że pewnie w niebie.

—Czy tak? w niebie? A więc miał duszę!... *Sequitur*, dobrodzieju!....

—Żeś wygrał zakład— przerwał uspakajając się starościc i uśmiechając się. — Chętnie ci zapłacę przegranę.

—Brawo kwestarz! — zawołali towarzysze— brawo!

—Ale to mało na tém, dobrodzieje! Także kto ma duszę, a duszę dobrą i pocziwą, ten obdarzy kwestarza; a kto jej nie ma, niech nic nie daje, bo od bydląt nie biorę.

Spójrzeli po sobie wszyscy, rozśmieli się, i każdy do kieski. Starościc dukatów dziesięć, a ci

ichmość po kilka złożyli, i tak od razu zebrała się sumka, z którą bez dalszej kwesty do klasztoru wrócić mogłem.

Gdym żegnał starościca, rzekł on mi:—Bracie kwestarzu! nie zapomnę twój tu bytności... z wielu przyczyn i względów.... Jeżeli mnie kule oszczędzą, (bo nie myśl, ażebym moję wojskowość tu przy kielichu odbywał), powróć kiedyś do mnie... Wszystko się jeszcze odmienić i... poprawić może.... Bóg nam natenczas inne sny... pomyślniejsze zapewne zesłać raczy....

Podniosłem oczy i ręce w niebiosy. On się odwrócił i śpiesznie odszedł.

Pożegnałem potem pocziwych, a po części zdzieciniałych moich staruszków. Marszałek dał mi z dawnych swoich zapasów flaszkę wyborniej gorzałki, a rezydent ze swój partykularnej spiżarni, szczupaka wędzonego na zakąski, i ruszyłem, zawracając się ku domowi.



Ł O S T A J E. (*)

XXXIV.

ZAKOPAŁEM znówu moje złotko i ruble w tabace głęboko, nauczony niedawną *experieneyą*, że nosy maroderów na tabakę se bon! ale kruszczu pod nią zwietrzyć nie mogą; i wlokłem się, zbliżając się codziennie do Bienicy. Baranów zebrało się kilkanaście, i miałem nadzieję dostawić ich w całości księdzu *professorowi Infimy*.

Jużem się pod *Krewa* podbierał, i wjechałem w lesne i pagórkowate okolice, między którymi i samo *Krewa* sytuowane, gdy postrzegłem po wzgórkach i dolinach rozrzucone gęsto dworki, przy niektórych ogródki, przed niektórymi sadzawki, niektóre nawet z ganeczkami, a przy każdym zabudowania gospodarskie, mniejsze od pańskich,

(*) Nazwisko okolicy kraju w powiecie Oszmiańskim, zamieszkanéj przez Tatarów.

większe od okolicznej szlachty, z którą znam się od dawna. W pośrodku nad strumieniem kapliczka z kulistym dachem i jedną z boku wieżyczką cienką. Zdziwiłem się jednak, że i kapliczka i wieżyczka bez krzyża.

—Już blisko Bienica,—rzekł Jaś wiozący mnie — tylko półtory mili. To *Łostaje*.

—A cóż to za *Łostaje*?

—Tu na *Łostai* mieszkają *Tatary*. Oto dworek pana rotmistrza *Ułana*, tamten pana porucznika *Baranowskiego*, tamten przy meczecie, to ich *Mołny*, a ten przy naszej drodze, to największego ich Murzy, majora *Amurata Bielaka*. My tu często bywało z tatulą na robocie rymarskiej bywaliśmy, nim mnie on do klasztoru nie oddał.

—Ha!— pomyślałem sobie — więc niema po co do muzułmanów zajeżdżać. Mijaj— rzekłem do Jasia.

Mijaliśmy więc dworek pana *Amurata*, gdy on sam powracając z pola spotkał nas przed swojemi wrotami, i— stój!— zawołał.

—Niech będzie... upadam do nóg!— zacząłem z nałogu, dokończyłem postrzegłszy się.

—Na wieki wieków... kłaniam uniżenie!— odpowiedział uśmiechając się.— A dla czegoż to mijasz poczciwych ludzi i sąsiadów? boś pewnie z Bienicy.

—Spieszę— rzekłem— do klasztoru.

—Kłamiesz, księżulu! Widzę, żeś nowicyusz w tych stronach, bo cię nie znam; a nie zajeżdżasz do Tatarów, bo myślisz, że muzułman zamknie ci wrota, albo powie; *fora ze dwora!* A mylisz się. Twoi poprzednicy nie mijali nas, a my też nie mijamy waszego klasztoru. Na tamtym świecie rozsądzim się o wiarę, a na tym żyjemy w sąsiedztwie po przyjacielsku. Wstąp więc do mojej *Witołdówki*, a obaczysz, że kołdun tatarski wart bernardyńskiego brzucha.

Hora canonica zbliżała się, wzmógł się apetyt, a jak na licho, lubię kołduny. Przyszło mi wprawdzie na myśl, że to tam u nich i młoda żrzebićinka uchodzi podobno; ale jednak nie bardzo temu wierząc, i szczeremu zaproszeniu odmówić nie mogąc, zawróciłem we wrota.

Sam pan Amurat, lat z górą pięćdziesiąt mieć mogący, łysy jest, ale wąs ma zawieszisty, i nie po dworsku zakręcony i gumowany, a suty, siwy i obwisły, że mu aż gębę zakrywa. *Facies* przystojna, chociaż nieco śniada i *tandem* za szeroka, wydaje jego *progeniturę*. Na nim kurtka i szarawary płócienne, szyja i łeb nagie, a w ręku harap myśliwski.

—Héj *Ajeszko!*— zawołał wchodząc do sieni, a na to wybiegła w jubce tarletanowej młoda *et quidem* jak na tatarkę, ładna dziewczyna. Stropiła się nieco, postrzegłszy mnie.

—Oto moja jedynaczka— rzekł pan major.— Nie lękaj się, córko! Mamy widzisz gościa, więc drugą kopę kołdunów wsep do rądla. A tymczasem napijem się wódki. Mahomet zabronił nam wina, miłościwy księżulu! ale o wódeczce w Alkoranie *cyt!* A zatem my winu dajem *kwit*, a wódeczkę i luleczkę ciągniem sobie po troszeczkę. Proszę na tę stronę do mojej izby, bo tam po waszemu *klauzura*, a po naszymu *hareem*.

—Jakto?— zapytałem— więc jegomość utrzymujesz seraj?

—Oho! przelakłeś się! A gdybym i utrzymywał, co waści do tego? Wszak gdybyś w moich oczach jadł szynkę, jabym nic na to nie powiedział. Ale uspokój się? my doświadczyliśmy, że z jedną kobietą często trudno dójść ładu, a cóż dopiero gdyby ich mieć tuzin! Tam stancya mojej córki i nic więcej; a jam wdowiec.

Weszliśmy więc do izby pana *Amurata*. Pierwsza obszerna; stół dębowy na środku, zedle nokoło. Druga mała, tam łóżko i na ścianie wojenny rynsztunek pana majora. Między tym zdzi-

wił mnie łuk jakiś starodawny, więc zacząłem go rozpatrywać.

—A co? kwestarzu! dziwisz się broni, z którą przodkowie moi wojowali? Tak, tak, jest to najdroższa nasza pamiątka, jest to łuk naszego przodka, *Kara Mirzy*, który długo wojując z Litwą, na koniec gdy w bitwie jednej dowodził przeciw księciu Witołdowi, okryty ranami dostał się z wielką częścią swój ordy w niewolę. Poosadzał ich miłościwy ten książę a waleczny rycerz, w różnych miejscach swojego kraju: w Niemieży, w Wace, a *Kara Mirza*, nasz przodek, dostał tu na *Łostai* ziemię. I książę nazwał go *Bielakiem* naprzeciw imienia *Kara*, co znaczy w naszym języku *Czarny* (*) Służył mu potem *Bielak* w wielu różnych wyprawach, wszędzie mężnie i wiernie stawając, a skarbiąc sobie coraz większe łaski księcia.

Dawno to już było, panie bracie, bo przed laty czterysta, a może i więcej, plemie tatarskie rozmnożyło się na Litwie, i zawsze poczcziwie krajowi służyło. A po naszym walecznym przodku, dochowujemy razem z ziemią jemu nadaną i łuk ten jego. Z głowy na głowę, dziedzictwem to przechodzi. Ani ziemi, ani łuku żaden Bielak za miliony nie odda; a choć który zholeje, to składamy

(*) Podanie.

z ostatniego na zapomogę brata, byle nie wypuścić cudzego *intruza* między nas. Gospodarstwo u nas nie wielkie; często na *Bejram* ostatnia idzie pod nóż krowa; ale za to do *korda* każdy gracz; do trzeciego tatarowi nie gadaj; każdy od młodości prochu powąchał, a tchórza i piecucha z tureckim abszytem wypędzilibyśmy z *Łostaj*; i żadna tatar-ka nie poszłaby do jego *haremu*, to się rozumie, nie wzięłaby go za męża.

Przy tym rozmoworze, pan major dostał flaszkę z policy, i— do wasana— rzekł, nalewając sobie spory kieliszek; a wychyliwszy do dna i ocierając wąsy, rzekł: —*Tacto pectore* upewniam cię, że wyśmienita!

—*Tacto pectore!* a to co?— rzekłem zdziwiony— zkąd ta łacina?

—Z ust szlacheckich, mospanie! bo chociaż w szkole nie bywałem, różgi nie widziałem, ale przysłówów pocziwych szlacheckich od dziadów i ojców uczymy się; a choć i z nich żaden łaciny nie umiał, ale kiedy położywszy rękę na sercu powiedział tatar litewski: *tacto pectore!* to jakby na głowę *Mahometa* przysiągł. Nie chlubiąc się, krew ich i we mnie płynie. Jestem synem jenerała Bielaka, którego znała cała Litwa... Dźgnij zatem bracie kwestarzu! bo przez ścianę słyszę, że wrą kołduny w ukropie.

Jakoż wnet weszła panna *Ajesza* z przyborem stołowym, a za nią służąca wniosła runtową misę kołdunów. Smakowita woń rozeszła się po izbie. Zasiadliśmy we dwóch tylko, bo ze zwyczaju tatarskiego, rodzaj żeński osobno stołuje się, a służy do stołu mężczyznom, jakoby panom swoim.

Wyśmienite! *magni saporis* kołduny! Odjeść się i odchwalić się ich nie mogłem, a gospodarz prośbą i przykładem zachęcał. Jakoż misa się wypróżniła, i popiliśmy dla *konkokecyi* wódeczką.

Wstawszy od stołu, podziękowałem Bogu po swojemu; pan major jakby tego nie widział: potem i jemu samemu; a po takim bankiecie, nie długo czekając, poszliśmy oba spać do odryny, i już słońce dobrze za południe przeszło, gdyśmy się ze smacznego spoczynku obudzili.

—No, teraz, księżulu, dam ci barana pięknego na pierwszą znajomość.

—A więc tu na Łostai nie widzieliście maroderów francuzkich, kiedy jeszcze są barany?

—Oho! jakto? tak blisko traktu żyjemy, a więc zawitali oni i do nas. Doczekałem się w Witołdówce dawnych znajomych, bo poznałem się z Francuzami na przeszłych wojnach. Ale przyjęliśmy tu ich po tatarsku i po żołniersku. Trafiła kosa na

kamień, to jest, trafiły karabiny i bagnety na dubeltówki, pałasze i pistolety. Wiedzieliśmy już z sąsiedztwa, co dokazują ci nieproszeni goście; codzien więc byliśmy gotowi na przyjęcie.

Gdy się nakoniec pokazali, wystąpiliśmy wszyscy w mundurach naszych oficerskich. Było ich kilkudziesięciu, ale i nas było ze trzydziestu! w odwodzie zaś ukryłem w życie drugie tyle chłopków, z czem kto miał: z fuzyą, z siekierą, choćby z dobrym kijem.

Szli rabusie długim obozem. Kilkanaście fur ciągnęło się wśród nich z narabowanymi rzeczami i z ich cielęcinkami. Gdy weszli w ulicę, postrzegli nas na dziedzińcu—zastanowili się. Patrzaliśmy na siebie zdaleka. Oni się naradzali; a my nie ruszaliśmy się z miejsca, czekając, aż z całym taborem wejdą w ciasną tę co widzisz wygrodzoną ulicę, i pominą moję zasadzkę w życie za płotem ukrytą. Po naradzie nabili broń i kupno ruszyli ku nam.

—Wzajemnie zakomenderowałem:—*Dubeltówki z ramienia!*— i maszerowałem ku nim.

—*Russ?*— zawołali oni, podnosząc karabiny.

—*Tartar!*— odpowiedziałem, podnosząc dubeltówki, a pałasze gołe wisiały u nas na temlakach na rękach.

—Opuścili karabiny, patrząc to na siebie, to na

nas. My natenczas, nie dając czasu do opamiętania się, fuzye na plecy, pistolety z za pasa i *hojże* ku nim! Razem gwiznąłem przeraźliwie, i rezerwa moja wypadła z krzykiem z za płotu. Nie było im czasu do karabinów, albo do nasadzenia bagnetów, bo każdy prawie miał pistolet u piersi. Wrzasnąłem więc: — *Pardon!* albo *caput!* — a gdyby który palcem tylko kiwnął, kula mu byłaby w sercu.... Przerażeni, w mgnieniu oka pardonowali się, i batalia wygrana. Zabraliśmy cały oboz i broń, i samych rycerzy dostawiłem do *Oszmiany*. Rabowane rzeczy porozdzielali sąsiedzi, każdy swoje. Było i potem jeszcze kilka harców, z których zawsze zwycięzko wyszliśmy. W jednym z nich, moją damascenką uciąłem dwa bagnety, jakby świece łojowe, co niezmiernie zadziwiło Francuzów. Nakoniec zaniechali nas, co dla obu stron szczęśliwie, i dla waści księżulu, bo ci barana dać mogę.

Jakoż i dał.

— A pokaż-no, dobrodzieju — rzekłem wróciwszy do izby, gdy nam panna *Ajesza* kawę podała — ową *damascenkę*, którą bagnety jak świece rozcinasz.

— Zkądże ta Bernardynowi *sympatia* do pałasza?

— Aj, bo go niegdyś, jako szlachcic, przy boku nosiłem.

— Oto go masz — rzekł, zdejmując z kołka i obnażając z pochwy. — To moja successya po ojcu generale Bielaku. Wart być obok łuku *Kara Mirzy*, bo był w rękę nieodrodnego odcień potomka.

— Prawda — rzekłem — klinga prawdziwa turecka, ale osada i furdymment nasz.

— Tak, bracie! — odpowiedział *Amurat* — takie pałasze nosim przy boku, i sami takimi jesteśmy. Rozumiesz?

Patrzałem mu w oczy, które się nagle zapłomieniły, i rzekł dobitnie:

— Tak! Tatarskie prawe i ogniste serce — to *klinga*! Szlachecka mowa i głowa — to *furdymment*!

Wtem *Mołna* zaryczał na meczecie; pan *Amurat* szedł na modlitwę; i pożegnaliśmy się *ad felix videndum*!

E L Z U T K A.

XXXV.

Szło pod zachód słońca, gdy się wybrałem od tego zacnego muzułmana. — Półtory mili przebędę

łatwo — myślałem sobie — jedna tylko ciężka będzie rappa, to jest, kilka staj wielkiego gościńca. A nuż tam spotkam se bon kamrat! to jedna chwila, całej kwesty, a szczególnie baranów, pozbawić mię może. Co do złotka — myślałem — zjedzą diabła.

Powstając więc coraz na kałamaszce, rozpatrywałem się pilnie na wszystkie strony, jak żóraw. Wjechałem na gościniec. Już mi widać kopułkę kościoła Bienickiego. Chwałaż Bogu! Podjeżdżam pod jakąś pustą karczemkę... aż tu z niej jak wysypie się kilkunastu kamratów — bądźcież zdrowe barany!!!

Jakoż wnet w moich oczach, przewodyr i kilka przy nim legło na placu pod bagnietami tych rycerzy. Pocziwy baranisko! przyzwyczailem go do rąk, biegł na zawołanie, a nazywałem go *Jonasz*. Zabeczał biedny tak żałośnie, że aż mi się serce ścisnęło. Gdziekolwiek byłem kwestarzem, zostawiałem zawsze moim następcom pięknie ułożonych przewodyrów, i częstokroć to tylko jedni przyjaciele, którzy się po mnie tam zostali, i jedni, których żałowałem.

Z wielkim hałasem zaprowadzono i mnie do pustej stodoły, a tam nastąpiła rewizya kałamaszki, a potem i mnie samego.

— *Latrones estis!* — krzyczałem; ale ci, za-

palczywsi od pierwszych, tuzali mnie bez ceremonii. Pozbyłem kapelusza, paska, nawet i bótów. — Dobrze mi tak — pomyślałem — a czemu podług reguły, nie noszę trepków?

Inni łupili ze skóry barany, inni rozkładali ogień.

— Lecz jeden, wpatrując się we mnie czas niejaki, rozśmiał się, i kłapiąc po ramieniu, zawołał: — A kamrat! Vilna, Osmana — słowem, pokazywał, że mnie zna.

— Ha! pomyślałem znowu — ponieważ to jeden z moich dawnych przyjaciół, więc mnie przecie zaproteguje. — Uścisnąłem go z affektem, i on mnie. Potem prawił im widać historję naszej wędrówki i popasu w *Miednikach*. Słuchali, uśmiechali się, ruszali ramionami. Nakoniec jakby przypomniawszy rzecz ważną zacny *narrator*, odwrócił się nagle do mnie i krzyknął: — Kamrat! tobak!

Zmieszałem się. Poznał francuzisko mój kłopot; szust rękę do mojej kieszeni i wyjął tabakierkę, odemknął, traktował wszystkich i mnie samego, a potem *Herod* postawił swój kaszkiet na ziemi, wytrząsł nań tabakę, a z nią i dukaciki, i kilka rubelków wysypało się.... *Obstupuerunt* łotry, a ja z biedną miną stałem jak *delinkwent*.

Wnet łapczywie rzucili się na złoto; ale wynalazca tej *minery* przystąpił do sprawiedliwego

podziału: sobie wziął za piękne odkrycie dwa czerwone złote, a każdemu dał po jednym; gdy nie stało złota, dzielił rublami, mnie pytając się na migach, wiele rubli za dukat należy. Po takiej dzielance, która spokojnie i przystojnie odbyła się, zebrał szkrupulatnie tabakę do tabakierki i mnie oddał. — Bon! bon! se bon kamrat!

Ledwo się ta bolesna dla mnie operacya skończyła, i jeszcze nie naśmieli się dosyć i nie nacieszyli się szubrawcy z tego obłowu, gdy tentent koni dał się słyszeć na dworze i — stój! — zawołał głos mocny. Wybiegli Francuzi i ja z nimi. Kilkadziesiąt koni ułanów i oficer na ich czele zatrzymało się przed karczmą.

Oficer zagadał do nich po francuzku. Cós mu odpowiedzieli. A on do swoich: — To właśnie ptaszki, których zbierać i pędzić do Mińska mam ordynans — marodery i rabusie, otoczyć ich!

W mgnieniu oka rozkaz ten spełniony. Już nawet nie mogli wrócić do stodoły, gdzie gdyby broni dopadli, pewnieby wydali batalię, miarkując po ich złości, dąsaniach się i przekleństwach.

— A co tu między maroderami robisz? księżę Bernardynie, czy rabujesz razem z niemi?

— Owszem, dobrodzieju! jestem zrabowany przez nich. Ubogi kwestarz z klasztoru Bienic-

kiego, który oto postrzegasz dobrodziej przed sobą. Jeździłem po świecie, aby coś zebrać na ogłodzony nasz konwent; jakoż Pan Bóg pobłogosławił, i z kilkanaście baranów, a najbardziej kilkanaście dukatów w gotówce wiozłem kościołowi na wsparcie, gdy oto przejęli mię ci waleczni rycerze i obrali ze wszystkiego. Goły i bosy, bo mi i bity zdjęli, powrócę teraz do głodnych braci moich.

— Krzyknął jak lew rozjuszony na Francuzów officer, że aż ja zadrżałem; a gdy ci krnąbrnie coś mu odpowiadali, wyrwał pałasz z pochew, i kiedy nie zacznie okładać płazem bez różnicy którego napadł, jak huknie na ułanów, a ci w toż samo.... Widzą rabusie, że kuso koło nich. — *Pardon! pardon!* — zaczęli wołać, i składali officerowi moje dukaty.

— Czy wszystkie? — zapytał on, oddając mi garść złota.

— Zapewne wszystkie — odpowiedziałem nie licząc — bo Bóg tam z niemi nareszcie.

— Nie wszystkie — rzekł on — bo oto masz jeszcze jednego — dając mi własnego czerwieńca *cum effigie Bonapartego*.

— *Deus te benedicat!* młodzieńcze! — zawołałem. — I tę twoją własną ofertę, i zebraną od ludzi dobroczynnych, już teraz mam z twojej ła-

ski. Modlić się gorąco będziemy do Boga za twoją fortunę i zdrowie. A może też raczysz wstąpić na noc do naszego klasztoru, jeżeli w tamtą stronę Pan Bóg prowadzi. Właśnie byłoby w czas.

— Mam też w *marszrucie* — odpowiedział — nocleg zapisany w Bienicy, więc ochętnie twoje zaproszenie przyjmuję, i ruszajmy. — Chłopczy! kilku z koni! poskładać porznęte barany na furgony. Odwieziemy je do klasztoru, a ojcowie i dla nas nie pożałują jednego na wieczerzę.

— Z całego serca, i na wieczerzę i na drogę. Ale ja mam i moją kałamaszkę w stodole, którą mnie także skonfiskowali ci dobrodzieje; więc teraz powracając do mojej własności, dowiozę na niej pobite moje barany do klasztoru, nie obciążając pańskich bagażów.

— I owszem — rzekł oficer. — A teraz zabrać broń maroderów, ich wziąć we środek; a jeżeliby który się upierał, płazem! choć nie szkodziłoby i rębem; tylko że ja moją *Elżutkę* nie chcę poniewierać na szyjach tych podłych rabusiów, niegodnych imienia żołnierzy. — I schował szablę do pochew.

Elżutka! coś mi przebiegło po głowie jak błyskawica. *Elżutka!* Spójrzałem na tę szablę — osada staroświecka.... zdaje mi się znajoma. Spójrzałem na samego oficera — twarz młoda, przy-

stojna, ale także jakbym go gdzieś widział, albo podobnego jemu.

Tymczasem Francuzi mrucząc wkładali swoje cielećinki, a ułani przypędzali ich grzecznie płazami.

— Dla czego się we mnie tak wpatrujesz? księżę kwestarzu! — zapytał oficer.

— Daruj — rzekłem nieśmiało i drżącym od jakiegoś nieznanego mi dotąd wzruszenia głosem — daruj, zacny wojowniku, że się zapytam: czyli to twoją szablę nazywasz *Elżutką*? i jeżeli tak, od kogo ją masz?

— Tak — rzekł — to moja żonka *Elżutka*, a wierniejsza i lepsza od wielu żonek, bo mi wierną będzie do śmierci; strzeże pilnie mego zdrowia, życia i nieraz mi już to oboje uratowała. A zaręczył mię z nią ojciec mój; bratu memu starszemu dał za przyjaciela i *sekundanta Harasima*, mnie za towarzyszkę *Elżutkę*.

— To więc ty jesteś — mówiłem, patrząc nań łzą zabiegłem a niepewnym jeszcze okiem — to więc ty jesteś Władysław *Swieboda*, syn *Stanisława*!!!

— Zkąd mię znasz? księżu! co to znaczy? — I zsiadł z konia.

— Na rękę cię moją nosiłem. Byłem najlepszym przyjacielem ojca twojego za jego życia, modłę się codziennie za jego duszę po śmierci. Tę

szablę jam mu odesłał na pamiątkę, sam wdzie-
wając ubogą zakonną sukienkę....

— A więc ty jesteś *Michał Ławrynowicz!* —
zawołał on. — Tak! przypominam cię jak przez
sen!... Tyś towarzysz młodości ojca naszego...
o którym tylekroć nam rozповідаł, którego ko-
chał aż do śmierci, do którego tęsknił zawsze...
a oddając mi nawet tę szablę i wyprawując na
świat z błogosławieństwem rodzicielskiem i łzami,
jeszcze cię wspomniał!... A więc to ty jesteś?

— Ja! — rzekłem — ja sam!...

Młodzieniec rzucił się w moje objęcie.

KONIEC RĘKOPISMU KWESTARZA.

Przypisy do Rozdziału XV. str. 129 i dd. o Wołodkowiczu.



**Dekret Trybunału Kadencyi Ruskiej w Mińsku
na Michała Wołodkowicza, z rękopisu współ-
czesnego.**

Z Protokołu. Dnia 12 februaryi 1760 JW. Jpan Michał Wołodkowicz sędzia i podskarbi trybunału Gł. W. X. L. *convellendo* prawo statutowe W. X. L. *et correcturam jurium, quam strictissime auctoritatem et securitatem subseiorum, a praecipue supremi subseii* Trybunału Gł. W. X. L. ubezpieczające, *illicito ausu* na dniu pierwszym februaryi *anni praesentis*, w czasie agitujących się sądów, *ad occlusum conclave* na sądach poobiednich wszedłszy i tam wszystkich na namowie zostających znalazłszy, najprzód stoły w Izbie sądowej rąbać, *denique* świeće w lichtarzach stojące ważył się, *insuper* jeszcze, krzyż na stole marszał-

kowskim rąbać *intendebat*. W czasie której *tranzakcyi* gdy JW Wpanowie sędziowie trybunału perswadować zaczęli, aby *honestatem* zachował, tedy JW pan Wołodkowicz *vexando* wszystkich sędziów *laesivis verbis*, perswadującego JW. Dłuskiego deputata Lidskiego szablą w rękę zaciął, a przez to *publicam tranquillitatem violavit*. Za czém *Judicium, per eandem inconvenientiam* tegoż JW pana Wołodkowicza od *functyi* deputackiej i od podskarbstwa Trybunału Gł. W. X. L. odsądza, a oraz *ne ulteriora scelera multiplicentur, perveniendo publicae* tak JW W. sędziów trybunału, jako też wszystkich *sub securitate judiciorum* znajdujących się *tranquillitati, denique inhaerendo* prawu statutowemu W. X. L. Art. 9go z Rozdziału 1go i Art. 10 z Rozdziału tegoż 1go korekturze *furtum* i dalszym prawom *de violatoribus* opisującym, tegoż JP. Wołodkowicza *in poenam colli decidendo*, ażeby tenże JW. Wołodkowicz przez żołnierzy trybunałowi assystujących *in spatio tridui* był rozstrzelanym, dekretuje. A *tantisper* niżeli exekucya *praesentis decreti succedet*, ażeby *quam strictissime* był opatrzony, JP. rotmistrzowi trybunalskiemu *praecommittit*.

Notacya w tymże rękopisie. Roku 1760 12 februaryi. Za laski JW. JP. Michała Sapiehy krajczego i marszałka trybunału W. X. L. a vicemarszałkowstwa JW. Morykonia deputata wiłkomirskiego, za uderzenie w zawartém kole JP. vice-marszałka i cięcie JP. Józefa Dłuskiego deputata lidskiego; WJP. Michała Wołodkowicza deputata mińskiego i podskarbiego trybunału W. X. L.

w kilka dni po uczynionėj akcyi będącego na sądach przez tegoż deputata lidzkiego do sądu wniesiono: najprzód dekret z przydaniem warty temuż JP. Wołodkowiczowi, który wraz został wzięty od warty trybunalskiej, potem w kilka godzin dekret *poenam colli*, aby był rozstrzelanym *in spatio tridui*: jakoż wziętego z wieczora przed szóstą godziną, w kordygardzie z północy o godzinie w pół do trzeciej tegoż dnia przez żołnierzy został rozstrzelanym, wieku swojego mając lat 24 lub 25, zostawiwszy brata rodzonego JP. Józefa Wołodkowicza wojskowicza mińskiego. Ta akcyja niepraktykowana w W. X. L. stała się w Mińsku.

LISTY W TEJŻE MATERII, Z INNEGO ÓWCZESNEGO RĘKOPISU.

Kopia listu JW pana hrabi Sapiehy krajczego i marszałka trybunału Gł. W. X. L. do JO. księcia wojewody wileńskiego hetmana W. X. L. z Bychowa.

Namiestnicza Jego królewskiej mości władza, w nim pański honor jakową świeżą doznał obelgę, prowincya nasza zadziwić się musi, kiedy ta ważna magistratura, przed którą najwyższych familij i domów drzać musiały imiona, zuchwały *ausus* JP. Wołodkowicza kolegi naszego zgwałcił i znieważył. Partykularnijsze dawniej zwady i nieuszanowania Izby sądowej przez tegoż jegomości czynione łagodnie umarzałem, i skombinowania *dabantur* sposoby. Ale sędziów na namowie siedzących zbrojną ręką nachodzić, deputatów porąbać, nie jest to partykularnej osoby, ale Jego kró-

lewskiej mości *despect*, *crimen status* i honoru mego *contempt*: Co wszystko iż exemplarną wyciąga karę do Waszój książęcej mości, jako *ad custodem legum* prześwietny ucieka się trybunał, wraz ze mną prosząc, gdybyś W. X. Mość wynalazł środek i sposoby satysfakcyi trybunałowi, kiedyś na rekwizycyą J. K. Mości wartość trybunalską nie wzmocnił. W czém oczekując W. X. Mści rezolucyi, z najgłębszém uszanowaniem piszę się.

Dnia 10 februaryi 1760.

Kopia listu JO. księcia hetmana W. X. Lit. do JW. vice marszałka trybunału Gł. W. X. L. dnia 12 februaryi 1760 r. z Nieświża.

Z wielkiem nieukontentowaniem odbieram od Wpana wiadomość niegodziwej akcyi Jpana Wołodkowicza, a z umartwieniem czytam wyrażenie sprawiedliwego żalu jego, z zaszłego i najwyższych tych sądów, i samego Wpana pokrzywdzenia, które jako *meretur* sąd i karę, tak *quid juris est, et justitia potest*, czynić przynależy. Ja się w to mieszać nie będę, ani ochraniać zechcę jako przyjaciela mego JP. Wołodkowicza: bo każdego natenczas mam i wzajemną serca przychylnością *prosequor*, kiedy się zachowuje *in orbita* wszelkich *moderacyj* i chwalebnych postępków; każdego zaś sędzę być nieprzyjacielem moim, kiedy *temerarie* waży się gwałcić prawa i grzeszyć przeciwko słusznosci, ani się może natenczas pomocy i ochrony mojej spodziewać. W tej rzetelności sentymentów zostawam *corde tenerrimo* etc.

Kopia tegoż listu JW pana marszałka trybunału do JW. Mniszcha marszałka nadwornego koronnego, dnia 10 februaryi 1760 r. z Bychowa.

Zważając rozpoczętego trybunału w Wilnie *progręsa*, i dziejących się pod trybunałem *violencyj* i *excessów*, z ubliżeniem namiestniczej Jego Królewskiej Mości władzy, która dla małej i szczupłej warty, powagi nie miała, a obawiając się jeszcze gorszej *sekwencyi* na kadencyi ruskiej, z *przezornej myśli* upraszałem Jego Królewskiej Mości pana miłościwego, gdyby wartę naszą trybunalską wzmocnić kazał, i do JO. księcia jegomości wojewody wileńskiego, hetmana W. litewskiego, zalecając straż powagi sądowej, pisał. Co gdy się stało, ci, którzy dalsze *excessa* dopełniać byli w zamiarze, *reprezentowali* JO. księciu hetmanowi, iż moje takowego ordynansu u najtąskawszego pana uproszenie na to tylko zmierzało, żeby podać w *inwidę* władzę hetmańską, a przykrość uczynić przyjaciółom. Daremniem *explikował* się z tego i przytaczał, że w Koronie gwardya assystuje trybunałom; coraz zawikłańsze wynajdowano *explikacye*, a tak wola pańska skutku nie wzięła, i trybunał *dolende* wzmocnienia nie otrzymał warty.

Porywczy do gwałtów Jmśc pan Wołodkowicz deputat miński, gdy na ustępie byli kolledzy jego, on zagrzawszy, głowę naszedł sądową izbę z dobytym pałaszem, sędziego ludzkiego *Dłuskiego* porąbał, a vice-marszałkowi *Morykoniemu* zelżywemi dostało się słowy.

Takowa niegodziwa obelga, pod żadnym nieznana słońcem, kary wziąć nie może, kiedy trybunał nie

ma siły zuchwałego skarać człowieka, z przybraną tyranią na większe odważającego się *excessa*. Więc do Jego Królewskiej Mości, jako *ad fontem suum*, ucieka się trybunał, prosząc, aby Jego Królewska Mość wynalazł sposób *brachio suo* otrzymania satysfakcyi z tak niebezpiecznego *kontemptu*, co jeśli pójdzie *in-pune*, pewnie i strony sędziów znieważać zaczną, z poniżeniem tak poważnej magistratury, którą dotąd *ob tremorem* obserwować najwyższej dystynkcyi ludzie musieli. Odezwałem się w tej mierze do JO. księcia hetmana, i kopią aktu mego przyłączam. Będąc z dystyngwowaną *obserwancyą* etc.

Kopia listu JWpana podkanclerzego W. księstwa litewskiego do JWpana Mniszcha marszałka nadwornego koronnego z Bychowa ejusdem pisanego.

Świątnica sprawiedliwości, najwyższa Jego Królewskiej Mości namiestnicza władza trybunału głównego W. X. L., który najmocniejszym w ojczyźnie ludziom straszny, dla najzuchwalszych ogromny, *et saeculis* poważany, jakowy gwałt teraz ucierpiał, i w wielkiem dotąd jest niebezpieczeństwie, donosi JWpan marszałek tegoż trybunału, i szuka u Jego Królewskiej Mości, jako najwyższej głowy swojej, zdania i rady. *Quo facto opus* zna każdy z nas (*) i wie, że takiego trybunału *oppressora* sądzić i karać należałoby. Ale szczupłe trybunału siły, *excessanta* zuchwałość i haj-

(*) Może to być domówka do Radziwiłłów.

damactwo, przy nim zgraja mieszająca się, czynić sprawiedliwości nie pozwala. Nie trzeba *explicować* JWpanu dobrodziejowi, jako w tém *laeditur* powaga Jego Królewskiej Mości, jaka dla przyszłych trybunałów *konsekwencya*, jaka dla postronnych narodów ustawa pogorszająca rządów naszych, i jako *rigorose* to zgromić należy: bo wysokie sentymenta i *amor boni publici* zaszczipiony w JWpanu ma to w umyśle i oczach co sumiennność każe, a praw utrzymanie utorowało drogę. Jednak, bym się nie zdał porywczym, zdałoby mi się, gdyby Jego Królewska Mość listem swoim do księcia jegomości hetmana ordynował, zalecając, ażeby wraz wartość trybunalską stem ludzi wzmocnił, a marszałka trybunału zobowiązał, żeby *irremissibiliter* JP. Wołodkowicza sądził *ad instantiam Instigatoris*. Lecz że *event* może być nieprzewidziany, więc Jego Królewska Mość mógłby listem swoim *intimować* instygatora W. X. L., jako w sprawie *laesi Regalis brachii*, i aby tę sprawę *ad ultimum juris gradum* tak w tym, jako i w przyszłych następujących trybunałach przeprowadził. Takowe wzięcie się za honor trybunału Jego Królewskiej Mości uczyni impressyą w narodzie poszanowania trybunałów, powściągnie od podobnych złych akcyj *pro futuro*, zagęszczone hajdamactwa utrzyma, i *tranquillitatem* przyniesie ojczyźnie naszój.

Kopia listu JWpana hrabi Sapiehy krajczego i marszałka trybunału Gł. W. X. L. do Jmćpana Morykoniego vice-marszałka tegoż trybunału.

Niestłychanej odwagi *akcy* JP. Wołodkowicza jako jest kryminalnej *importancyi*, bo *laedit* powagę Jego

Królewskiej Mości, znosi *Supremi Judicii* bezpieczeństwo, a przeto jest *crimen status*. Więc odezwałem się do Jego Królewskiej Mości, jako do najwyższej Trybunału głowy Pańskiej, *exquirendo sentimenta*. I nim nastąpi w tym punkcie rezolucya, i nim sam zjadę do Mińska, w całym tym interesie wstrzymać się proszę i nie *cunctanter* nie czynić w téj sprawie, póki udy-sponowania się *modus non datur*: bo nie partykular-néj osobie stała się krzywda, ale honoru mego uszczerbek. Nie wątpię tedy, że W. pan całego trybunału pia-stując honor i powagę, *frivole* nie uczynisz kroku, któ-ryby *vili passione* trybunału, a laski dyshonor przy-niosł. O co W. pana *obtestando*, z wielką piszę się estymacyą etc.



—To, czegom się w opowiadaniach dziada mojego, naoczego świadka śmierci Wołodkowicza, nasłuchał, to, co się z powyższych aktów i listów wypisanych z ów-czesnych pamiętników domowych, wyświeca, zgodném jest zupełnie z opowiadaniem Bielewicza.

Wypadek ten, jakkolwiek tyczący się losu jednéj tyl-ko osoby, obojętnym jednak nie jest w dziejach kraju tego z ostatnich jego czasów, i za historyczny pod pe-wnym względem uważany być może.

Ileż tu bowiem razem objawia się okoliczności i ry-sów charakterystycznych ludzi i wieku tamtego?

Sapieha niepewny, czyli w powszechnym nieładzie i ścieraniu się możnowładnych partyj dopiastuje spokoj-

nie łaskę swoją trybunalską, którą naprzekor Radziwiłłom potrafił osiągnąć; „*przezornęj myśli*,” a może i z przekornęj myśli, uprasza króla o rozkaz hetmanowi Radziwiłłowi powiększenia warty trybunalskiej.

Rozkaz ten dany od króla, ale go hetman nie spełnia. Bo jakżeby miał powiększać sam powagę współmagnata pragnącego zrównać mu w potęgę, otaczając go świetną wojskową assystencyą, poniewoli odeń wymuszoną?

Niema tu względu na niebezpieczeństwo najwyższej w kraju magistratury i publiczne, bo też może nie było i bojaźni, by ono prawdziwie zakłóconem być mogło. Duma tylko, arystokracka zarozumiałość i chęć upokorzenia *Sapiehy* a przysporzenia mu kłopotu w sprawowaniu urzędu, powoduje Radziwiłła do nieposłuszeństwa królowi, a tém samém do podniesienia w oczach gminu potężnej swęj władzy hetmańskiej, którą tak troskliwie piastuje i chroni, że się lęka poddać „*w inwidyę powszechną*,” spełniając ordynans królewski. Przyczyna ta wszakże zręcznie wybraną i stosowną jest do panujących natenczas w narodzie wyobrażeń, i łamać się z nią Sapieha bez wydania na szwank swęj popularności nie mógłby.

Zatém rozpoczyna się kadencya ruska trybunału w Mińsku. W kole sędziów jest kreatura Radziwiłłowska: Michał Wołodkowicz wybrany deputatem z Mińska, zuchwały, w swawoli, gwałtach, pijatykach i hajdamactwach trawiący swe lata młode, sam dawnego i możnego w Litwie rodu, a związkami pokrewieństwa z takimiż połączony, ale oddany całkiem domowi *Radziwiłłowskiemu*, gotowy na wszelkie skinienia

książąt, zaufany w ich protekcyi, a zatém niepomyślny dla Sapiehy kolega.

Sapieha znowu, zapewne z *przezornéj myśli* zareassumowawszy trybunał, jedzie do domu. Zastępuje go w prezydencji *Morykoni* vice-marszałek a deputat wiłkomirski. Nazwisko i cudzoziemski ród jego, lubo dawno w kraju zabyły, podnieca pychę rozhukanego śmiałka, niemogącego scierpieć, że siedzi niżej od cudzoziemca, a co gorsza, że ten rozumem, znajomością prawa i roztropną stałością dostojnego i mądrego urzędnika przeważnie wpływa na zdanie kolegów i utrzymuje powagę trybunału, a upokarza Wołodkowicza napominkiem, przestrogą i samém nawet pobłażaniem jego swawoli.

W takim stanie rzeczy i rozdrażnienia, zdarza się sprawa jakiegoś koligata Wołodkowiczowskiego, w której wyrok, mimo prośb i groźb jego, nie padł mu po myśli. Dotknięty do żywego, a podżegany w zawziętości i pijatyce przez dobraną hajdamaków drużynę, nachodzi on trybunał.... spełnia się szkaradny *exces!*

Wielkie i powszechne było wzruszenie umysłów, wzbudzone niesłychanym dotąd takim wypadkiem. Występek główny i nadzwyczajny wymagał rychłej i surowej kary, bo targnął się na spokojność i bezpieczeństwo urzędu, piastującego własność i losy wszystkich, a co najgorsza, przykładem ośmielić mógł bezprawia i gwałty w kraju, w którym prawa codzien w swęj sile i powadze słabły.

Lecz z drugiej strony, sama nadzwyczajność występku trudném czyniła zastosowanie kary, zwłaszcza nad człowiekiem, którego szerokie związki familijne, sto-

sunki popularne, nakoniec protekcyja domu Radziwiłłowskiego osłaniały. Targnąć się więc na to wszystko niełatwo było, a zatem i trudny środek pogodzenia tych wszystkich względów z prawem i sprawiedliwością.

Na taką próbę wydana *przezorna myśl* marszałka trybunału, nie mogła na rychłą i stanowczą zdobyć się determinacyę. *Sapieha* nie wie co począć? Zna, że obecność jego w takim razie konieczną jest na trybunale, lecz zna także, że przybywszy do Mińska, wnet coś postanowić i działać potrzeba będzie. Nie jedzie więc, ale się wybiera; zapowiada swą bytność Morykoniemu; zastrzega, aby on żadnego w tej sprawie *frivole* nie czynił kroku, nim sam nie zjedzie do Mińska i *nie wyexkwiruje* sentymentu Jego królewskiej mości, do którego, jako *ad fontem* swęj sądowniczej władzy, uczynił odezwę. Z kolei, wymowne napisawszy listy do *Mniszcha* marszałka nadwornego koronnego, do hetmana *Radziwiłła*, któremu przy zrzeczności odmówkę warty wymawiając, winą *excessu* dotyka, umyślił *tandem* spocząć sobie po tak ciężkiej listowania pracy i oczekiwać w Bychowie rezolucyów. A nuż zkadkolwiek nie przyjdzie sposób wywikłania się z tej biedy tak, aby i *kontempt* honoru jego, i prawo, i osobiste podległe okolicznościom czasu względy, zaspokojonemi być mogły.

Stary hetman Michał książę Radziwiłł dokonywał natenczas w Nieświżu wieku i niewojennego swego hetmaństwa.

Wieść wypadku w Mińsku, o mil kilkanaście od Nieświża odległego, wnet go doszła. Bo i stronnicy Wołodkowicza przylecieli doń szukać wsparcia i ratunku,

i Morykoni napisał list, pragnąc wiedzieć myśli i zamiary księcia. Cnotliwy ten *pan*, jakkolwiek w powszechnem otrętwieniu kraju nie był zdolnym do wzbudzenia w nim żywotnego ducha, słynął jednak ze sprawiedliwości i spokojnych cnot domowych, a nie nadużył nigdy na przemoc lub ucisk współbraci potężnej przewagi, jaką mu, najpiérwsze w kraju hetmana wielkiego i wojewody wileńskiego dostojęństwa, oraz niezmierne bogactwa jednały; owszem, gromił często i surowo własnego syna *Karola*, natenczas miecznika litewskiego, nieunoszonej młodości zapędy. I jeżeli, jako głowa najmożniejszego w Litwie rodu, wpływał na wewnętrzny obrót stronnictw i możnowładczych uporów, nie cierpiał jednak wyuzdanęj swawoli, ani ją kiedykolwiek ochraniał lub bronił. Występek więc *Wołodkowicza*, odezwy *Sapiehy* i *Morykoniego*, ucieczka nawet adherentów *excessanta* po jego opiekę, wszystko dało poznać hetmanowi, że powszechność i potomność imie Radziwiłła do wspomnienia *Wołodkowicza* przyłączy.

Zatrwożyła księcia ta myśl nienawistna. Prawe przekonanie, że w obu swoich urzędach jest stróżem bezpieczeństwa publicznego, wsparło to piérwsze wrażenie. Wyrzeka się więc wszelkich z winowajcą stosunków i odmawia stanowczo błaganego ratunku.

Nie wiemy czyli? i co? odpisał *Sapiezie*; *Morykoniemu* zaś odpowiada, że się mięszać w tę sprawę wcale nie będzie, i że *quod juris est et justitia posset*. czynić przynależy.

Uderzeni jak piorunem stronnicy *Wołodkowicza* tém postanowieniem ojca, pobiegli szukać skuteczniejszego

wsparcia u syna, złączonego z ich *pryncypałem* osobistą skłonnością. Ale, na nieszczęście ich i Wołodkowicza, ksiązę miecznik był natenczas aż w Białej, hrabstwie o mil kilkadziesiąt od Nieświża odległym.

Trzecie i główne miejsce sceny tego dramatu, był Mińsk. Tam po ujęciu i osadzeniu *Wołodkowicza*, nie łatwem było położenie trybunału, a szczególnież prezydującego w nim *Morykoniego*. Nazwisko jego cudzoziemskie źle brzmiało w uszach szlachty, *komparując* one z Wołodkowiczami, dawną i popularną między niemi rodziną. — *Wtoch prześladowuje szlachcica!* wołano zewsząd; nie pamięta na „*Neminem captivabimus, nisi jure victum!*” — Warta trybunalska ze trzydziestu ludzi i dwóch oficerów złożona, ani liczna, ani mężna, z trudnościaby ustrzegła więźnia i ochroniła sam trybunał, gdyby zburzony gmin od przegrózek przeszedł do czynu. Ale strzegła go mocniejsza od siły zbrojnej tarcza, bo siła wiekami utwierdzonej w narodzie czci, i świętej że tak powiem *adoracyi* dla trybunałów, przed któremi, jak pisze *Sapieha*, najwyższej dystynkcyi ludzie drżeć musieli. Bo też i najwyższej dystynkcyi ludzie składali go pospolicie; a jeżeli czasami stronnictwa i emulacye możnych, kierując wyborem deputatów, pokalały poważne to sądownicze grono, rzadko się to jednak przydarzało, i zawsze w niem znaleźli się mężowie prawi, sumienni i mądrzy, którzy ręk wodzili w kole, tak, że nieraz się zdarzało, iż gdy przyszło do sekretnego *turnum*, w wątpliwych i interesowanych namowach, zwykle przez któregośkolwiek z bezstronnych

sędziów wzywanego, a przez marszałka zaprzeczyć się niemogącego, Radziwiłłowski, Sapieżyński lub Czartoryskich deputat sam jeden przy swoim zostawał się *votum*. Oprócz tego, najzapaleńszymi rębaczom i codziennym towarzyszom hajdamactw Wołodkowicza opadały ręce i opuszczał zapał, gdy przypomnieli na porąbany przezeń krucyfiks; już wtenczas uznawali go winnym sądu i kary, lecz duchowne mu tylko *poenitentiae*, nie zaś kapitałny przeznaczając dekret.

Morykoni zdolnym był przewodniczyć trybunałowi i kierować zdaniem kolegów w tej trudnej okoliczności. Mądry i stały w postanowieniach, świadomy praw krajowych i stosunków tamtoczesnych obywatelskich, osądził on w swém sumieniu i w surowej lecz koniecznej sprawiedliwości występki i los Wołodkowicza; lecz niżej stanowczym wyrokiem mógł sam go rozstrzygnąć, musiał wprzód wezwać *Sapiehy*, któremu obowiązek i przyzwoitość nakazywały nie opuszczać nigdy, a bardziej w takim zdarzeniu, trybunału; zbadać też determinacyę Radziwiłła: gdyż jeżeliby on chciał bronić Wołodkowicza, stając natenczas otwarcie i upornie naprzeciw hetmanowi, można byłoby do większego zgorzelenia dać powód, i nie obronić się jednak słabą trybunalską komendą naprzeciw hetmańskiemu żołnierzowi.

Dnia 1 lutego 1760 roku stała się *akcja*, i ujęty Wołodkowicz, osadzony został i strzeżony w kordygardzie warty trybunalskiej. *Morykoni* wnet posłał do *Bychowa*, odległego mil więcej trzydziestu od Mińska, do *Sapiehy*, i zapewne nie długo zwlekając, i do *Nieświża*. Nie mamy w rękopisie naszym tych listów jego; że były pisane, z odpowiedzi hetmana i marszałka widno.

Czas oczekiwania na te odpowiedzi najtrudniejszym był dla Morykoniego i trybunału, bo czas niepewności i próby. *Morykoni* z jednostajną spokojnością oblicza przewodził nieprzerywającym się sądom; a lubo w namowach mniej o toczących się processach niżeli o rzeczy Wołodkowiczowskiej, wszystkich zajmując, rozprawiano, jednak po namowie nikt z tłumu, czepiającego się zwykle trybunałów, nie mógł przeniknąć ani zbadać myśli marszałka i deputatów.

Przyjaciele Wołodkowicza spodziewali się co chwila Radziwiłła, nie hetmana, ale syna jego księcia Karola, którego Wołodkowicz był polubieńcem; wierzyli więc, i słusznie, że nie da mu zginąć, i czy to zgodnie z wolą ojca, czy to i mimo woli jego, przybędzie oswobodzić więźnia.

Miał *Morykoni* swoje przesłuchy; wiedział, że książę Karol aż w *Białej*, liczył więc niecierpliwie dni i układał plany na przypadek przyspieszonego przybycia księcia, a zatem zagrozić się mogącej spokojności publicznej; błagał tylko trwożliwszych kolegów, aby dotrwali przystojnie do końca i najmniej się nie wydawali ze swą bojaźnią lub wątpliwością. Nakoniec, prawie w jednej godzinie, zeszyły się odpowiedzi *Radziwiłła* i *Sapiehy*, to jest, 12 lutego. List pierwszego uwalniał trybunał od wszelkiej niespokojności ze strony hetmana, i owszem ośmielał do wymierzenia kary na przestępcę; drugi majaczył, odkrywał niepewność zdania, puszczanie się na zwłokę, a zatem w przyszłości bezkarność dla Wołodkowicza, którejby on nie długo nawet oczekiwał, bo coraz gęściej krążyła wieść, że książę Karol ze swoim myślistwem, które rzeczywi-

ście za siłę zbrojną uważać można było, tuż tuż się zbliża.

Gdy więc tu już było prawdziwe *periculum in mora*, *Morykoni*, po odczytaniu tych listów w kole, odkrywa otwarcie swoje zdanie, wzywa Boga na świadectwo, że żadnej osobistej do *Wołodkowicza* niema na sercu urazy, że mu *Morykoni* przebacza.... lecz że go sędzia potępia! wystawia niebezpieczne i gorszące skutki dla kraju, gdyby czyn tak zuchwały i występny poszedł bezkarnie, nakoniec odwołuje się do przysięgi sędziów, i konkluduje wyrokiem, że *Wołodkowicz* winien śmierci!— Jakież jest wasze zdanie? sędziowie! zapytał. Mamże otworzyć *turnum*?

—Nie potrzeba zawołałi wszyscy. *Poena colli*! Pisać wniesienie i dekret.

Porąbany przez *Wołodkowicza* ludzki deputat *Dłuski*, daje natychmiast wniesienie— los winowajcy rozstrzygnięty.

W kilka godzin *Morykoni* odbiera nagle wiadomość, że książę miecznik przybywa; przyspiesza więc exekucję dekretu, a oszczędzając *Radziwiłłowi* gorszącego czynu, a sobie i swoim niebezpieczeństwa, zaraz po exekucyi limituje na dwa tygodnie trybunał, i rozjeżdżają się wszyscy.

Dziad mój, towarzysz natenczas usarski znaku Buławy Wielkiej W. Ks. Litewskiego, a przebywający ciągle przy boku i dworze hetmana (*), posłany był przezeń

(*) Michał Borejko Chodźko, w roku 1760 towarzysz usarski znaku Buławy wielkiej W. Ks. Lit.; potem w roku 1777

zaraz po ujęciu Wołodkowicza do Mińska dla uważania obrótów rzeczy i wypadków, i donaszania wszystkiego do Nieświża, z zaleceniem jednak najściślej tajemnicy o swojej misyi i niewdawania się najmniej w żadne kroki, któreby tę misyę odkryć mogły.

Opowiadanie jego szczegółowe o tym i o wielu innych wypadkach dworu Radziwiłła hetmana, a po jego zgonie księcia Karola (panie kochanku) przy którym także lat kilka przebywał, wyryło się dokładnie w mojej dzieciennęj i młodzieńczęj pamięci; w pamiętniku zaś jego domowym znalazł się dekret, listy i noty powyżęj wydrukowane, które on, znajdując się ówczesnie i umyślnie *in loco delicti*, miał łatwą zręczność zebrać.

A tak rys ten wypadku tego nadzwyczajnego, mnie mam być prawdziwym. Sprzecznym on jest z opowiadaniem téjże samęj okoliczności w *Pamiętnikach staroego szlachcica*, niedawno w Wilnie wydrukowanych, naprzód głównie w tém, że dekret śmierci *Wołodkowicza* ogłasza być sądów kapturowych, a zatem w ciągu bezkrólewia po śmierci Augusta III, gdy wątpliwości niema, że go trybunał 1760 za życia jeszcze tego króla osadził, z kolei we wszystkich okolicznościach towarzyszących akcyi, wyrokowi i exekucyi wyroku na *Wołodkowiczu*. Błąd ten autora wysokich literackich zalet ztąd zapewne poszedł, że wieść pomiejszała i do tąd mięsza, swawole i los dwóch Wołodkowiczów współ-

deputat z powiatu oszmiańskiego na trybunał główny W. Ks. Lit. na kadencję ruską do *Grodna*; w roku 1785 deputat na trybunał na kadencję litewską do *Wilna*; nakoniec po rozdziale powiatu oszmiańskiego, *wojski zawilejski*.

czesnych sobie: Michała, roztrzelanego w 1760, i Ignacego, brojącego po kraju właśnie w czasie bezkrólewia, okrytego i manifestami współ-braci i wyrokiem sądów tamtoczesnych kapturowych i konfederackich, którym jednak nie stało się zadosyć, i które potem list żelazny pokonał.

Ośmdziesiąt cztery lata upłynęło po tym wypadku, wspomnienie Wołodkowicza trwa do dziś dnia po Litwie, lecz codzien się już, wraz z innemi podaniami, zaciera i niknie. Gmin pospolity, szczególnie drobnej szlachty, gromadząc swawole obu Wołodkowiczów pod jedną osobą, i z przesadą one rozpowiadając, śmierć jego niesłusznem męczeństwem osądził i pamięć politywania swego nad nim pieśnią pozgonną uwiecznił..... Rozmyślny zaś badacz przeszłości kraju tego, widzi tu dowód, że w ówczasowem rozstrojeniu sprężyn rządu i wewnętrznego porządku, zepsucie jednak nie tak daleko zaszło, aby wyniszczyło zupełnie wzgląd na dobro publiczne. Bo i w możnowładnych głowach, jakim był hetman Radziwiłł, wzgląd osobisty ustępował bez namysłu i niknął jak mara przed interesem powszechnym i przed bojaźnią pogwałcenia praw i spokojności krajowej, a w szlacheckim zastępie, nie wypenił mężów cnoty i energii pełnych, bezwzględnie i śmiało postępujących na drodze obowiązków swoich, a godnych jak *Morykoni* zaufania ziomków i urzędów wysokiego dostojenstwa, na których dobro i bezpieczeństwo ogólne polegało.



Spis Rozdziałów.

	<i>Stronica.</i>
Przedmowa wydawcy	1
Wstęp autora	3
Rozdział I. Sejmiki połockie w Uszaczu	11
— II. Wizyta po przyjaciółach	16
— III. Wyzwanie	19
— IV. Wieczorynka	25
— V. Pojedynek	30
— VI. Sessya sejmikowa	34
— VII. Obiad u pana wojewody	51
— VIII. Po sejmikach	64
— IX. Ucieczka	76
— X. W Nieświżu	84
— XI. Nazajutrz	96
— XII. Kapituła	102
— XIII. Instrukcyja na kwestę i odjazd z klasztoru	110
— XIV. Legendy starego Marcina. Pan Rotmistrz	116
— XV. U pana Bielewicza. Wołodkowicz	129
— XVI. Popas i uwagi Marcina	174
— XVII. U wdowy	184
— XVIII. U pana starosty	197
— XIX. Casus fatalis	224

ROZDZIAŁ XX.	U księdza plebana	232
— XXI.	Powrót	238
— XXII.	Rok 1812	244
— XXIII.		252
— XXIV.		262
— XXV.	Testament ks. definitora	270
— XXVI.	Smierć ks. definitora	275
— XXVII.		278
— XXVIII.	Wędrówka do Bienicy	282
— XXIX.	Nieboszczyk Kocieli	288
— XXX.	Przed kwestą	293
— XXXI.	Kwesta	300
— XXXII.	Stary marszałek dworu i stary rezydent	308
— XXXIII.	Sny	317
— XXXIV.	Łostaje	328
— XXXV.	Elżutka	337





264/3/15

75-

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

79406

Biblioteka WSP Kielce



0174825